

**Horst Herrmann**

# **Jan Paweł II złapany za słowo**

**Krytyczna odpowiedź na książkę Papieża**

Wstęp

Rozdział I Nowa książka starego Papieża

Rozdział II Podróżnik niezdolny do dialogu

Rozdział III Podstawa srogo mesjanistyczna

Rozdział IV Sobór pochowany z wielkimi honorami

Rozdział V Przyjazny fundamentalista

Rozdział VI Ideologia dobrego pasterza z Rzymu

Rozdział VII Dobre słowo z wysoka

Rozdział VIII Aspiracje a rzeczywistość

Rozdział IX Operowanie strachem i nadzieją

Rozdział X W bitwach Bożych ona zawsze zwycięża

Rozdział XI Najgłębsza z Piotrowych trwóg

Rozdział XII Przełamać choćby jedną z barier !

## WSTĘP

Prof. dr teologii Horst Herrmann urodził się w 1940 r. Ożenił się w 1981 r. z dr Barbara z domu Freitag. Ich dwaj synowie noszą imiona Sebastian Alexander i Fabian Christopher.

W latach 1959-1964 studiował teologię katolicką i prawo w Tybindze, Bonn, Monachium i Rzymie. Doktoryzował się w 1960, habilitował w 1970 r.

Od 1970 do 1981 r. był profesorem zwyczajnym katolickiego prawa kościelnego na uniwersytecie w Mlinster. W roku 1975 odebrano mu kościelne prawo nauczania z powodu memoriału przeciwko aktualnym stosunkom państwa i Kościoła. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek w RFN. Od roku 1981 profesor zwyczajny socjologii na tymże uniwersytecie. Jest twórcą paternologii, nauki zajmującej się badaniem patriarchy i ojcostwa z punktu widzenia kobiety i dziecka, oraz członkiem niemieckiego PEN-Clubu.

W licznych publikacjach na tematy kościelno-polityczne wzbudzał szerokie dyskusje na forum publicznym.

Horst Herrmann uważany jest za najwybitniejszą osobowość w swojej specjalności. Ogłosił 22 książki i 150 artykułów na tematy religii i krytyki patriarchy, przekładane na wiele języków. Jest redaktorem serii Querdenken, prezentującej bez ogródek poglądy wyróżniających się osobowości naszych czasów.

Kiedy w roku 1978 Karol Wojtyła został Papieżem, nie tylko wśród katolików zapanował entuzjazm. Pierwszy raz od stuleci na Stolicy Apostolskiej zasiadł ktoś nie będący Włochem. Spodziewano się, że ten Papież dokona przełomu, że spowoduje otwarcie się Kościoła do ludzkości, czego zapowiedzią był już Drugi Sobór Watykański. Cóż za gorzkie rozczarowanie!

Czy to w sprawach zapobiegania ciąży, czy demokratyzacji Kościoła, czy święceń kapłańskich dla kobiet, czy celibatu: pod każdym względem Jan Paweł II zaparł się na pozycjach, nie nadążających za współczesnością.

Jego nieprzejednane stanowisko prowadzi do trwałego wyludniania się kościołów.

Mimo to Jan Paweł II przyciąga publiczność. Tłumy ściągają na jego wystąpienia. Krytykuje środki przekazu, ale posługuje się nimi jak żaden z jego

poprzedników. Przykładem tego jest najnowsza książka Karola Wojtyły: Przekroczyć próg nadziei. Rzucono ją na rynek z towarzyszeniem olbrzymiej akcji reklamowej, a treści, które zawiera, są te same, które Papież uporczywie głosi od lat dwudziestu. Horst Herrmann, wybitny teolog i socjolog, rozprawia się w swej książce z tym, co napisał "literacki superstar" w osobie Jana Pawła II. Papież wciąż podróżuje: ale czy dociera do ludzi?

Co zrobił ze spuścizną Drugiego Soboru Watykańskiego? Czy Watykan stał się ostoją fundamentalizmu? Jak wygląda sprawa tolerancji? Horst Herrmann bierze Jana Pawła II za słowo i pokazuje, jak znikomą nadzieję niesie ludziom Karol Wojtyła i jak wygląda przyszłość katolicyzmu.

Cytaty z omawianej książki Jana Pawła II Przekroczyć próg nadziei zaczerpnięto z anonimowego przekładu, który wydała w 1994 roku Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jest to przekład nieudolny, często wręcz niegramatyczny i zmieniający sens do niezrozumiałości lub na inny niż w oryginale, jednak oficjalnie zaakceptowany i będący w obiegu, toteż musieliśmy się na nim opierać. W nielicznych tylko i najbardziej koniecznych wypadkach porównano przekład z oryginałem włoskim *Varcare la soglia della speranza* i w nawiasach kwadratowych dodano, potrzebne do zrozumienia, sprostowania.

# I

## NOWA KSIĄŻKA STAREGO PAPIEŻA

### Jak na targowisku świata kupczyć nadzieją?

Wojtyła light? Pod takim tytułem przejechano się w dzienniku Süddeutsche Zeitung z 22 lipca br. po strategiach rynkowych nowej książki Papieża, będącej od kilku tygodni w sprzedaży: "Żaden z dzisiejszych apostołów Jezusa - oczywiście z wyjątkiem Billy Grahama, wielkiego ewangelisty wolnego Zachodu - nie posługiwał się jeszcze masowymi środkami przekazu na wolnym rynku w sposób tak pozbawiony skrupułów, jak ów najbardziej zajadły ze wszystkich, którzy je krytykują."

Pozbawiony skrupułów?

Mocne słowa. Chodzi o Jana Pawła II. Zarzuca mu się podwójną moralność. Z jednej strony krytykuje on środki przekazu, a z drugiej strony bez wahania wykorzystuje ich rynek. Czy Papieżowi jest to potrzebne?

"Nie ma co mówić o panu Wojtyśle!" stwierdził już na początku jego pontyfikatu Heinrich Bölla, laureat Nagrody Nobla. Zdaje się, że wielu skorzystało i nadal korzysta z tej rady. Nielatwo tak od ręki wymienić choćby jedną postać liczącą się we współczesnej kulturze, polityce, nawet teologii, która by zajęła się tym Papieżem jakoś głębiej, wychodząc poza grzeczne, puste frazesy albo powszechnie znane tematy kontrowersji.

Jan Paweł II, entuzjastycznie okrzyczany, czyżby poza wspólnotą fanów nie znajdował oddźwięku? Nawet i wewnątrz Kościoła coraz bardziej spisywany na straty? Czy nikt odpowiedzialny tego nie zauważył? Przedstawiciele Kościoła katolickiego jak gdyby oślepli na to zjawisko. Jakże się to zaczęło?

Zmarły prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński, w roku 1978 wezwał swego rodaka do zabrania głosu: "Zasiadasz teraz na krześle Piotrowym, a idee twe są ideami Kościoła. Toteż ważne jest, aby Kościół jak najszybciej się z nimi zapoznał."

Zapoznanie się nie dało na siebie długo czekać. Watykański marketing się nie zawahał. Po niecałym roku pontyfikatu już zdążyło się ukazać, tylko po niemiecku, 25 książek dotyczących Papieża, w tym 15 o Janie Pawle II i 10 jego własnych. Papież nie miał zamiaru milczeć ani dać się przemilczać. W przeciągu tylko dwóch początkowych lat wygłosił 684 przemówienia, nie licząc okazjonalnych wypowiedzi. Już w 1979 roku osiągnęły one objętość 1628 stron druku. W przeciwieństwie do

niego papież Paweł VI do 1977 roku wyprodukował tylko 752 strony. Nikt właściwie nie chciał go słuchać, a nowego papieża i owszem; przez kilka miesięcy potrafił on ściągnąć do Rzymu ponad pięć milionów pielgrzymów.

Od samego początku nie brakowało urzędowych i prywatnych tekstów pióra Wojtyły. Datujące się od rozpoczęcia pontyfikatu w październiku 1978 obwieszczenia Papieża są bez wyjątku opublikowane i przetłumaczone na wszystkie ważniejsze języki świata. Zapewniono więc wszelkie warunki do zajmowania się ideami Jana Pawła II, które - zdaniem kardynała Wyszyńskiego - "są także ideami Kościoła".

Tym bardziej zadziwiające jest, że teologia, nie mówiąc już o innych naukach, milczy o tych podstawach współczesnego papieskiego nauczycielstwa. Nie ma, z nielicznymi wyjątkami, poważnych dyskusji z Wojtyłą. Nauka religijna prowadzi swe badania, a nawet i naucza, jak gdyby w roku 1978 nic się nie zmieniło na urządzie papieskim. Najwidoczniej ten Papież tak jakby nie interesował fachowców.

Podczas gdy jeszcze za papieży Piusa XII, Jana XXIII i Pawła VI wśród teologów toczyły się spory doktrynalne, po części bardzo zajadłe, za Jana Pawła II przeważa cisza.

Milczenie to jest może zrozumiałe, lecz nie fair w stosunku do człowieka, który - w przemówieniu z 1980 roku do profesorów - mówił o tym, że "praca teologa w służbie nauki o Bogu, w rozumieniu św. Tomasza z Akwinu, jest równocześnie aktem miłości wobec człowieka".

W rzeczy samej to nieusprawiedliwione. W moim przekonaniu Jan Paweł II ma prawo do tego, aby teologia uczyniła jego doktrynę przedmiotem swych wysiłków. Bez takiego zajęcia się urząd papieski prędzej czy później znajdzie się w izolacji.

Albowiem, jak powiedział Karol Wojtyła w 1980 roku w Altötting, teologia to "nader altruistyczna służba dla wspólnoty wierzących. Jej istotnymi składnikami są rzeczowa dysputa, rozmowa braterska, otwartość i gotowość do zmiany własnych przekonań." Nawet i papież nie może się obejść bez tej rozmowy.

Kościelna opinia publiczna wyświadcza sobie niedźwiedzią przysługę, oddając Papieża mediom. Na dalszą metę z prasowego papieża nikt nie ma pożytku. Najbardziej niestosowna jest w tym rola samego Wojtyły, którego monologi już nie znajdują oddźwięku w dialogu, kiedy świadomi rzeczy pozwalają, by zagłuszał je hałaśliwy entuzjazm. Zgiełk w mediach nie zastąpi dyskusji.

Również i coraz bardziej deprymujące doświadczenia ostatnich lat dają powód do troski.

Watykańscy dziennikarze Stefano de Andreis i Marcella Leone, którzy w 1979 roku ogłosili dwutomowy diariusz obecnego pontyfikatu, przytaczają niezliczone przykłady burzliwego entuzjazmu, jaki niemalże wszędzie towarzyszył Wojtyłcie. Była tam mowa o 12 tysiącach zakonnic w sali audiencyjnej przy katedrze Św. Piotra, które "dosłownie ogarnęło szaleństwo". Okrzyki "Świętość, świętość!" miały dla obserwatorów brzmienie podejrzanie zbliżone do "Amore mio!" Pewnej zakonnicy z południa Włoch udało się z lekka ugryźć Papieża za uchem; inna zaś posunęła się do okrzyku: "On jest jeszcze piękniejszy niż Jezus Chrystus!" Taka rozszalała publiczność nie jest chyba tą wspólnotą, na której zależy Papieżowi. A może? Czyżby z biegiem lat niczego więcej się nie nauczył?

Do Watykanu napływały swego czasu, obok zwykłych tysięcy listów prośbnych, także przesłania od samotnych kobiet; i niejedna z nich wyznawała nawet Karolowi Wojtyłcie swą jak najbardziej świecką - choć zakazaną - miłość.

Rzeczywiście Papież jawnie odróżniał się, w swojej wyrazistej męskości, od swych eterycznie wyglądających poprzedników. I obracał ów zachwyt na swoją korzyść. Ścisnął dłonie, kreślił przy stosownych okazjach autografy i wyglądał na uszczęśliwionego, gdy otaczało go jak najwięcej ludzi. Na audiencjach dziesiątki tysięcy skandowały, co dawniej byłoby niemożliwe, cywilne imię Papieża. Nie sposób wyobrazić sobie, co by się stało przed laty, gdyby Pius XII Pacelli usłyszał, że wołają go: "Eugeniusz, Eugeniusz!"

Jan Paweł II uczłowieczył formy zwracania się w Kurii. Stało się jasne, że nie trzeba już tłumić emocji, nawet jeśli chodzi o papieża, i skostniały ceremoniał obrosłego w tradycję dworu doczekał się rozluźnienia.

Wojtyła był pierwszym biskupem Rzymu, którego tysiące ludzi oglądały w pizamie - ku zgrozie watykańskich monsignoń - ale i pierwszym, do którego robotnicy w zachwycie i z podniesioną pięścią wykrzykiwali: "Towarzyszu!"

Dla wielu ten arcykapłan stał się papieżem namacalnym. Przestał się unosić ponad tłumem. Nie, powiada Wolfgang Broer, "namiestnik Chrystusa, jak wysportowany dziadek, podnosi do góry dziateczki, którym pozwala przyjść do siebie". Nie przypadkiem Jan Paweł II był "popularny, jak żaden z tych, co zasiadali przed nim na krześle Piotrowym: gwiazdor, artysta ludowy, ulubieniec mas: taki John Travolta Ducha Świętego, religijny John F. Kennedy, duchowy Adenauer; Superstar, umiejący zamieniać młodzieżowe msze w rodzaj religijnego Woodstock i Zgromadzenie Generalne Narodów Zjednoczonych niemalże w pobożnie nasłuchujące

kolegium kardynalskie; duchowy de Gaulle, śniący o chrześcijańskiej Europie «od Atlantyku po Ural» i biskup z klubu latających odrzutowcami, który cały glob zamienił w swoją diecezję".

Duże części ludu kościelnego wiązały swe tęsknoty z osobą tego Papieża. Wprawdzie nie zawsze manifestowały się publicznie, ale w ich wypowiedziach dało się wyczuć żywe zaangażowanie na rzecz Wojtyły.

Jan Paweł II podchwycił nadzieje wielu, gdy w roku 1979 napisał w swej nauce o chrześcijańskiej katechezie: "Żyjemy w trudnym świecie, w klimacie zagrożenia... Z pewnością wymaga to, aby katecheza utwierdzała chrześcijan w ich tożsamości i bez ustanku wyzwalała się od wątpliwości, niepewności i otaczającej ją obojętności... Ażebyśmy w tym świecie pozostali mocni, abyśmy proponowali wszystkim «dialog zbawienia»... potrzebujemy katechezy, która w naszych wspólnotach nauczy tak młodzież, jak i dorosłych, zachowywać w wierze jasność i konsekwencję... Trzeba więc nieustannie uwzględniać swoistość i oryginalność wiary... Chodzi o przekazywanie bez skrótów objawienia Boskiego... Aby nigdy nie można było powiedzieć: «Dzieci żebrzą o chleb, a nikt go dla nich nie ułamie!»"

Karol Wojtyła następnie starał się łamać chleb nauki. Lecz do dzisiaj niewielu jest gotowych wziąć go przy tym za słowo: i czynić to słowo po słowie. Wciąż jeszcze większość słuchaczy przyjmuje słowa papieża Wojtyły za dobrą monetę, nie sprawdzając, ile są warte.

Dotyczy to zarówno zwolenników Papieża, jak i jego krytyków: ani akceptacja ich nie jest przemyślana, ani odrzucanie ich uzasadnione. Czy mówi się Papieżowi "tak" czy "nie", zawsze indyferentnie. Należy to zmienić. Dyskutując z prawdami, które głosi Wojtyła, jeżeli ma to być produktywnie, nie wolno zwłaszcza lękać się zaangażowania, Papież bowiem wykazuje się niewiarygodną dynamiką. Ktokolwiek zatem dobrze życzy Wojtyłce, musi analizować tyleż styl, co i treść papieskiej oferty, aby dotrzeć do jądra osobowości i doktryny. Nieporozumienie, jakim jest samo zauroczenie i zachwyty bez jakichkolwiek następstw, może dopiero wtedy - w interesie wszystkich uczestników - uchodzić za całkowicie wyjaśnione, gdy wyświadczone wspólnocie wiernych tę służbę, o której wypowiedział się raz Jan Paweł II.

Papież ten deklaruje nawet, w swej nowej książce, dobrą wolę nawiązywania dialogu ze wszystkimi ludźmi. Nazywa swój Kościół instytucją, która "ujmuje się za rozumem i nauką, przypisując jej zdolność dochodzenia do prawdy, która ją legitymuje jako ludzkie osiągnięcie". Proponuje mnóstwo idei jako podstawę



upragnionej przez siebie dyskusji. Swój pontyfikat zaś umieszcza pod hasłem "rozpoczęcia od nowa". A zatem widzi w sobie nie tylko zwykłego zarządcę pewnej tradycji, ale tego, który w wierze czyni krok do przodu.

Czy świeżo wydana książka Papieża jest kolejną próbą rozpoczęcia od nowa? Czy wręcz ostatnią? Ten nowy początek, jeżeli ma nim być, domaga się zbadania. Z pewnością nie piszę tu książki apologetycznej; tego nikt by się nie spodziewał. Ale "rozrachunek" też nie jest moim zamiarem. Raczej mam nadzieję dostarczyć podniet do rzeczowej dyskusji. Od takiej zaś nie może się uchylać nikt oprócz takich, co właśnie przycupnęli w kąciku fundamentalizmu.

Z publikacją papieskiego bestsellera nasuwa się pytanie, czy w osobie Wojtyły mamy uważać za przezwyciężoną lękliwość, jaka przedtem dawała się zauważyć w Watykanie. Czyżby Papież wyrzekł się tradycyjnej ideologii asekuracji? Czyżby ostatnio "odwaga i charyzma" stały się znamienne dla instytucji, której on przewodzi? Czy jest to po raz któryś rozpoczęcie od nowa? Czy jednak raczej kwestia trzymania się spuścizny?

Krzyk, jaki niektóre media podnoszą wokół obecnej książki, aż nazbyt poetycko zatytułowanej, jest donośny: jak na stosunki watykańskie. Konkurujące na rynku światowym religie i wyznania mogą co najwyżej marzyć o takim marketingu, w jakim wyćwiczyły się niektóre części Kościoła katolickiego. Na przykład Wittenberg do pięt nie sięga Rzymowi, jeśli chodzi o rynkową promocję posłannictwa. Może Luter sobie tego nie życzy...

Coraz ważniejsza staje się dla Watykanu, skutecznie zwrócona na jedną książkę, uwaga prasy światowej. Może nawet ważniejsza niż samo posłannictwo? Prawda nie dla każdego miła: że należy starannie rozróżniać między sukcesem wydawniczym a jakością książki.

Już na długo przed ukazaniem się mówiono o "handlowo publikowanej książce" (New York Post) i o "wspaniałym pomysle handlowym" (International Herald Tribune). Triumf najświeższej etiudy papieskiej ma się wyrażać w olbrzymich liczbach: wzięto namiar na 10 milionów egzemplarzy sprzedanych w skali światowej. Te liczby czynią z Karola Wojtyły literackiego supergwiazdora na miarę jakiegoś Johna Grishama.

Tylko jedna organizacja kolportażowa zamówiła ponoć 200 tysięcy egzemplarzy nowej książki u wydawcy, który zakupił prawa do edycji niemieckiej. Widocznie spodziewa się, również i poza rynkiem księgarskim, zbić interes na swoich

czytelnikach.

Nowojorski agent literacki Mort Janklow, reprezentujący autorów klasy Ronalda Reagana, obiecuje sobie wręcz "astronomiczne sumy" ze sprzedaży tej książki, w której uczestniczy, zawierając na nią umowy licencyjne.

Choćby jednak sprzedawała się tylko w połowie: serdecznie życzymy zainteresowanym finansowego sukcesu. Watykanowi przydadzą się zyski z honorariów autorskich. Na jego budżet promocyjny. Na wydział zbytu. W to, iż te miliony pójdą na zbożny cel - jak ogłoszono w prasie - nie ma co wierzyć. Skoro nazwa osławionego przez liczne afery banku papieskiego brzmi oficjalnie "Instytut Dzieł Religijnych", ludzie się orientują, co o tym sądzić, gdy Watykan mówi o celach charytatywnych.

Poza tym: pierwotne prawa do książki ma włoskie wydawnictwo Mondadori. Jego właścicielem jest niemal w połowie premier Berlusconi. Znajomość tego rodzaju powiązań nie jest obojętna dla zrozumienia książki, już w tytule mówiącej o prognozie nadziei, który ma się przekroczyć.

Czy ten Papież musi co roku wydawać książkę? Dopiero co był światowy katechizm, aż za bardzo wtlaczany w półki księgarskie, który kupowały może miliony, może setki tysięcy go zaczynały czytać: ale ilu go zrozumiało, zaakceptowało, wzięło sobie do serca?

Nie przypadkiem zaznaczają się pewne różnice, dzielące dwóch autorów: Johna Grishama i Karola Wojtyłę. Grisham jest czytany. Ale któż spoza stajenki będzie czytał książkę z Watykanu? Ilu z tej trzody spróbuje żyć nadzieją swego pasterza?

Popatrzmy na historyczny widnokrąg chrześcijańskiego, katolickiego, watykańskiego światopoglądu. Nie będę perorować na ten temat. Odwołam się do cytatu z Goethego, który stanowczo nie był chrześcijaninem: "W dogmatach Kościoła jest co niemiara głupoty. Jednakże on chce rządzić, a do tego musi mieć ogłupiałe masy, korzące się i dające nad sobą panować. Wysokie, obficie dotowane duchowieństwo niczego się nie boi tak bardzo, jak oświecenia niższych mas."

Wojtyła jest na tyle mądry, aby znać to racjonalistyczne podłoże i rozumieć, jakie niebezpieczeństwa grożą jego Kościołowi, gdy coraz większa liczba ludzi, zamiast ślepo wierzyć, myśli i ocenia, porównuje światopoglądy i wyciąga osobiste wnioski.

Kto się objawia i sprawdza jako nauczyciel życia? Gdzie szukać sensu

naszego życia? Skąd płynie nadzieja dla ludzi? Jak daleko sięga? Z pewnością nowocześni ludzie odczuwają tęsknotę do ciepła. Doskwiera im głód swego miejsca na ziemi. Ale czyż chlebem częstować mają tylko ci, którzy proponują zwietrzałe okruchy w przestarzałym opakowaniu?

Stary Kościół? Kościelna starzyzna? Do najbardziej nieomylnych znamion upadku instytucji należy fakt, że jej elita nie potrafi już wskazywać rozwiązań, które by dotyczyły rzeczywistych problemów człowieka, lecz wobec niesprawiedliwych układów ma do zaoferowania tylko narkotyki.

Kościół ma tendencję schyłkową. Wydaje się ona nieodwracalna również z powodu hałasu, jaki się z tym wiąże. Przedstawiciele Kościoła ustawicznie ferują wyroki, wykrzykują w podnieceniu o rozwiązaniach ostatecznych, o ponadczasowych receptach, zwalają odpowiedzialność za swe ostateczne wartości na swoją instancję ostateczną. I niewiele przez to osiągają.

Kto myśli fundamentalistycznie, kto poczyną sobie superortodoksyjnie, kto wspiera postulaty autorytarne, ten może znajdować szczęście w getcie zadowolonych z siebie faryzeuszów; ale prawdziwego świata nie dotknie.

Czy Kościół troszczy się jeszcze o większość ludzi? Czy od dawna już zredukował swój program do minimum? Czy na wyższych piętrach - ale nie tylko - poprzestaje na tym, czego się już nie da uniknąć?

Wewnątrz Kościoła wzmaga się wrażenie, jakby cała gadanina o reformach ograniczała się do specjalności klerykałnych: jak celibat, kapłaństwo kobiet, spory o niepokalane poczęcie i nieomylność papieską. Żadna z tych rzeczy nie pomoże rozwiązać żadnego ze światowych problemów. Ale może Watykan w ogóle nie chce pomagać? Gdyby przemówił na nutę rzeczywistą, prędko i wyraziście zdemaskowałby się ze swą ignorancją.

Oto przykład: ktokolwiek miałby się spontanicznie odezwać na temat stanowiska Stolicy Apostolskiej na konferencji wrześniowej 1994 roku w Kairze w sprawie przeludnienia i oceniać dyplomację watykańską, doszedłby do jednego wniosku: obstrukcja zamiast strategii przyszłościowej, blokowanie zamiast torowania drogi, doktryna zamiast istoty rzeczy. Taktyka odwlekania i psychologii zamiast pomocy. Jezus w Kairze? Gdyby się w ogóle objawił, to na pewno nie tak.

Ludzie coraz częściej zauważają, jak trudno się Kościołowi cokolwiek wykazać. Tymczasem w badaniach opinii publicznej zainteresowanie kwestiami religijnymi spada na szary koniec, autorytet zaś dostojników Kościoła zajął miejsce w

poblizu zera. Trudno powiedzieć, w jakich liczbach wyraża się akceptacja Papieża, tak okrzykanego przez media. Nie ulega wątpliwości, że potężnie spada i dopuszcza prognozy nader pesymistyczne.

Może to pociągnąć za sobą występowanie z Kościoła. Skoro nic nie daje, czego się po nim spodziewać? Ale chociaż Wojtyła nie ma już tylu zwolenników, jak na początku: jego wierne owieczki wciąż na coś liczą. Szepcą sobie, że je wyróżnia jakość.

Wprost czy nie wprost, świadomie czy nieświadomie, uzależnieni od autorytetu rozglądają się za postaciami przywódców; łakną ich jak chleba powszedniego i zażywają ich jak narkotyków. Odurzają się: kiedy upadła nieomyślność rządzących rzekomo z woli Boskiej, cesarzów, królów, carów, wielu zaś nowszych niż tamci, a też nieomyślnych dyktatorów, różnych Duce, Caudiów, Fihrerów, sekretarzy generalnych chyli się do upadku, opoka Piotrowa dźwiga się z chaosu, zwycięska jak zawsze. Partie, które zawsze miały rację, rozpadają się na Wschodzie i na Zachodzie. Prawdziwy zaś Kościół, który też zawsze miał słuszość, triumfuje. Ta wykładnia musi wzbudzać radość. Nie na całym świecie, jako żywo, nie u wszystkich ludzi, nawet nie u większości, ale przynajmniej w najściślejszym kręgu swoich.

Jan Paweł II może, jak zwykle, zaspokajać pewne wymagania. Ale jemu to najwyraźniej nie wystarcza. W swojej nowej, może już ostatniej książce chciałby nawet "przekroczyć próg nadziei". Jak dalece udało mu się to pierwsze i jak gruntownie wyłożył się znowu na tym drugim, jak bardzo ogranicza się do wołania na puszczy, pokażę na konkretnych przykładach.

Dla wcześniejszych elukubracji Watykanu wybrałem kiedyś porównanie i wciąż mam nadzieję, że tym razem nie będę zmuszony posunąć się tak daleko: że oświadczenia książąt Kościoła, choćby podawały się za najbardziej osobisty wyraz indywidualnych poglądów "człowieka w stroju papieskim", czerpane są z rozległego bagniska. Gdziekolwiek zarzucić wiadro, zawsze wyciąga się je bez spodziewanej zawartości. Jeżeli człowiek miał szczęście, wiadro okaże się przynajmniej napełnione zwykłym gładzeniem, wyświechtanymi banałami, popłuczynami po dawniejszych doktrynach. Coś takiego może nasycić pragnienie tylko stadka najwierniejszych owieczek.

Czy nowa książka przynosi jakieś istotne zmiany? Papież ujął jednak sprawę we własne ręce, wsparty przez gigantyczną maszynę. Reklama natychmiast się

zachłystnęła: "Po raz pierwszy od 1748 roku urzędujący papież ogłasza książkę, nie będącą ani oficjalnym obwieszczeniem Kościoła, ani rozprawą czysto teologiczną." Jan Paweł II udziela po prostu, jak stwierdza reklama, "odpowiedzi na pytania, nurtujące ludzi na całym świecie". I "wydaje się nieomal, jakby się było na prywatnej audiencji".

Czy kierownictwo nie uświadamia sobie, po jak wąłym gruncie stąpa? Na prywatnej audiencji? Czy nie znaczyłoby to, że Papież kogoś słucha, prywatnie, a nie tylko jednostronnie nadaje w rozmiarze książki? I czy musi to być audiencja? A rozmowa by nie wystarczyła? Czy Wojtyła umie tylko na tej płaszczyźnie podchodzić do problemów, jakoby nurtujących ludzi na całym świecie? Na audiencji? Tak po monarszemu, po papiesku, tak z góry? Do kogo on chce mówić na tej "prywatnej audiencji"? Do ludzi, którzy nigdy w życiu nie będą mieli szansy na uzyskanie w Rzymie takiej audiencji? Podług wszystkiego, co wiadomo nam o Watykanie, prywatne audiencje są dla wybranych. Dla głów państw, dla gwiazd filmowych. Kiedy książkę reklamuje się jako prywatną audiencję, nie mieści się to w skali watykańskiej.

W kampanii reklamowej rzucono na rynek niektóre pytania z tej milionowej audiencji: Jak papież się modli? Za kogo? I za co? Któż na świecie uznałby te pytania (nie mówiąc już o odpowiedziach) za poruszające świat? Czy książka, zawierająca takie pytania, jest lekturą konieczną, jak sugerują ci, którzy ją muszą sprzedać? I znowu, jak wykażę, z Rzymu nie przyszło nic nowego. Stopień nowej ewangelizacji nie jest ani trochę rekordowy. Karol Wojtyła pozostaje konserwatywny do szpiku kości.

Jak ograniczone są właśnie konserwatywne nadzieje, nowa książka pokazuje niemal na każdej stronie. Beznadziejny jest również ten duchowo-duchowny testament, jaki ma ona stanowić. Nie różni się niczym, nie wyłączając marketingu, od wcześniejszych publikacji.

Powiem bez ogródek: Papież w żadnym wypadku nie może przynieść nadziei, która by sięgała trzeciego tysiąclecia. Zapowiedzi tej książki nie da się spełnić. Teologia Wojtyły jest taka, jak była: jednostronna, wybiórcza, ograniczona... i raczej light.

Znów zawodzi to wiele oczekiwań. Jeśli zapowiadana przez dzieło papieskie przyszłość wiary przedstawia się tak skromnie i dalej nie sięga, to czarno ją widzę.

A hasło reklamowe tej książki: "Nie lękajcie się." Czerwona nić, biegnąca przez książkę? Rzekoma baza Nowego Testamentu? Szkoda gadać: Papież niewiele

uczy ludzi poza tym, żeby się lękać. Nie opłaca się bazować reklamy na słowach Biblii! Takie słowa ludzie mogą przyjąć z ust samego Jezusa, ale w stosunku do jego namiestnika zgłaszają zastrzeżenia. Skoro tak, lepiej było sięgnąć wprost do oryginału.

Wielu powie: szkoda... Radzę im zająć się trochę intensywniej niż zwykle tym Papieżem, Kościołem i religią, na których opierali dotąd swoją nadzieję. Oczy im się otworzą.

Wielu może powiedzieć: nie wierzę. Tych zapraszam, aby poczytali odpowiedzi na książkę Papieża i dopiero wtedy wyrobili sobie pogląd na tę najświeższą nadzieję z Watykanu. Będę się powoływać na osobiste zaplecze Karola Wojtyły, jego zaszeregowanie do określonych rejonów teologii, na świadome wykluczanie przez niego treści, które by prowadziły rzecz dalej. Dopiero na takim tle można komentować wąsko rozumianą teologię.

W przeciwieństwie do urzędowych teologów, którzy powinni by raz wreszcie potraktować serio publikacje Papieża, ja biorę Jana Pawła II za słowo; i dlatego przeczytałem nie tylko jego nową książkę, lecz także parę tysięcy stron wcześniejszych publikacji Karola Wojtyły. Nie było to lekkie. Wiem, o czym mówię.

Po raz drugi zajmuję się tu Janem Pawłem II w formie książkowej. Mój "Święty głupiec" ukazał się w 1983 roku. Była to na obszarze niemieckojęzycznym, pełnym wówczas entuzjazmu dla Wojtyły, pierwsza książka krytycznie traktująca o Papieżu.

Napisano wtedy w Basier Zeitung: "Bardzo wiele z tego, co wiedzieliśmy, a często zaledwie przeczuwaliśmy, znalazło tu rozbudowane i drobiazgowo udokumentowane potwierdzenie... Zarówno bezwzględne, jak bezsporne pod względem teologicznym... Przerobił olbrzymią literaturę przedmiotu." A w Weitwoche: "Nierzadko można treść analizy teoretycznej dzień po dniu tak weryfikować w praktyce."

Karl Rahner powiedział mi w czasie naszego ostatniego spotkania, na kilka tygodni przed jego śmiercią, w pobliżu kościoła dworskiego w Innsbrucku, między innymi: "Przeczytałem Pańską książkę o Papieżu. Wysiłek bez precedensu!"

Kto chciałby się też wysilić i sprawdzać od ręki, dostanie odsyłacze. Dosłowne cytaty z książki Wojtyły są umyślnie wyróżnione skrótem PPN, co znaczy Przekroczyć próg nadziei, z dodaniem numeru strony według wydania polskiego.

Jeszcze uwaga na temat prowadzenia do papieskiej książki i jej autora,

dziennikarza z nazwiskiem Vittorio Messori, który jako "prowokator" choć zachowujący "zawsze postawę należnego szacunku" (PPN 19), zadawał pytania. Rzadko zdarzało mi się czytać równie uniżony, zadowolony z siebie i gadatliwy wstęp do ważnej książki. Dyskredytuje on nie tylko autora, lecz i Papieża, który w swojej pierwszej "prywatnej" książce nie powierzył się komuś zdolniejszemu niż ów Messori.

Jest on zbliżony (jak podaje magazyn informacyjny Focus z 24 października 1994) do prawicowej katolickiej organizacji Opus Dei. Widocznie Jan Paweł II ceni to sąsiedztwo. W książce Papieża, chcącego wszak przemówić zapraszająco do wszystkich ludzi, znać szczególne sympatie dla obozu katolickiej ultraprawicy. Od tego trzeba wychodzić, by ją zrozumieć.

Nie jest pozbawione wagi wskazanie na agresywne środowisko, ukryte pod zyczliwymi frazesami, w którym "Księdzu Karolowi, proboszczowi całego świata" dano formułować swe odpowiedzi. Stanie się wtedy jasne, komu to Jan Paweł II okazał swą "wielkoduszną gotowość wsłuchiwania się w głosy przeciętnych «chrześcijan z ulicy»" (PPN 12). Wtedy "objawienie religijnego i intelektualnego świata Jana Pawła II, a tym samym także klucz do odczytania i interpretacji całego jego nauczania" (PPN 17) skurczy się do wymiarów równie śmiesznych jak wzmianka Messoriego, że Papież objawia w tej książce swoją "zdolność patrzenia przed siebie z zapalem i ufnością [w oryginale con l'ardore e la sicurezza, raczej: z żarem lub wigorem i pewnością lub stanowczością. Przyp. tłum.] czterdziestolatka" (PPN 18).

Messori sprawia już niepoważne wrażenie, gdy kokietuje swym ocieraniem się o Cyncerona, o którym myśli "każdego poranka" (PPN 7) i Pascala "spoglądającego z portretu na biurko, przy którym pracuję" (PPN 10). Chciałbym zobaczyć profesora filologii klasycznej lub filozofii, który mógłby powiedzieć i wykazać coś takiego w odniesieniu do siebie.

Papieski klakier nieustannie podkreśla swą uniżoność, nazywając ją "miłością i szacunkiem" (PPN 11): widzi się wyraźnie w roli laika, człowieka okazującego "synowską szczerłość" (PPN 9), patrzącego wzwyż, kędy czeka nań prawda tego, który jako namiestnik Chrystusa, będąc jego gwarantem i świadkiem, "ze szpitalnego pokoju" ofiaruje nawet "częstkę swego cierpienia w intencji Czytelników jego słów, zapisanych w tej książce" (PPN 21). Wobec laickich założeń Messoriego rozumie się, że wszelkie zastrzeżenia wobec Kościoła albo papiestwa już we wstępie zostają odprawione i odesłane w rejony omal że niedopuszczalności. Messori przezornie

odrzuć "wszelkie tematy polityczne, socjologiczne, a także «klerykalne», kojarzące się z «kościelną biurokracją», które stanowią prawie sto procent informacji (czy dezinformacji) nazywanej arbitralnie «religijną», a rozpowszechnianej przez liczne środki przekazu" (PPN 14).

Pytającemu nie chodzi o "pytania typowe dla «watykanologów»" (PPN 14). Obchodzi go jedynie "wiara". "Nie interesuje" go, przy czym używa tu zdradzieckiego "my", aby czuć za sobą zbiorowość trzody, "Papież, w którym wielu chciałoby widzieć prezydenta swego rodzaju światowej agencji do spraw etyki, pokoju czy ochrony środowiska" (PPN 14). Przy tym jakby nie zauważał faktu, że Papież sam bez ustanku miesza się w te kwestie i odpowiada na pytania, na które zaledwie mniejszość ludzi na świecie pragnęłaby odpowiedzi akurat od Watykanu.

Któż oprócz takich Messori tej ziemi pragnąłby widzieć w Wojtyłę nie tylko "jednego z wielkich tego świata, ale jedyne go człowieka, który w oczach innych ludzi jest bezpośrednim łącznikiem z Bogiem, «zastępcą» samego Chrystusa, drugiej Osoby Trójcy Świętej" (PPN 15)?

Nic dziwnego, że Messori dochodzi do "dysproporcji między nami - małymi chrześcijanami, nękanymi przez problemy na miarę naszej przeciętności - a obecnym Następcą Piotra" (PPN 19), który "nie potrzebuje wcale «wierzyć»: dla niego bowiem prawdy wiary to namacalna rzeczywistość."

Nic dziwnego, że Messori w ogóle nie zauważa, jak namacalnie i rzeczywiście w oczach większości, czyli milionów ludzi "nękanym przez problemy na miarę ich przeciętności", przykroił w ten sposób Papieża do formatu swej własnej przeciętności. Nie trzeba być zwolennikiem Wojtyły, aby stwierdzić: na to Jan Paweł II sobie nie zasłużył.

Messori, rozpaczliwy laik w teologii, pyszni się tym, że jedna z jego poprzednich książek nie tylko osiągnęła duże nakłady, ale także "wywarła pozytywny wpływ na cały Kościół" (PPN 9). Nie znam ani jednego liczącego się teologa, który by podobnie o sobie napisał. Na przykład Karl Rahner, który wywarł niezrównany wpływ na Kościół w XX wieku, nie potrzebował ani razu stawiać swej pracy w takim świetle, jak to czyni Messori.

Niespożyta jest jednak duma twórcy nagłówek: książka Wojtyły, zarozumiale wprowadzona jako "dokument dla dnia dzisiejszego, ale także dla historii" (PPN 17), niezwłocznie awansuje na "klucz do odczytania i interpretacji całego jego nauczania" (PPN 17). Jako "absolutny precedens w dziejach papiestwa,



które w kolejnych stuleciach widziały już wszystko" (PPN 8), Messori zamierzył wywiad telewizyjny z Wojtyłą. Tylko przeoczył przy tym fakt, że co prawda dzieje papieżstwa wszystko widziały (również w sensie jak najbardziej negatywnym, co Messori przemilcza, bo widać nie ma o nich pojęcia), jednakże telewizja nie istnieje na świecie aż tyle czasu. Zalicza więc Messori sławę tego "pierwszego": i z pewnością w finansowych korzyściach z przedsięwzięcia też będzie uczestniczył.

## II

### PODRÓŻNIK NIEZDOLNY DO DIALOGU

Jak uroczy Papież chciałby rozplómieniać ludzi i dlaczego mu się to nie udaje?

Co powiedzielibyście o Janie Pawle II, gdybyście go musieli krótko scharakteryzować? Co przychodzi wam samorzutnie do głowy na temat Papieża? Zakładam, że jak wielu innych, wy też pomyślicie najpierw o tym, że Karol Wojtyła wciąż podróżuje.

Obecny Papież, wykpiwany jako Ojciec Pośpieszny, widzi w tych podróżach pasterskie wizytacje, wizyty duszpasterskie, dające mu okazję do rozmów ze wszystkimi ludźmi dobrej woli.

Mimo że w ostatnich latach atrakcyjność Papieża ciągle maleje i doprawdy nie ściąga on już takiej masy ludzi, jak na początku swego pontyfikatu, niezłomna wydaje się być jego wola nawiązywania dialogu z odwiedzanymi. Dziennikarz Messori mówi, że "nakazuje mu to jego pasterska gorliwość i pragnienie, by wszystkie narody świata mogły «zrozumieć» jego przepowiadanie Ewangelii" (EPN 10).

Czy Jan Paweł II jest przygotowany do szeroko zapowiadanego dialogu?

To pytanie o centralnym znaczeniu. Domaga się odpowiedzi choćby dlatego, że jego nowa książka też chce prowadzić z ludźmi ten dialog. Bo zanim się zacznie mówić o tym, co nowe w proklamacjach Wojtyły, o nadziei, a tym bardziej o przekraczaniu progów, należałoby na wstępie wyjaśnić założenia rozmowy.

Dla niektórych jeszcze dzisiaj, po tak wielu doświadczeniach z tym Papieżem, samo pytanie o jego zdolność do prowadzenia dialogu może ocierać się o błuźnierstwo. Im się wydaje, że Jan Paweł II jest zainteresowany rozmową ze wszystkimi ludźmi i we wszystkich językach. Wiele mówi i zagaduje.

Mimo rzucających się w oczy objawów zmęczenia Karol Wojtyła nadal pozostaje sensacją dla środków przekazu. Zaraża ludzi tą "szczególną charyzmą współczesnej posługi Piotrowej na drogach świata", której raz po raz musiał bronić przed krytyką ze strony swej własnej Kurii.

Aktualny następca Piotra podkreśla nie tylko swój urok osobisty, chociaż umie się nim posługiwać, natomiast chodzi mu o charyzmę pełnionego przez się urzędu. Wojtyła z pewnością wie, jak ogromne szanse otwierają się przed Watykanem w

czasie jego pontyfikatu. Takie otwarcie się papieżstwa na świat, jak za Jana Pawła II, nie było dla Kurii czymś oczywistym. Ukazuje to wyraźnie krótki rzut oka na zachowanie się papieży.

Papiestwo długo starało się przedstawiać jako dom ojcowski, w którym panuje prawda Boża. Nie przypadkiem Pierwszy Sobór Watykański przyniósł podniesienie rangi papieżstwa do wyżyn, dotąd uważanych raczej za niemożliwe: w roku 1870 Pius IX kazał sobie zagwarantować nieomylność w pełnieniu swego urzędu. A zwolennicy tego niesłuchanego w piśmie i tradycji dogmatu byli zdania, że oto w Kościele zaświtała nowa epoka. Na mocy gwarancji Boskiej papież będzie odtąd zachowywał wszelką prawdę na ziemi i nauczał jej ze swej pozycji nadrzędnej, otwartej ku niebu, hierarchicznej.

Zamiast spełnienia tej nadziei pojawiła się jej odwrotność: papież nie okazał się bynajmniej uniwersalnym lekiem na chaotyczną sytuację prawdy w ówczesnym świecie, mimo że, jak entuzjastycznie się jego stronnicy, mógł "dowolnego dnia nauczać, osądzać i orzekać", katolikom zaś "w ogóle nie było wolno podawać jego postanowień w wątpliwość".

W dwa miesiące po uroczystym wprowadzeniu dogmatu Pius IX pożegnał się z władzą świecką i państwo kościelne, którego pośredniego potwierdzenia wielu spodziewało się po dogmacie o nieomylności, z dnia na dzień przestało istnieć. Rozkaz otwarcia ognia, wydany przez papieża, o którego poczytalności znowu się powątpiewa, kosztował wprawdzie 70 zabitych, lecz nie ocalił jego stanu posiadania. Stolica papieska dostała się w ręce buntowników, rewolucja triumfowała na wszystkich ulicach i papież pierwszy raz nie widział innego wyjścia niż wycofanie się do getta Watykanu.

Odtąd Kuria przez dziesiątki lat w praktyce już nie miała nic do powiedzenia światu, sławnego błogosławieństwa *Urbi et orbi* nie wygłaszano już do Placu św. Piotra, a w stosunku do nowo powstałego zjednoczonego państwa włoskiego Watykan stać było tylko na bojkot. Wierni Rzymowi katolicy powinni byli nie dać się wybierać do parlamentu narodowego ani też uczestniczyć w demokratycznych wyborach. Z epoką wychowaną na idei suwerenności narodowej Kuria nie chciała mieć nic wspólnego.

Klęskę 1870 roku tłumaczono w kategoriach obelgi, a słabość instytucji, przejawiającą się w niemalże całkowitej utracie siły roboczej, pokryto dyskusjami. Kuria zajęła się czymś innym: przy użyciu współczesnych środków komunikacji

Watykan, coraz bardziej świadom praw marketingu, coraz częściej urządził w Rzymie dramatyczne pokazy tych, co pozostali mu wierni. Zbita trzódka gromadziła się tam wokół obrażonego arcybiskupa, którego osobę mistycyzowano i nawet chrystyfikowano.

Strategicznie wytwarzany profil papieża budził coraz więcej i więcej wiary w jego niepowtarzalną wielkość. Jako władca bez kraju, ale z większą liczbą poddanych niż jakikolwiek inny, papież stał się monarchą wśród monarchów, przestylizowany na coś jedyne w swoim rodzaju, co przynajmniej zewnętrznie nie miało nic wspólnego z polityką i jej kategoriami myślenia i działania.

Z nim wierni mogli się identyfikować i nierzadko robili to na gruncie politycznym, gdzie od dawna brakowało im postaci do identyfikacji. Papież stał się przez to nietykalny, bo chroniło go tabu, wynikające z miłości milionów. Pius XII, papież sprzedawany jako anielska i wzniosła, świetlista postać, reprezentuje wielu takich jak on. Pamięć o nim do dzisiaj znajduje wiernych głosicieli.

Dla oficjalnej teologii kościelnej pozostało w ciągnącym się przez dziesiątki lat okresie wyczekiwania niewdzięczne zadanie: zabezpieczyć argumentacyjnie mentalność rzymskiego getta, wynikłą z polityki Kościoła, która ponosiła za to wyłączną odpowiedzialność. Utwierdzała więc, na ile się dało, swe własne prawdy, prześladowała wszelkie odchylenia we własnym obozie, cenzurowała książki oraz ludzi... i trwała w poczuciu najgłębszej obrazy.

Świat mógł sobie czekać, aż Watykan znów się ku niemu skłoni. Papież mówił do świata, ale nigdy ze światem.

Że ówczesny Kościół ze swymi papieżami utracił przez to dostęp do wiedzy, mało tego, że występował coraz bardziej w roli kłody na drodze rozwoju kulturalnego i jako przeciwnik bezstronnego poszukiwania prawdy, tego ci zawodowi ślepcy już w ogóle sobie nie uświadamiali.

Fundamentalisci chętni się swoją izolacją, a dogmat o nieomyślności pozostawał tą słomką, której się czepiali. Raz na zawsze bowiem odgródzone zostały od siebie błąd i prawda. I znowu błąd - często będący synonimem wszystkiego, co świeckie, nie rzymskie - stracił prawo do wysłuchania i wręcz do istnienia.

W procesie zarówno konfrontacji, jak i asymilacji wobec nowoczesnego państwa kościelno-katolickie chrześcijaństwo zdecydowanie przejęło współczesne pojęcie suwerenności i zlokalizowało ją na papieskim szczycie własnego Kościoła. Udało się przy tym spleść tradycyjne formy władzy i jej symbole z nowoczesnymi

formami społecznymi i naukowymi, sprawiając, aby się wzajemnie wspierały.

Biurokracja watykańska doprowadzona została do współczesnego stanu organizacji, a jednak utrzymana w tradycyjnym spirytualizmie kościelnym. Zza nowoczesnych biur zarządzała w oparciu o średniowieczne paragrafy, a przez telefon wymieniała się staroświeckimi doktrynami.

Dla przypomnienia: z tego środowiska wywodzi się także dzisiejszy Papież. W tej mentalności Papież przeżył dzieciństwo i młodość, jak również swe lata kapłańskie. Nie przypadkiem Wojtyła został biskupem jeszcze za Piusa XII.

Niepewnie rozwijający się dialog Watykanu ze światem odbywał się początkowo za pośrednictwem nowych środków przekazu. Tak usiłował Pius XII, manifestujący swą ludzką nieprzystępność i nacechowany wręcz mistycznie przerośniętym poczuciem autorytetu, raz po raz kształtować wykolejony świat, udzielając mu wytycznych za pomocą słów dobiegających z Watykanu przez radio watykańskie. Watykańskiej gazety Osservatore Romano w ogóle nikt nie czytał, chyba że z pobożności.

Jan Paweł II, który mógłby się stosowniej nazywać Pius XIII, pojętnie korzystał z tej szkoły: z wysokości swojego tronu papież musi pouczać cały świat i używać do tego wszystkich środków przekazu, jakie świat mu daje do rozporządzenia: telewizji, radia, wywiadów, książek. W tym kontekście nieuczciwie to brzmi, kiedy Wojtyła te same środki przekazu, z których tak zawzięcie korzysta, ocenia w książce swej negatywnie i nawet wytacza przeciw nim Biblię: "Środki masowego przekazu przyzwyczyły różne środowiska społeczne do słuchania tego, co «dechce uszy» (por. 2 Tm 4, 3)" (PPN 132). Środki te, jak widać, tylko wtedy są pożyteczne, gdy propagują samego Papieża i jego katechizm, będący "na rynkach księgarskich całego świata bestsellerem" (PPN 127), lecz nie wówczas, gdy zapewniają "łatwą popularność" (PPN 133) innym poglądom.

Tymczasem Radio Vaticana eksportuje co tydzień 225 godzin swoich prawd w 33 językach do przeszło 100 krajów świata. Używana przez tę instytucję największa na świecie antena obrotowa, finansowana sumą przeszło czterech milionów dolarów rocznie, przekazuje wyłącznie treści tendencyjne. O czym jednak wie bardzo niewielu z 80 milionów słuchaczy: że prawie codziennie wczesnym rankiem emituje ona komunikaty, najczęściej zaszyfrowane, przeznaczone wyłącznie dla uszu arcypasterzy.

Pius XII nauczał cały świat, lecz nie wyjeżdżał z Rzymu, aby osobiście

przemawiać do ludzi, wygłaszając do nich niezliczone pouczenia. Pod tym względem Watykan musiał się douczyć. Jan XXIII, pragnący być dla wszystkich raczej bratem, niż ojcem, uczynił skromny początek; a dopiero Paweł VI ruszył w świat odrzutowcem. Podług wypowiedzi Kurii uczynił to "jak Paweł pośród Greków i Rzymian", ludziom jednak pozostał dziwnie obcy.

Przy tym Kościół "podejmuje zmaganie się z duchem tego świata, co nie jest niczym innym jak zmaganiem się o duszę tego świata" (PPN 96). Papieże muszą zatem wychodzić na ziemskie targowiska, te "nowożytny areopagi" (PPN 96), na pola bitewne "nauki, kultury, środków przekazu" i w "środowiska elit intelektualnych, środowiska pisarzy i artystów" (PPN 96).

Jana Pawła II przyjęto w wielu krajach. Jest on - jako dziedzic i użytkownik rozwoju, jaki się dokonał - pierwszym, który wręcz żyje z tak zwanych podróży apostolskich.

Rzymowi z początku dano też, z niewieloma wyjątkami, bardzo życzliwie tę świeżą szansę. Wielu sprawiało wrażenie gotowych do wysłuchania, co mówi Watykan. Widać był już najwyższy czas na wyjście papieża do ludzi, podczas gdy zadawniona izolacja Kurii okazała się błędnym rozwiązaniem. Najwyraźniej miejsce papieża było pośród ludzi.

Z uznaniem spotkała się odwaga Wojtyły, aby wyłamać się z getta swego urzędu, słuszność wytycznych oceniać w pracy na przodku, wyjść na ulice świata. Oto zwierzchnik Kościoła rzymskokatolickiego pojawił się wreszcie jako człowiek pośród ludzi, a nawet jako dotykalny papież, z góry cieszący się ogromnym kredytem zaufania.

W znacznej mierze z tego właśnie powodu zapytuję, co się stało z nadziejami tak wielu, co Wojtyła z nimi począł, a czego zaniedbał. Trzeba wyjaśnić, czy właśnie tak ufne wyjście mnóstwa ludzi naprzeciw oraz ich gotowość do rozmowy z papieżem, a zwłaszcza z Wojtyłą, nie obróciły się w pustkę z powodu form i treści jego podróży apostolskich? Czy Watykan istotnie uświadomił sobie, jaka niespodziewana szansa mu się nastęczyła? Czy też wbrew godnym uznania wysiłkom Jana Pawła II sam sobie zablokował drogę? Czy podróżujący Papież przemawia do wszystkich ludzi, czy tylko do ich znikomej części?

Pytania te nasuwają się nie tylko w odniesieniu do podróży Papieża; trzeba na nie odpowiedzieć także wobec jego najnowszej książki. Czy Karol Wojtyła proponuje prawdziwą rozmowę? Czy ją podejmuje? Czy też upiera się przy aż nadto znanych

monologach Kościoła po wczorajszemu protekcjonalnego? Czy jego prawda jest w ogóle otwarta na ryzykowny dialog? Czy tak utwierdzona, że można się jej tylko uczyć, ale nie dyskutować? A może ten Papież tylko stwarza pozory dialogu?

Nowa książka jest napisana w stylu encyklik, więc w każdym szczególe pouczająco.

Papież sporządza nadzwyczaj męczące układanki z cytatów biblijnych, popisuje się znajomością św. Tomasza z Akwinu i jemu podobnych "katolickich" myślicieli; i przemawia chyba do bardzo nielicznych odbiorców z wyjątkiem niektórych profesorów teologii starej szkoły i dziecięco naiwnych dziennikarzy.

Tak często fatygowana przez Papieża Biblia wypada w tych monologach równie martwo jak częstokroć powoływany ostatni Sobór. Nie świadczy to o pogłębionej znajomości Biblii i tradycji, wyszkolonej na nowoczesnych badaniach, kiedy Wojtyła cytując wrywa z kontekstu i zlepia dowolnie jako "autentyczne słowa Jezusa". Dziś już nawet studentowi drugiego semestru nie wolno używać Biblii na kształt kamieniołomów i wyłupywać z niej kawałków, jakie tylko są mu potrzebne. A czy wolno to papieżowi, który chce, aby go traktowano poważnie?

Wobec znaczenia, jakie Wojtyła przypisuje swoim wysiłkom, nie od rzeczy będzie zapytać o skuteczność tych wizyt i książek, nastawionych na dialog. Bo jak tu przekraczać próg nadziei, skoro nie udało się przekroczyć nawet progu dzielącego od ludzi?

Chcę przedstawić ten problem na przykładzie podróży Papieża, uważanych za charakterystyczny rys Wojtyły. Do jego książki, jak się okaże, w sumie się odnosi to samo. Jakkolwiek obficie Wojtyła szczyci się tu (i zanedba) swoją przeszłością jako filozofa moralnego w służbie Kościoła: przecież trochę więcej kontaktu również z pracami egzegetycznymi nie zaszkodziłoby jemu ani też jego książce.

Gdy analizuje się przebieg tych wizyt, niełatwo doszukać się w nich czegoś, co by miało charakter właśnie dialogu. Już i forma zewnętrzna wizyt papieskich odpowiada wizycie na szczeblu państwowym, po której nikt z mieszkańców odwiedzanego kraju nie może się spodziewać rozmowy, a tym bardziej dyskusji z odwiedzającym: z wyjątkiem zaproszonych gości, których spotyka się także przy wszystkich innych wizytach państwowych.

Wizyta papieża w praktyce nie różni się od wizyty królowej brytyjskiej. Oboje przybywają na przygotowane dyplomatycznie, oficjalne zaproszenie, oficjalnymi samolotami. Oboje powitani zostają z wojskowymi honorami i przemówieniami

dygnitarzy, oboje uczestniczą w bankietach państwowych, oboje przejeżdżają oficjalnymi samochodami przez mniej czy bardziej imponujący szpaler wiwatującej ludności na najbliższą wizję lokalną. Oboje otoczeni są gromadą pracowników służby bezpieczeństwa ze względu na groźbę zamachu. Oboje wygłaszają przemówienia, których się od nich oczekuje i które, z grubsza biorąc, są z góry już ustalone. Oboje wypełniają całymi dniami programy środków przekazu i wreszcie oboje zostają pożegnani, na tle widzów tworzących dekoracje, po czym wraca się do codzienności.

Również i deklarowana przez Wojtyłę ocena jego wizyt niewiele w tym zmienia, jeśli chodzi o formalny dystans, narzucony przez jego urząd. Jan Paweł II mówi wprawdzie z przekonaniem o religijnych motywach swoich podróży; jednakże pasterski charakter jego wizyt istnieje tylko w oczach Papieża, bo ledwie się rozpocznie przepisowy rytuał wizyty państwowej, jej pasterski charakter od razu blednie. Werbalna formuła, wedle której podróże Wojtyły to wędrówki apostoła, misjonarza i pielgrzyma, nie może się ostać wobec faktów. Trudno się oprzeć wrażeniu, że motywy teologiczne czy wręcz biblijne schodzą w tych wizytach na dalszy plan, jako że podróżna dyplomacja papieska dostaje się w autonomiczny wir ziemskich realiów.

Papież bowiem, politycznie świadom jak chyba żaden inny od czasów Piusa XII, daje z siebie uczynić piłkę gier politycznych, nie będąc w stanie ocenić, czy jego aktywność podróżnicza przynosi ludziom rzeczywisty pożytek.

Wzór wydziergany jest zawsze podobnie: gdy na przykład Jan Paweł II w roku 1980 chciał wybrać się do Paryża, mało komu pasowało to do ich koncepcji. Ci jednak przeforsowali swe interesy i nie dbali o większość. Demonstranci wylegli na ulice manifestując, że nie życzą sobie kaznodziei z Rzymu. "Laicyści", jak nazywano ich pogardliwie w żargonie klerykalnym, powoływali się na rozdział Kościoła od państwa, rygorystycznie przestrzegany we Francji, w przeciwieństwie do niedbałej praktyki w Niemczech. Papież w Paryżu? Wizyta opłacana z publicznych funduszy na koszt podatników? Wojtyła chroniony przez 15 tysięcy policjantów? Księża nawoływali do bojkotu ich najwyższego szefa. Nic dziwnego, że zamiast spodziewanych setek tysięcy pojawiło się na mszy papieskiej zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Kontrolowana przez państwo telewizja pokazać mogła, zamiast zwykłych zdjęć panoramicznych ze śmigłowca, tylko zbliżenia cisnącego się tłumu, jak gdyby za nimi stały miliony. Podobne doświadczenia Papież zmuszony był przeżyć w wielu krajach. Zawsze dominowali miejscowi politycy i strategie partyjne. Wyraziście



dokumentuje to przepychanka wokół wizyty papieskiej w Sarajewie jesienią 1994 roku. Misja pokojowa zamieniła się w wycieczkę do Chorwacji celem zachowania alibi. Wizyta Papieża jest tak samo nieodzowna przedstawicielom sfer interesów jak ich konkurentom.

A naród? Słucha albo nie słucha. Tak czy owak płaci. Płacone przez ludność podatki zużywane są bez skrupułów, bez względu na wyznanie jednych, na cele drugich. Większość finansuje mniejszość. Jak zwykle.

Na przykład Polska, kraj żyjący z zagranicznych kredytów, w którym przedszkola, domy starców, szpitale są w stanie politowania godnym, wysupłała w 1991 roku z budżetu państwowego jakieś w przeliczeniu 30 milionów dolarów tylko dlatego, że Papież chciał czy musiał przybyć z wizytą.

Kiedy w 1990 roku Wojtyła przyjechał na krótko do Neapolu, by wygłosić kazanie o "degeneracji życia publicznego", miasto zapłaciło za tę parogodzinną wizytę jakieś 6 milionów dolarów. Znaczną część tej sumy zainkasowała jakoby miejscowa mafia. Prokuratura do dzisiaj to wyjaśnia.

Natomiast Jan Paweł II, nie ma co sobie wmawiać, nie stał się naprawdę papieżem ludowym. Ani jego podróże, ani przemówienia i książki, nie pozyskały mu ludzi na stałe. Jest gwiazdorem środków przekazu, którego z olbrzymim nakładem wysiłku i kolosalnych pieniędzy inscenizuje się na papieża ludowego.

Również i polityczny efekt jego podróży był zawsze znikomy: niektóre z wojujących stronnictw mogły sobie widać pozwolić na papieskiego gościa, nawołującego wciąż do pokoju. Treść papieskich przemówień jak gdyby nie interesowała nikogo z odpowiadających za politykę. Narzuca się wrażenie, jakby nie tyle pasterz przybywał do swojej trzody, ile głowa państwa do zaprzyjaźnionego narodu: monarcha, któremu trzeba wyświadczyć należne honory i który - w zamian za to? - daje się wykorzystać reklamowo dla celów politycznych, nawet gdy polityka realna w ogóle nie dba o to, czego tam sobie zażyczył Papież.

Dla prestiżu Wojtyły i Watykanu wrażenie to jest niebezpieczne. Nie bierze się jednak znikąd i nie można go też w całości zwalić na świecką politykę. Bo Watykan wciąż jeszcze obstaje przy koncepcji papieża jako głowy państwa, tak jak katolicyzm ją interpretuje w oparciu o współczesną naukę o państwie.

Tkwi to również w specyficznej, religijnie uformowanej tytulaturze, która odróżnia papieża od królowej brytyjskiej i przy okazji sprawia, że dla niektórych polityków jest on bardziej interesujący. Nie bez powodu międzynarodowa komisja

katolickich teologów zaleciła przed laty, ażeby papież unikał wszelkich tytułów, w których mogłaby się kryć groźba nieporozumienia.

Jan Paweł II zlekceważył tę radę. Przedstawiał się i przedtem, i potem jako "namiestnik Chrystusa i widoczna głowa jego Kościoła". Tymczasem określenie "namiestnik Chrystusa" stwarza okazję do nieporozumień i zgorszenia, nie mówiąc już o tym, jakie wzbudza zastrzeżenia ekumeniczne. Nie jest ani trochę uzasadnione biblijnie, wywodzi się zaś z rzymskiego języka prawnego i wojskowego. Trudno pojąć, czemu nie zrezygnowano z czegoś takiego. Chyba że tytułowi i posługiwaniu się nim odpowiada określona koncepcja teologiczna i polityczna: niezmiennej władzy mężczyzn nad ludźmi.

Co prawda książka Wojtyły zdaje się odstępować od tradycji, na którą Vittorio Messori powołuje się w związku z "człowiekiem «występującym w imieniu» Drugiej Osoby Trójcy Świętej" (PPN 25). Papież określa swe tytuły jako formy, w których ludzie zwracają się do niego, "używając tym podobnych zwrotów, które zdają się być nawet przeciwne Ewangelii. Przecież Chrystus sam powiedział: «Nikogo nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chcecie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus» (Mat. 23, 9/10). Jednakże zwroty te wyrosły na podłożu długiej tradycji. Stały się pewnego rodzaju przyzwyczajeniem językowym i również tych zwrotów nie trzeba się lękać" (PPN 27).

Papież co prawda stwierdza, że te gorszące wyrażenia "są mało ważne" (PPN 29), lecz nie eliminuje ich, co byłoby najprostsze i całkiem łatwe. Tym samym rada, aby przekroczyć próg nadziei, staje się mydleniem oczu. Wojtyła nie przedstawia się wiarygodnie, gdy jedynie doradza, żeby się tych zwrotów "nie lękać". Skoro już ktoś ma złego psa, to lepiej się go pozbyć, niż mówić ludziom, że się go nie powinni lękać.

Na pierwszy rzut oka tytuł "Ojciec Święty" wydaje się zwrotem budzącym zaufanie. Niektórym ten ojcowski, patriarchalny gest daje poczucie emocjonalnej swojskości. Biskup Pasawy użył tego tytułu w 1980 roku w Altötting zamiast wielu innych i zarazem objaśnił: "Kochany Ojcze Święty! Tysiące na tym rozległym placu poczuły to i powinny wiedzieć, że wyraźnie zezwoliłeś na ten wyraz dziecięcego oddania." Zezwoliłeś? To niezbyt pokorne.

Bądź co bądź "Ojcze Święty" brzmi nieco przyjemniej niż ten zwrot, którym pyszni się na karcie tytułowej amerykańskie wydanie nowej książki Papieża: "Jego Świątobliwość". Lecz i w tym wypadku tradycja mówi za siebie: papież Grzegorz VII

(1073-1085) stwierdził po prostu, że po przepisowo dokonanym objęciu swego urzędu każdy papież staje się też osobiście świętym; że urząd papieski czyni swojego posiadacza lepszym; on sam to poczuł na sobie. Co prawda kościelni juryści w późnym średniowieczu widzieli to trzeźwiej. Nauczali, że papież jest święty, ponieważ przekazuje świętość, a gdy brakuje mu osobistych cnót świętości, włączają się zasługi księcia apostołów Piotra i nadrabiają ewentualne niedostatki obyczajowe u następcy...

Tak czy owak nawet i rozważnie przejęte i nie rygorystycznie przykrawane tytuły grożą tym, że wytworzą między odwiedzającym i odwiedzanym zabójczy dla dialogu dystans i wykopią pomiędzy nimi świeże rowy, zamiast zasypywać stare. Tylko ci, którzy potrafią wyobrazić sobie papieża jako osobę przeniesioną w rejony świętości i tabu, której nie wolno mieć nic wspólnego z resztą śmiertelnych, mogą się bez wahania identyfikować z podobną tytulaturą i przyjmować ją jako wyraz dziecięcego oddania. Ale tacy zwolennicy papieża nie stanowią już dziś większości: i niedobrą przysługę sobie oddaje papież, który czuje się na właściwym miejscu jedynie wśród fundamentalistów.

Nie sposób tego pojąć, że książka nazywa się *Przekroczyć próg nadziei* i równocześnie na okładce (amerykańskiego wydania) posługuje się właśnie tym określeniem, o którym sam Papież powiada, że nie należy się go lękać...

Jan Paweł II wie, jakie niebezpieczeństwo grozi jego posłannictwu. Chętnie o tym mówi, że chce, aby jego wizyty i książki przemawiały do wszystkich ludzi.

Nie bez powodu Jan Paweł II chce się zwracać do wszystkich: a nie tylko do wybranych. Ale ta wielka ambicja, poczęta z ducha Pawła, który stał się "dla wszystkich wszystkim, żeby tak czy owak niektórych zbawić" (I Kor. 9, 22), nie zaznacza się. Można wypowiedzi Wojtyły obracać na wszystkie strony, jak kto zechce. Zwraca się on głównie do katolików, a pośród nich przede wszystkim do pasterzy i całkiem wiernych owieczek.

Czy to zawężenie jest niezamierzone? Trudno przyjąć, jakoby Papież był tak niemądry, żeby z góry wykluczać z oferty swej wszystkich niekatolików. Także i jego książka zwraca się, przynajmniej w intencji autora, do "wszystkich".

Wrażenie jest tym bardziej szokujące, kiedy gość z Rzymu raz po raz przedstawia się ludziom przy użyciu tytułów prawnych z przeszłości, uważanej za anachroniczną. Wielu odczuwa tę autoprezentację jako brak wrażliwości Kurii wobec inaczej myślących i wierzących: i kończą się szansę na dialog.

Z ziemskim namiestnikiem Chrystusa nie każdy skłonny jest szczerze dyskutować. Nie sposób sobie wyobrazić, aby królowa brytyjska w którejś ze swoich oficjalnych wizyt przedstawiała się jako "głowa Kościoła anglikańskiego" lub "obrończyni wiary", choć byłoby to jedynie odwołaniem się do jednego z jej uprawnień. Gdyby ktoś zapytał, kogo konkretnie Wojtyła odwiedza lub do kogo się zwraca, Watykan popadłby w zakłopotanie. Grupa tych, którzy go zaprosili, jest niewielka i większość nawet katolików ciągle jeszcze w tym nie uczestniczy.

Wielu przypomina sobie (jeżeli się w ogóle nad czymkolwiek zastanawiają) słowa i postępkę właśnie gościa i autora Wojtyły. Na przykład to zdanie, z którym w 1979 roku zwrócił się do Narodów Zjednoczonych: "Naruszanie praw człowieka także w czasie «pokoju» jest formą wojny przeciwko ludzkości." A równocześnie Kościół rzymski depce prawa człowieka i niemal powszechnie tłumi demokrację, a Kuria od dziesiątków lat odmawia podjęcia dialogu. Zwraca uwagę fakt, że w nowej, skądinąd jakże gadatliwej, książce Papieża na dwustu stronach nie ma ani jednej wzmianki, która dotknęłaby problemu wewnętrznej sytuacji w Kościele.

Widocznie takie i podobne "problemy na miarę naszej przeciętności" (PPN 19) należą do tych, które Messori z góry wykluczył jako "tematy kojarzące się z kościelną biurokracją" (PPN 14), mimo że milionom właśnie one nie dają spokoju. Co to za dziennikarz, który w wywiadzie oszczędza rozmówcy najbardziej palących pytań! I cieszy się jak dziecko, gdy mu powiedzą: "Proszę się kierować własnym uznaniem" (PPN 9).

Nie bez powodu większość ludzi nie wdaje się w rozmowę z Janem Pawłem II. Już tylko mniejszości daje ten Papież jakąkolwiek nadzieję. Potwierdzają to badania opinii publicznej. Nie należy lekceważyć ich wyników, bo statystyki liczą się nie tylko wówczas, gdy ich wynik jest pozytywny.

Wojtyła ułatwia sobie sprawę, gdy w związku z odchodzeniem setek tysięcy ludzi od Kościoła bagatelizuje wyniki tych badań:

"Same cyfry tutaj nie wystarczają" (PPN 89). I pomijając kwestię stwierdzonego statystycznie zmniejszania się liczby swych wiernych, mówi od niechcienia o "odnowie jakościowej" (PPN 129). Nie pomaga to jego argumentacji, gdy odwołuje się akurat w tym kontekście do pewnych "ruchów religijnych" (PPN 129), nie powołując się jednak na Opus Dei.

Większość ludzi umacnia się w swojej postawie defensywnej przez to, że Wojtyła szczególnie chętnie odwiedza pewne miejsca, typowe dla ortodoksji

katolickiej: ośrodki pielgrzymek maryjnych lub rezydencje biskupie. Dotyczy to też regularnie podawanych za powód wizyty uroczystości i jubileuszów ku czci rozmaitych świętych. Najwidoczniej intencją Jana Pawła II jest, jak zawsze, prezentowanie przede wszystkim Kościoła triumfującego.

Ta intencja bynajmniej nie każdego z potencjalnych rozmówców zachęca do dialogu. Toteż coraz bardziej i bardziej kurczy się liczba katolików zdolnych i gotowych do dialogu; i nie zmieni tego faktu najgorliwsza arytmetyka duchowna.

Kto chce przynieść wszystkim nadzieję, mógłby przede wszystkim zapomnieć o sobie i swym urzędzie, a pomyśleć bardziej dalekowzrocznie, niż nakazuje lękiem podszyte wyobrażenie przewodnie Kościoła zawsze zwycięskiego, a co najmniej "w końcu" mającego zatriumfować.

W tym kontekście rzuca się w oczy, iż Papież ciągle upiększa triumfalne tradycje swego Kościoła i powołuje się na nie przy każdej okazji. Tutaj styl kurialny się nie sprawdza. Rzadko schodzi się poniżej superlatywów. Są to językowe objawy wewnętrznej słabości.

Wojtyła zachłystuje się "prawdziwą siłą Kościoła" (PPN 135) i stwierdza, że "poprzez wszystkie epoki" siłą jego "są i pozostają zawsze święci". W tej metodzie czają się niebezpieczeństwa. Jan Paweł II wpada we własną pułapkę, powołując się tu na "męczenników wojny domowej w Hiszpanii" (PPN 135). W tym kontekście może mieć na myśli jedynie męczenników swej własnej sprawy, lecz nie setki tysięcy tych, których generał Franco prześladował i wymordował w czasie wojny domowej w Hiszpanii i później. Czy oni również świadczą o "prawdziwej sile Kościoła"? Czy męczeństwo ich nie świadczy raczej o sile innego światopoglądu: i o bestialstwie katolickich faszystów, którym błogosławił poprzednik obecnego Papieża?

Papież całkowicie też przemilcza tę inną, widać niebezpieczną tradycję męczeństwa za prawdę religijną, której uosobieniem jest na przykład niemiecki mistik i rewolucjonista Tomasz Müntzer. Dla wielu Niemców nazwisko to znaczy bez porównania więcej niż Albert Wielki, dla którego chwały Wojtyła przyjechał pewnego razu do Republiki Federalnej Niemiec.

Najwidoczniej "kacerstwo" nie zasługuje na wzmiankę, tym bardziej zaś na szacunek, jeśli nie liczyć paru pobieżnych napomknięć Papieża o Lutrze, nie tykających istoty posłannictwa Lutra, wymierzonego w instytucję rzymską.

Jak może w tych okolicznościach dojść do rozmowy między gościem a większością gospodarzy o różnicach poglądów? Jeżeli z góry wyklucza te drugie

Niemcy, oparte na rewolucyjnych tradycjach mistyki, na korzyść rzekomo zwycięskiej ortodoksji?

Podobne wątpliwości co do tego, czy Papież jest gotów podjąć dialog, nasuwa niemalże całkowity brak przyznawania się do winy, jakże charakterystyczny dla wypowiedzi Wojtyły i w jego obecnej książce ponownie wykluczający jakąkolwiek nadzieję na polepszenie. Podkreślanie uznanych świętych i tym samym określonego rodzaju teologii zwycięzców jest u Jana Pawła II stałą metodą.

Kościół, jak rozumie go i przedstawia Wojtyła, zawsze stoi po słusznej stronie; wie o tym i głosi to z całą pokorą. Tymczasem aż nadto wystarczająca liczba ludzi wie, ile winy ciąży historycznie i współcześnie na Kościele rzymskim.

Kiedy Papież wybiera się do Ameryki Łacińskiej, wielu spodziewa się, że - ustami samego Papieża! - przypomni się, jakie winy obciążają Kościół w stosunku do tego kontynentu. Ale cóż ma powiedzieć ktoś gotowy do dialogu z Rzymem, gdy Wojtyła na Haiti stwierdza po prostu, iż dziękuje Bogu za to, że mógł tu przybyć "drogą, którą utorowali pierwsi wysłannicy wiary po odkryciu tego kontynentu"? Czy ten człowiek nie rozczarował się, słysząc takie zdania, wypowiedziane akurat na miejscu zbrodni? Przecież to tu, jak pisze hiszpański dominikanin Bartolome de Las Casas (1474-1566), "odbywała się rzeź i duszenie tych nieszczęśników", których zmuszano do przyjęcia ewangelii rzymskiej, czy chcieli tego, czy nie chcieli.

Chyba nie może być ostatnim słowem Kościoła katolickiego w tej udręczonej części świata zdanie, które wygłosił Papież: "możemy dzisiaj spoglądać na to dzieło jedynie z podziwem i wdzięcznością", jeśli traktujemy poważnie to, co napisał w swej relacji naoczny świadek Las Casas: "Chrześcijanie wdarli się pomiędzy lud, nie szczydzili dzieci ani starców, ciężarnych ani matek, rozpruwali im brzuchy i rąbali wszystko na części, nie inaczej, niż jakby rzucili się na trzodę owiec."

Jan Paweł II, któremu nie przeszło przez usta ani jedno słowo grozy, a tym bardziej skruchy, potrafił się tylko chełpić, jakie to "czasy zbawienne dla tego kontynentu ku chwale i czci Bożej" wtedy się rozpoczęły. Nawet marginesowo nie wspominał o prawdzie, którą opisuje Las Casas: "Zbudowano także szerokie szubienice, tak aby stopy niemalże dotykały ziemi, i wieszano ku sławie i czci Zbawiciela i dwunastu apostołów po trzynastu Indian na każdej z nich, po czym układano pod nimi drewno i zażęgłszy je palono ich wszystkich żywcem."

Także i w swojej książce Wojtyła zdobył się jedynie na słowa o zbawiennych "dziejach ewangelizacji", będącej "spotkaniem z kulturą każdej epoki" (PPN 93). Że

spotkanie to odbywało się w warunkach pogardy dla człowieka, to dla Papieża szczególnie nie zasługujący na wzmiankę. Mówi natomiast o tym, jak "zdumiewająca" była to misja i "skuteczność tych słów Odkupiciela świata" (PPN 94). Papież, chcący wszystkim ludziom przynieść nadzieję, mógłby jednak zdobyć się na tyle uczciwości, aby wreszcie zadać sobie pytanie: kogo i jak "zdumiewała" aż do zaparcia tchu śmiercionośna misja jego Kościoła?

Przekroczyć próg nadziei? A może przekroczyć granice tego, co człowiek potrafi znieść?

Las Casas, w przeciwieństwie do tylu innych nie kanonizowany i w nowej książce Papieża nawet wzmianką nie zaszczycony, zdumiałby się słysząc, jak Karol Wojtyła mówi, że Kościół na Haiti był "pierwszą instancją, która wystąpiła w obronie sprawiedliwości". Naoczny świadek opisał, jaka to w rzeczywistości była sprawiedliwość: "Ponieważ Indianie, co zdarzyło się tylko parę razy, w słusznym i świętym gniewie zabili kilku chrześcijan, ci wprowadzili prawo, że za każdym razem będzie zabitych stu Indian, ilekroć przez nich uśmiercony zostanie jeden jedyny chrześcijanin."

Oczywiście żaden papież, jak stwierdza historyk Karlheinz Deschner, nie zabił ani jednego Indianina: "Papieże naprawdę są tu całkiem niewinni, tak samo jak Hitler, który nie zabił wszak ani jednego Żyda, nie jest winien ich zagazowania."

Jednakże nie tylko w tym przypadku wielu spodziewałoby się od Papieża troszkę pamięci, odrobiny prawdy historycznej. To co Jan Paweł II ma do powiedzenia w swojej "najbardziej osobistej książce" jest albo lichym wykrętem (PPN 144), albo nikczemnym uproszczeniem: "W momencie, w którym Kościół rzymski pękał, tracąc ludy na północ od Alp, Opatrzność otwarła przed nim nowe perspektywy. W ślad za odkryciem Ameryki poszła ewangelizacja całego kontynentu na południu i na północy. Niedawno obchodziliśmy pięćsetlecie tej ewangelizacji i to nie tylko jako przypomnienie faktu z przeszłości, ale zastanawiając się nad obecnymi zadaniami w świetle tego dzieła, którego dokonali heroiczni misjonarze, zwłaszcza zakonnicy, na całym kontynencie amerykańskim" (PPN 94 i nast.).

Heroiczni misjonarze? Entuzjazm, który już ucichł, z okazji podróży na miejsce zbrodni, to za mało. Zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że nazwany przez Jana Pawła II apostołem Brazylii jezuita de Anchieta głosił swego czasu, iż "miecz i żelazny pręt" to "najlepsi kaznodzieje". Ten srogi jezuita w 1980 roku wyniesiony został na ołtarze. Przez kogo? Przez Jana Pawła II. Oto jeszcze jeden uwarunkowany

polityką kościelną wyczyn tego Papieża. Usłyszymy jeszcze o innych. Takie praktyki na pewno nie niosą nadziei wszystkim ludziom na świecie.

O krwią broczących dziejach rzymskokatolickiej ewangelizacji Papież nie mówi. Podkreśla tylko "prześladowania" (PPN 95) swoich, lecz nie to, jak swoi mordowali. Nie widzi "powodu do defetyzmu" (PPN 96), gdyż "Kościół jest misyjny ze swej natury" (PPN 98) i nadchodzi "nowa wiosna ewangelizacji" (PPN 97). Najwidoczniej Wojtyła nie śmie przekroczyć progu własnej pamięci. I on ma ze szczerego serca opowiadać innym o nadziei? Trudno sobie wyobrazić, jak bez należytych wyrazów skruchy ze strony Papieża i Kościoła można by się uporać z historią, aby ułatwić dialog ze wszystkimi ludźmi. Wojtyła milczy. Nie liczy się z wyostrzoną pamięcią tych, do których przemawia, na wszystkich kontynentach. Ignoruje problem historyczny, za który odpowiedzialny jest nie kraj, do którego przybywa, lecz ten, kto przybywa.

Oto jeden przykład z wielu, pokazujący, że przedstawicielom Kościoła katolickiego wciąż jeszcze bez porównania trudniej zdobyć się na samokrytykę niż walczyć z krytyką. Były kardynał Kolonii Höffner, ówczesny przewodniczący niemieckiej konferencji episkopatu, tak wypowiedział się - w szokująco nieludzkim stylu - o powtarzających się głosach krytyki na temat odwiedzin papieskich w Republice Federalnej Niemiec, a Wojtyła nigdy go za to nie pociągnął do odpowiedzialności: "Przed podróżą papieską rozległy się głosy, pisały też niektóre tygodniki. Troskałem się nie tyle o Papieża, ile o ludzi, którzy się tak wypowiadali. Zanim przyjechał, wylazły jak gdyby, że posłużę się tym obrazem, z mrocznych dziur wszelkiego rodzaju szkaradne duchy i zaczęły warczeć i szczeleć." Porównywanie ludzi do zwierząt ma co prawda długą tradycję w Biblii i w Kościele. Jednakowoż nadziei z sobą nie niesie.

W następstwie takich wypadków, gdy Papież milczy, a kardynał gada, ulotniła się gotowość wielu ludzi, ażeby się wdawać w rozmowę z przedstawicielami Kościoła rzymskiego. Nie chodzi tu o jakieś błahe zewnętrzności, których czepianie się byłoby małostkowe, lecz o wyraz postawy duchowej. Traktuje ona rzekomo błędzących tego świata, jak zwykle, z faryzeuszowską pewnością siebie i nigdy inaczej. Gdzież tu są drzwi do nadziei, które byłyby otwarte, nie zatrzaśnięte?

Także i w swojej książce Papież występuje li tylko w roli jednostronnie odczytanego nauczyciela prawdy, który jest co najwyżej gotów od biedy poczynić jakieś ustępstwa w kwestii ewentualnej dyskusji. Lecz o jakiejś rundzie rozmów, do



której by Wojtyła przystąpił, nic nie słyhać.

Książka również jej nie zastąpi.

Ten Papież ani w trakcie swoich podróży, ani w swej książce nie rozmawia z ludźmi. On mówi do nich: niewiele różniąc się w tym od swoich poprzedników. Uprzejmie, czasami nawet ujmująco, ale gdy już na poważnie, to zawsze z góry.

Dlatego jestem zdania, że ramy wizyt papieskich i akcja marketingowa jego książki są jak najbardziej adekwatne do wewnętrznych uproszczeń doktryny Jana Pawła II. Wojtyła w istocie rzeczy nie daje ze sobą rozmawiać. Jego założenia, czy choćby argumentacja, w żadnym punkcie nie podlegają dyskusji, nie mówiąc już o ich naruszeniu. Dyskurs wolny od narzuconego z góry przymusu nie jest możliwy. Przynajmniej dla ludzi nie takich, jak twórca nagłówków Messori, których nie zachwyca, że Papież im udzieli ojcowskiej "przygany" lub "kontestacji" [w oryginale contestazione: raczej zastrzeżenia, riposty, sprzeciwu. Przyp. tłum.] (PPN 19).

Nie przypadkiem potęguje się u coraz większej liczby ludzi wrażenie, że Papież nie jest w ogóle zainteresowany tym, aby w ryzykownej wymianie osobistych poglądów czy światopoglądów kwestionować, a tym bardziej korygować, jego własne opinie.

Ale czy nie mógłby wreszcie świat wziąć za rękę tego Papieża i poprowadzić go przez próg nadziei?

To odwrócenie ról pozostanie tak utopijnym ćwiczeniem myślowym, jak dotąd. Wojtyła zadowolony jest jak zwykle monarszą prezentacją samego siebie, w najdrobniejszych szczegółach zgodną z hasłami promocyjnymi jego książki ("Jego Świątobliwość") albo z protokołem jego wizyt.

Chorobą jego wizyt nie jest bynajmniej, jak im to zarzucano, jedynie ich zewnętrzny charakter, pompatyczność i olbrzymie nakłady, jakie im towarzyszą, antyreformatorskie ramy liturgiczne, w jakich Papież podnosi współczesne żądania praw ludzkich, jakoby nieuniknione koszty, angażowanie bijących w oczy przepychem agencji reklamowych, folkloru liturgicznego itd. Te zjawiska pasują do treści, które Wojtyła ceni. Kto występuje w roli nauczyciela, popełniłby błąd, gdyby nie ubrał swych przekonań także w odpowiednie ramy zewnętrzne. Jan Paweł II jest konsekwentny. Dopóki nie przekroczy granic swojej nadziei, nie będzie mógł się obejść bez tego blichtru.

Podam przykłady: ku pamięci, dla przetarcia oczu.

Zarząd miejski zadłużonej metropolii Rio de Janeiro wiedział, co robi, gdy na

wizytę papieską w 1980 roku kazał umyć figurę Chrystusa na górze Corcovado, zużywając pół miliona litrów wody i kilka ton środków czyszczących, aby stała się znowu "biała jak sutanna Papieża", jak określił to jeden z ojców miasta. Wojtyła dobrze czuł się w tym środowisku.

W swoich przemówieniach brazylijskich użył nie mniej niż 25 milionów słów. Prowadzący wywiad Messori ubolewa wprawdzie nad tym, że współczesny Kościół jest "wielomówny" i stwierdza, że "w tych latach w Kościele namnożyło się słów" (PPN 136), nie odnosi jednak tej przygany do Papieża. Ten w 1980 roku, przebywając w Brazylii, ani razu nie porozmawiał obszerniej z ludźmi biednymi i prostymi, jak ci chłopcy, którzy z okazji wizyty Papieża w Ameryce Łacińskiej pisali do swoich biskupów: "Chcemy, abyście zeszli na ziemię i walczyli wspólnie z chłopami, abyście podjęli rozmowę z wyzyskiwanym i cierpiącym ludem, abyście się nie ukrywali, abyście się nie sprzedawali jak Judasz, abyście nie chodzili pod rękę z bogaczami, abyście wreszcie wypełniali swój chrześcijański obowiązek."

Czy od tego czasu się coś wydarzyło? Czy spełniono ten obowiązek? Czy nie sprzedawano się już za 30 srebrników? Czy pasterze nawiązali rozmowę z cierpiącymi? Czy zeszli na ziemię? A skądże. Nadzieja dla wielu? Nadzieja dla tych na dole? W książce Wojtyły nie ma o tym ani słoweczka.

Jan Paweł II nie rezygnuje ze swego stylu. Również wypowiedzi Papieża na zakończenie jego wizyt, że wyciągnął z nich naukę, nie mają za przedmiot żadnych istotnych zmian w jego podstawowej koncepcji.

Ta niechęć do uczenia się, która, jeśli pominąć wewnętrzne doświadczenia polskie, przebija niemal na każdej stronie jego książki o nadziei, jest niebezpieczna. Kiedy człowiek przestaje się uczyć, jego osobowość chyli się do zastoju. Tylko gdy w istotny sposób przekształca swe zdolności, na osobowość jego działają nowe bodźce w najgłębszych strukturach. Toteż starzenie się zależy nie tyle od biologicznego stanu człowieka, ile od jego psychologicznej zgrzybiałości. Dlatego już młodzież wykazywać może wcześniej skostniałą strukturę osobowości, starzy ludzie zaś mogą w osobowości swej ciągle się odmładzać i dalej rosnać.

Wojtyła również i pod tym względem nie sprawia wrażenia młodości. Często cytowane przez niego procesy uczenia się potwierdzają raz po raz poglądy, które przyniósł ze sobą już z początkiem wizyty i nieustannie powtarzał w jej trakcie. Nie zdarza się im przekroczyć granic, jakie same sobie zakreśliły. Na to Papież jest zbyt bojaźliwy.

Wszystkie wizyty pasterskie Wojtyły obracają się - ze świadomym lub nieświadomym wykluczeniem nowych doświadczeń - w kręgu samopotwierzeń, z którego nie potrafi on albo nie chce się wyłamać. Jan Paweł II nauczał swoich prawd, nie dyskutując, w protokolarnie adekwatnych ramach, wobec swoich i dla swoich. Jego urok osobisty i charyzma są przez to całkowicie podporządkowane urzędowi, jaki piastuje.

Ma to swoje zalety. Symboliczne reprezentowanie światowego nurtu religijnego, rzymskiego katolicyzmu, przez jedną jedyną osobę prowadzi wszak do tego, że to jedno wyznanie - oraz jego problemy, jak również pozorne problemy - bardziej rzuca się w oczy publicznie niż inne, skromniej się prezentujące.

Jego członkowie, przynajmniej ci wierni, otrzymują przez to gratis i z dostawą do domu możliwość konkretnej identyfikacji. Wierzący mogą umocować swą wierność do jednego człowieka. Uspokaja to i ubezpiecza odwiedzanych, jak i odwiedzającego.

Jan Paweł II może się więc oprzeć wyłącznie na swoich i na ich z góry bezkrytycznej świadomości, która nierzadko bywa identyczna z wiarą. Nie dano mu wtedy odchylające się od normy kierunki myślenia, postawy życiowe i nadzieje uczynić podejrzanymi, a współczesne problemy poświęcić na rzecz apodyktycznego sprzeciwu ze strony Rzymu. Ale w ten sposób rozmowa jednego z wieloma, czy nawet ze wszystkimi, staje się niemożliwa. Tak zwani dystansujący się lub indyferentni oraz krytycy czują wtedy, że w ogóle się ich nie traktuje poważnie.

Ale krąg praktykujących katolików też wydaje się stosunkowo niewielki. Kiedy nawet i odwiedzane Kościoły miejscowe muszą się ograniczać do krótkich powitań ze strony swoich przedstawicieli ("czcigodnych braci w biskupstwie") i Papież już przechodzi do swych bez porównania dłuższych, pouczających monologów, nawet i zaproszony lud nie jest prawdziwym uczestnikiem rozmowy. Jest on tylko adresatem pouczeń.

Wyjątku nie stanowią nawet święcone z duchowną pompą eucharystie. Tu również arcybiskup celebrował przed ludem swą służbę Bożą i od razu przedstawia masom, zaproszonym do udziału w uroczystości, słuszną interpretację tego, co się odbywa. Wzmaga to niebezpieczeństwo, iż rzeczywistość eucharystii też nie będzie przeżywana, tylko wygłaszana po pastersku.

Tłum u Wojtyły musi przede wszystkim iść do szkoły religijnej i brać korepetycje. Jan Paweł II wytłumaczy mu, co dzieje się przed jego oczyma, co ma na

ten temat do powiedzenia oficjalna nauka Kościoła i nawet: co powinno się przy świętym obrzędzie odczuwać! Większość ludzi w ogóle nie przeżywa rzeczywistości uczty Pańskiej, gdy w ich oczach po prostu odbywa się oficjalnie uregulowany rytuał i nikomu nie dano uczestniczyć we współokreślanu jego form albo treści.

Pozostają więc tylko formy odprawiania służby w Kościele, tracące patriarchalną myszką, przez większość ludzi odbierane jako przestarzałe. Akurat ludowość Wojtyły wcale nie dowodzi życzliwości dla ludu. Oferta dialogu nie świadczy o gotowości, aby takowy ze wszystkimi prowadzić.

Nie dziwota, że nie wszyscy w odwiedzanym kraju są w stanie później przyłączyć się do oficjalnego, kościelnego spożytkowania tego, co na przykład w Republice Federalnej zaoferowali kardynałowie Ratzinger i Höffner. Ci arcybiskupi mówili swego czasu, jak to wizyta papieska zostawiła po sobie "nową odwagę wiary, natchnienie i radość z Kościoła".

My zaś wiemy, jak niewiele prawdy było w tej chwalbie. Liczba wystąpień z Kościoła mówi o tym bardziej rzeczowo. Także wszelkie ankiety, badające w tej sprawie opinię publiczną, są bardziej życiowe niż ta biskupia prognoza. I gdzież jest to "jakościowe odnowienie", na które Wojtyła powołuje się w swojej książce? Czyżby w Europie dokonywało się ono wyłącznie w kręgach fundamentalistycznych?

Na podstawie własnych doświadczeń wielu przyłączyłoby się raczej do interpretacji Heinricha Bölia, który, jak się rzekło, doradzał raczej nie mówić o panu Wojtyle: pomimo, czy właśnie z powodu, jego propozycji rozmowy.

### III

## PODSTAWA SROGO MESJANISTYCZNA

### Co kryje się za nadzieją?

Bez dopiero co wydanej książki, jak uważa dziennikarz Messori, "nie tylko współcześni komentatorzy, ale także przyszli historycy nie będą mogli zrozumieć pierwszego polskiego pontyfikatu" (PPN 17). Wolno zatem istotnych elementów takiej wiary, jakiej naucza Karol Wojtyła, doszukiwać się przede wszystkim w polskiej biografii tego człowieka. Jego obowiązkowa siła wiary w niemałej mierze sprowadza się do kształtującego wpływu ojca; o matce w ogóle nie wspomina.

Ojciec nauczył go na przykład modlić się: "Pamiętam, że Ojciec dał mi kiedyś książeczkę do nabożeństwa, w której była modlitwa do Ducha Świętego. Powiedział mi, abym tę modlitwę codziennie odmawiał. Tak też staram się czynić." I dalej: "zasadniczą rolę odegrały tu słowa mojego rodzzonego ojca, bo one kazały mi być prawdziwym czcicielem Boga..." (PPN 115).

Ojciec, były oficer, któremu biograf Wojtyły Rainer A. Krewerth przypisuje takie pedagogiczne sentencje jak: "To nasz chrześcijański obowiązek" i: "Życie to nieustanny spór", posyłał niekiedy "żyjącego w dyscyplinie cielesnej i duchowej chłopca" do nie ogrzewanego pokoju, ażeby się hartował.

Krewerth: "Nie jest to bynajmniej tak strasznie surowe, jak dzisiaj wygląda. Wielu z tych, którzy wyrosli w katolickim środowisku, zna tę twardą szkołę umartwień, uważaną niegdyś za pożyteczny, wypróbowany środek na kłamstwa i niegrzeczności dojrzewającej młodzieży. Dla Wojtyły-ojca zaprawa w zimnym pokoju była rzeczą oczywistą nie tylko ze względu na swe wojskowe tradycje. Trochę przypomina ona również wyrzeczenia zakonne."

Wojtyła sam o swoim formowaniu się i roli, jaką odegrały w tym "znamiona wielkiego heroizmu" lat wojennych (Powstanie Warszawskie 1944 roku): "Ja też należę do tego pokolenia i myślę, że heroizm moich rówieśników dopomógł mi w określeniu swojego własnego powołania" (PPN 100). Później młody człowiek, zdecydowawszy się na kapłaństwo, dostał się w dobrze naoliwione tryby dyscypliny teologicznej. Co prawda w okupowanym Krakowie nie istniało wówczas oficjalne seminarium duchowne, tylko podziemna instytucja, którą prowadził osobiście ówczesny arcybiskup Sapięha. Ten eksperyment opierał się też na drugim garniturze

wykładowców, jako że hitlerowcy prześladowali i niszczyli inteligencję. Jednakże mentalność zaprogramowanego w Rzymie szkolenia kleryków przetrwała nie naruszona. Wszyscy ubierali się w rzymską sutannę, trzymali się przepisane go duchownego rozkładu zajęć, studiowali dopuszczoną literaturę. Z aprobatą wspomniani przez Wojtyłę wykładowcy, skądinąd nieznani, i polskie "tradycje romantyczne" (PPN 101) wyraźnie nacechowali jego myślenie do dzisiaj.

Że nie dało się przy tym uniknąć zawężenia horyzontów w nauce religii i w dyscyplinie klerykalnej, tego nikt by nie zarzucił tamtej generacji teologów. W danych okolicznościach ograniczenie się do tego, co najważniejsze, wydawało się nieuniknione. Wojtyła wypowiada się fundamentalnie i sumarycznie o młodych: "Potrzebują przewodników, i to potrzebują tych przewodników bardzo blisko. Jeżeli odwołują się także do pewnych autorytetów, to tylko o tyle, o ile te autorytety potwierdzają się równocześnie jako ludzie bliscy..." (PPN 102).

W tych latach rozkwitała nadzieja, że pewnego dnia wyjdą z podziemia i na wolności będzie im dane objąć darzący satysfakcją urząd w służbie ogółu. Dlatego i duszpasterz "musi umiłować to, co jest istotne dla młodości" (PPN 101). Papież jakby ciągle jeszcze tęsknił do tamtych czasów, gdy młodzież cechowała się "prostym zaangażowaniem" zamiast "żyć w wolności, która została im dana" [w oryginale *conquistata per loro da altri: wywalczonej dla nich przez innych. Przyp. tłum.]* (PPN 101). Obecne społeczeństwo konsumpcyjne nie potrafi temu dotrzymać kroku i miejmy nadzieję, że nie będzie ostatnim słowem młodzieńczy idealizm, przejawiający się w krytyce.

Młodzi seminarzyści mogli wówczas liczyć przynajmniej na to, że na gruncie cierpień, jakich sami doświadczyli, zyskają u ludzi wiarygodność. Ich własne wyznanie wśród powszechnej udręki ich narodu stwarzało najlepsze warunki do ufności współuczestników, przełamującej wszelkiego rodzaju zastrzeżenia.

Po wyzwoleniu swej ojczyzny Karol Wojtyła kontynuował studia na uczelni dominikańskiej w Rzymie i uznał praktykowany tam scholastyczny system nauczania, wyróżniający się świętym porządkiem nauk religijnych, za "niezwykle mądry i piękny", jak sam oznajmia. O tym tzw. tomizmie, starającym się jak najściślej trzymać autentycznej nauki Tomasza z Akwinu (1225-1274) i nawiasem mówiąc, dopiero przez Drugi Sobór Watykański - ku niezadowoleniu wielu fundamentalistów - określonym jako będący nie na czasie, Wojtyła kiedyś powiedział, iż taki system pokazuje, "że głębia myślenia nigdy nie potrzebuje wielu słów. Możliwe, iż myśl jest

tym większa, im mniej słów jej potrzeba."

W książce swej Papież uderzająco często i z naciskiem powtarza, jak bardzo ubolewa, że dominikański teolog Tomasz z Akwinu, ten "mistrz filozoficznego i teologicznego uniwersalizmu" (PPN 43), wyszedł obecnie z mody i jego Summę teologiczną w naszych czasach "odłożono na półki" (PPN 42). Wojtyła bardzo by zależało, aby ten kierunek myślenia, należy podkreślić: niezbyt wysoko ceniony przez Sobór, dało się znów ożywić. Jest to ważna wskazówka co do konserwatywnych teologicznie podstaw tego myślenia: u Wojtyły trwa zapotrzebowanie na scholastyczną, "ponadczasową" metafizykę zamiast "jednostronnego racjonalizmu" (PPN 43). Kartezjusz i począta z niego filozofia (PPN 47, 55 itd.) są dla tego Papieża tak stosunkowo nieinteresujące, że zbywa je jako bezużyteczne: "Racjonalizm oświeceniowy wyłączył prawdziwego Boga, a w szczególności Boga Odkupiciela poza nawias" (PPN 56).

Jednak zdarzyło się też Wojtyłe ubolewać, że właściwie nigdy nie mógł studiować "normalnej" filozofii, jaką wykłada się na uniwersytetach świata. Zbyt pochopna jest więc opinia jego rodaka, pisarza Tadeusza Nowakowskiego: "Pierwszy słowiański papież jest wszechstronnie uzdolnionym intelektualistą. Mógłby w każdej chwili wykładać na dowolnym uniwersytecie nie tylko teologię, filozofię, socjologię, prawo lub historię, ale także literaturoznawstwo."

Niełatwo sobie wyobrazić profesora socjologii w Bremie nazwiskiem Wojtyła, profesora prawa w Berlinie nazwiskiem Wojtyła, profesora teologii w Tybindze nazwiskiem Wojtyła, profesora filozofii we Frankfurcie nazwiskiem Wojtyła. Kto zbywa epokę i myśl nowożytną takim frazesem jak "umysłowość pozytywistyczna" (PPN 44 i 47) i stwierdza nawet, że należy ona do "tych szkół podejrzeń, które doszły do rozkwitu w epoce nowożytnej", nie znalazłby przecież słuchaczy poza swoją trzodą. Dlaczego Wojtyła tak zawzięcie odsyła do własnych książek i rozpraw (PPN 149)? Zdanie: "Stajemy się świadkami znamienego powrotu do metafizyki (filozofia bytu) poprzez integralną antropologię" (PPN 46) opiera się wyłącznie na chęci swego autora.

Bezsporne mogłyby się okazać uzdolnienia Wojtyły w innej dziedzinie. Zawsze go zaprzętała tradycja mistyczna; nawet stopień uzyskał w 1951 roku pracą o wielkim mistyku hiszpańskim Janie od Krzyża. Cytuje go też często w swojej książce i zawsze z aprobatą (np. PPN 35, 78, 115 i 141).

Nastawienie to wywodzi się w znacznej mierze z doświadczeń, które

młodemu Karolowi przekazał Jan Tyranowski, krakowski krawiec o skłonnościach mistycznych. Papież nazywa go "prawdziwym mistykiem" (PPN 115). Ten człowiek, jak stwierdza sam Jan Paweł II, ukierunkował podatnego młodzieńca: to jemu Wojtyła zawdzięcza doświadczenie głębi prostej wiary i spostrzeżenie, jak zwycięsko właśnie ta skromna wiara może się sprawdzać na co dzień. Obie te zasady charakteryzują Papieża do dzisiaj.

Jego przekonanie, że prawdziwa nauka prosto i autentycznie przekazanej przez Kościół Ewangelii opiera się wszystkim przeciwnościom nowoczesnego społeczeństwa, a zwłaszcza zagrożeniom ze strony systemów niewiary, zdaje się wywodzić również - i szczególnie - z tych przeżyć młodości. Formy i treści tej właśnie tradycji, którą Wojtyła wtedy - odcięty od świata - sobie przyswoił, domagają się bliższego wyjaśnienia.

Co prawda bez odpowiedzi pozostaje (tylko sam Wojtyła mógłby na to zadowalająco odpowiedzieć) pytanie, dlaczego Papież, będący pod wpływem mistyki, identyfikuje się tak wyłącznie z pouczającym nurtem tradycji mistycznej.

Dlaczego Jan Paweł II w sposób tak oczywisty interpretuje mistykę wyłącznie jako konserwatywny system wartości, jako wiarę w określone treści, zamiast podchwycić jej bezspornie "głupkowaty" charakter i w rozległym zakresie głosić np. takie jej formy jak fantazja, utopia i ekstaza?

Dlaczego Papież w ogóle nie mówi o tej grupie religijnych marzycieli, wizjonerów i głupków, którzy podtrzymywali - jakkolwiek raz po raz tłumioną przez tak zwaną ortodoksję - nadziei rewolucji? Czyżby dla niego nic nie znaczyło pojawienie się tej mieszanki świętości z rewolucyjnością, którą Ignazio Silone uważał za konieczną, aby ocalić świat przed samym sobą? Czy na poważne traktowanie zasługują tylko św. Jan od Krzyża i św. Teresa z Avila (PPN 78 i 115)? Czyżby tylko oni pasowali do koncepcji chrześcijaństwa podług Wojtyły?

I jeszcze przycinek w innym kierunku: "Mistyka karmelitańska zaczyna się w tym miejscu, w którym kończą się rozważania Buddy i jego wskazówki dla życia duchowego" (PPN 78). Tym jednym zdaniem rzymski Papież załatwia m.in. strukturę egzystencji milionów na Wschodzie i Zachodzie. Widocznie musi bronić własnej, jako że dzisiaj "zauważamy pewne rozprzestrzenianie się buddyzmu na Zachodzie" (PPN 77).

Wojtyła musi przeciwstawić się takim postępom buddyzmu, który "jest w znacznej mierze systemem «ateistycznym»" (PPN 78). Stwierdza: "...wypada chyba



przestrzec tych chrześcijan, którzy z entuzjazmem otwierają się na rozmaite propozycje pochodzące z tradycji religijnych Dalekiego Wschodu, a dotyczące na przykład technik i metod medytacji oraz ascezy. W pewnych środowiskach stało się to wręcz rodzajem mody, którą przyjmuje się dość bezkrytycznie" (PPN 80 i nast.).

Bezkrytycznie, modnie? Ostre to słowa wobec mnóstwa ludzi. Mogliby oni odpowiedzieć pytaniem: Czy lepiej, żebyśmy bezkrytycznie akceptowali "duchowe dziedzictwo" (PPN 80) własne, czytaj: katolicyzm? Trudno w tym kontekście nie wspomnieć o zwyczajowym chrzcie niemowląt. A czy tego Papież nie uważa za rodzaj mody?

Czy nie widzi, że chrześcijańska kultura Zachodu, choć pod niejednym względem trzeba uznać ją za wysoko rozwiniętą, jest pod innym względem straszliwie niedorozwinięta, ponieważ wydała zbyt wielu nudziarzy, charakteryzujących się żałośnie okaleczoną zdolnością do wizji i ekstazy?

Czy nie wie, co powiedział Antonin Artaud? "Jedna z przyczyn dławiącej atmosfery, w jakiej żyjemy... kryje się w szacunku dla tego, co napisane, sformułowane lub namalowane, dla tego, co przybrało postać, jak gdyby w końcu wszelki wyraz nie był u kresu, nie doszedł do punktu, w którym coś musi pęknąć, jeżeli ma zaistnieć nowy start i nowy początek."

I dlaczego Karol Wojtyła nie otarł się o to, co powiedział amerykański teolog Harvey Cox? "Ludzie uskarżają się dzisiaj nie tylko na to, że nie mogą już wierzyć w Boga z przyczyn rozumowych... Problem polega na tym, że ludzie nie «doświadczają» Boga, nie «spotykają» go. Język religijny, nie wyłączając słowa «Bóg», dopiero wtedy nabierze sensu, kiedy zaginione doświadczenie, do którego takie słowa się odnoszą, znowu stanie się faktem w ludzkiej rzeczywistości. Jeżeli Bóg powróci, musimy w miarę możliwości po raz pierwszy spotkać się z nim w tańcu, zanim potrafimy go zdefiniować w nauce."

Czy nie można by na tym oprzeć nadziei, która rzeczywiście przekroczy próg? Ale Jan Paweł II nigdy nie opierał swej wiary na takich głupotach, tylko na tym, co potwierdzone, na tradycji, na przejętych z dawna naukach, tak jak on je objaśnia.

Nie byłoby to z góry konieczne, bo nowością stał się już sam początek pontyfikatu w październiku 1978. Kiedy Polak Karol Wojtyła został wybrany na najwyższy urząd w Kościele, rzekł 87-letni kardynał Pietro Parente: "To już koniec. Czas na zagranicznego papieża jeszcze nie przyszedł. I w dodatku Polak z komunistycznego kraju. Do czego to doprowadzi?" Tymczasem przekonaliśmy się, że

"to" nie prowadziło w kierunku, który wydał się staremu członkowi Kurii tak podejrzany, tylko w tym, który jak najbardziej odpowiadał twardemu rdzeniowi Watykanu. Jak mogło do tego dojść?

Z wyborem Wojtyły stała się faktem absolutnie największa sensacja w nowszych dziejach papieżstwa: losami światowego Kościoła rzymskiego miał odtąd kierować nie żaden Pacelli ani Montini, Colonna ani Famese, tylko skromny z wyglądu człowiek o gminnym, prawie nie do wymówienia nazwisku. Po raz pierwszy od śmierci Hadriana VI, który pochodził z Utrechtu i zmarł 14 września 1523, na tronie Piotrowym zasiadł ktoś nie będący Włochem, i przede wszystkim prasa włoska była zmuszona się przeorientować, na dobre czy złe. Dotąd za każdym razem wyrażała opinię, że następnym papieżem też bezwarunkowo musi być rodak, jako że jest on biskupem Rzymu, a wewnętrzna sytuacja polityczna kraju wymaga mocnej ręki wobec nasilania się komunizmu, kogoś, kto zgłębił i opanował stosunki właśnie we Włoszech.

Tymczasem papieżem został Polak, człowiek z dość odległego kraju, jak to określił sam Wojtyła, przemawiając po raz pierwszy do tłumu Włochów na Placu św. Piotra. Zwyczajowe powiązania rzymskiego papieżstwa z włoskim kuzynostwem w gospodarce, obyczajach i interesach pierwszy raz się rozpadły... jak wielu przypuszczało.

Już i to byłoby zdumiewające, gdyby właśnie ten pierwszy od przeszło czterech i pół stulecia niewłoski papież potrafił się wyrzec swej długoletniej, intensywnej działalności w takim kościele narodowym, jak polski, który ukształtował jego sposób mówienia i argumentacji, jego pojmowanie Chrystusa, Maryi oraz Kościoła.

Względy teologii i polityki Kościoła, przemawiające za wyborem kardynała raczej nie obeznanego ze specyfiką włoską, widać przeważyły na konklawe nad argumentami dotyczącymi głównie doraźnej polityki. Obok problemu "duszpasterza", który odegrał rolę już w wyborze jego poprzednika Lucianiego, kardynałowie stanęli wobec innych jeszcze kryteriów, przemawiających za odstępniem od tradycji: po pierwsze to, że Wojtyła był obeznany z problemami Kościoła światowego jako takiego, a nie tylko świata Kurii rzymskiej; po drugie siła wiary kandydata, oceniana jako bezsporna, jak i osobista prawość dotychczasowego arcybiskupa Krakowa, o której donieśli świadomi rzeczy.

Jakkolwiek ważne jest polityczne nastawienie papieża, szczególnie w

przypadku Wojtyły: jednak wyłącznie polityczne wykładnie pomijają ważną różnicę, jaka dzieli rzymskie konklawe od wszelkich innych wyborów. Otóż gdy wybiera się nowego papieża, a dzieje się to dożywotnio i bez najmniejszej możliwości cofnięcia wyboru, nie jest to w żadnym razie ktoś, kto wprawdzie otrzymał większość głosów, ale przegłosowana mniejszość przechodzi do opozycji, ażeby wpływać korygujące na niego i na jego wyborców, w nadziei na inny wybór przy nadarzającej się sposobności. Wybraniec jest natomiast od chwili, gdy przyjął wybór, najwyższym pasterzem wszystkich wiernych; akt wyboru dokonuje się definitywnie; i odtąd kardynałowie muszą jednomyślnie hołdować nowemu biskupowi Rzymu. Nie ma odwrotu. Kościół światowy zaś najlepiej uczyni, nastawiając się na takie rozstrzygnięcie.

Musi odtąd żyć z tą nowością.

Po siódmej turze wyborów kardynał Wojtyła zanotował w swym kalendarzu podręcznym 16 października, w dniu otaczanej w Polsce wielką czcią św. Jadwigi, słowa: "Okolo 17.15 Jan Paweł II." A jego przyjaciel, polskiego pochodzenia kardynał Kroi z Filadelfii, nakreślił wzruszający portret dopiero co wybranego Papieża, jak siedzi pochylony do przodu, z głową ukrytą w dłoniach, sam jeden przy stole pod olbrzymim Sądem Ostatecznym Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Kardynał Hume z Westminsteru, inny świadek naoczny, powiedział, że "bezgranicznie współczuje" temu wybranecowi.

Ale ktoś musiał wziąć na siebie to "olbrzymie brzemię". Sam Jan Paweł II nie lękał się potem wyznać, że bał się zaakceptować decyzję swych kolegów. "W duchu posłuszeństwa naszemu Panu i pełnej ufności do Matki Maryi" przyjął je wreszcie: wybór na najtrudniejszy urząd, jaki nadać może Kościół rzymski. Wyznanie to uczyniło wrażenie na opinii publicznej. Niewielu pamiętało, że ten lament z "ofertorium" należy do specyfiki zawodu, od dawna jest zrytualizowany i obowiązkowy, nic ponadto. Natomiast legenda watykańska robi swoje, aby utrwaląc określony wizerunek papieża i przygotowywać ewentualne hagiografie.

Ale z jeszcze większym aplauzem niż profesjonalny "lament" przyjęto archaiczną już nawet we Włoszech formułę "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", którą nowy papież powitał tłum czekający na Placu św. Piotra. Wydaje się zaś, że tym bardziej wezwanie Matki Boskiej, owoc szczególnego kultu Maryi właśnie w polskim katolicyzmie, przekonało wielu o zaletach Wojtyły.

Już było widać, że nowy papież jest pobożny. Kardynał Józef Slipyj ze

Lwowa, który spędził 18 lat w więzieniu i na wygnaniu, tak to wyraził: "Nowy papież jest zwiastunem wiary, która stała się tu w międzyczasie prawie nieznaną. Kościół zyska dzięki temu nowe siły żywotne." Znaki na przyszłość przedstawiały się nieźle. Przynajmniej dla konserwatywnego skrzydła Kościoła światowego. Zaznaczyło się to już w pierwszym dniu nowego papieża.

Polska, ojczyzna wybrańca, nie posiadała się z radości. Wyglądało to, jakby ten wybór zmył część upokorzeń, jakie ten kraj musiał znosić w swojej historii. I oto stało się. Wszędzie rozlegały się dzwony kościołów, w Krakowie olbrzymi tłum zebrał się na placu przed byłym kościołem biskupim Wojtyły i większość ludzi płakała. Niezapomniane proroctwo poety Juliusza Słowackiego (1809-1849), który przepowiedział - dla ocalenia świata - słowiańskiego papieża, najwidoczniej spełniło się po stu trzydziestu latach oczekiwania i nadziei.

Nie omieszkało w tych dniach przypomnieć o marzeniu całego narodu, wyśnionym w męczarniach ucisku. Nie chodziło tu jedynie o reminiscencję historyczną. Również i Kościół krajowy odwołał się do pewnych wytycznych polskiego mesjanizmu. Nigdy nie przepadły nadzieje Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego (1812-1859) i przede wszystkim Adama Mickiewicza (1798-1855), upatrujące w Polsce, nie bez wpływu apokaliptycznej i mistycznej literatury, ukrzyżowanego Chrystusa narodów.

Zachował się więc przy życiu fantastyczny dogmat religijny, mieszczący w sobie elementy mistyki katolickiej, mesjanizmu narodowego i antyrosyjskiej rewolucyjności. Specyficznie chrześcijańska świadomość posłannictwa powtarzała się w narodowych wypowiedziach polskich przywódców.

Mickiewicz tak to kiedyś wyraził: "Rozumiecie, w jakich narodach możemy pokładać swe filozoficzne nadzieje: w tych, co żyją i cierpią dla prawdy... Teraz wy też poznacie, dlaczego polskiemu narodowi bliżej do prawdy niż któremukolwiek innemu z narodów słowiańskich, gdyż objawienie Chrystusa zawsze będzie miarą dla wszystkich, co za nim pójdą, istnieje bowiem tylko jedna droga do prawdy: droga krzyżowa. Znacie lud, który od dawna kroczy po tej Via dolorosa..."

Późniejsze następstwa tej koncepcji narodu, który Bóg wybrał do cierpienia, odnajdziemy jeszcze w liście pasterskim episkopatu Polski, przygotowującym wizytę Jana Pawła II w 1979 roku: "Były czasy, kiedy naśmiewano się z naszej religijności, że jest zacofana, niezgodna z duchem Soboru, tradycyjna, zbyt uczuciowa i zbyt maryjna. Myśmy jednak z dziecięcą ufnością w Boga i Kościół wierzyli, trzymając za

rękę naszą Matkę. Przez Nią i z Jej pomocą wytrwaliśmy w wierze naszych ojców, bo Maryja zawsze prowadziła nas do Chrystusa i nakazywała nam spełniać rozkazy Swojego Syna... I oto nagle oczy świata są zwrócone na Polskę wśród udręczeń tej ziemi, rozdarcia rodziny ludzkiej, gdzie szerzy się wszędzie sekularyzacja, gdzie dobrobyt sytych krajów budzi tęsknotę za nicością, gdzie młodzież marnuje się i zatracą w życiu bez wiary i bez ideałów, gdzie w tak wielu krajach szaleją wojny. Jeżeli to jest kraj, jak powiedziano, który pośród walk i prześladowań, pośród mąk i cierpień przechował swą wiarę, niechże tedy przyjdzie z Polski do stolicy Piotrowej człowiek na pomoc Kościołowi powszechnemu, na ratunek całej zagrożonej rodzinie ludzkiej..." Było to całkiem wyraźne.

W ten sposób biskupi polscy włączyli niedolę świata i wybawienie przez papieża z Krakowa do teologicznie interpretowanej historii swego narodu. Takie właśnie wystąpienie ma w Polsce tradycje. Wie o tym sam Wojtyła.

Hans Kohn w swojej książce "Słowianie i Zachód" z 1956 roku zwrócił uwagę na to, jak często w XVIII wieku Polska z powodu swego zacofania i zarazem pyszałkowatości traktowana była na Zachodzie "ze współczuciem i drwiną" i jak dopiero liczne walki tego narodu o wolność wzbudziły najżywszą sympatię dla sprawy polskiej i wyzwoływały przeciwne emocje. Była to więc uciążliwa droga, zanim ten kraj "niemalże bezkrytycznie wyniesiony został w całej Europie na ulubienca stronnictw postępowych" i "niemieccy, francuscy oraz inni poeci zaczęli opiewać walki i nadzieje nieszczęsnego narodu".

Wreszcie stało się: po każdej klęsce Polska ukazywała się jako święta ofiara sprawy rewolucyjnej i raz po raz lała się polska krew "za Chrystusa i wolność", jak to wyraziła 9 czerwca 1831 francuska rewolucyjno-katolicka gazeta L'Avenir, organ Lamennais'go i Montalemberta. Religijnym hasłem polskich tęsknot stało się: odrodzenie. Na przykład założone w 1832 roku Polskie Towarzystwo Demokratyczne stanowczo głosiło pogląd, że "odrodzona Polska musi szerzyć pośród Słowian ideę demokratyczną". Albowiem Polska "zachowała swe proste, skromne cnoty, jest uczciwa, ofiarna i religijna, przeto góruje nad Zachodem". Góruje nad zachodnim stylem życia? Przemówienia Papieża są, świadomie czy nieświadomie, napiętnowane tym polskim patosem.

Trudno się jednak dziwić, że takie polskie mesjanizmy prędzej czy później zderzą się z dążeniami i realną potęgą narodów sąsiadujących z Polską.

Niezbyt rozsądny był raczej ahistoryczny pogląd wielu Polaków, że właściwe

zagrożenie dla ich narodu idzie nie z Zachodu, ale wyłącznie ze Wschodu. Ponieważ jednak, z wyjątkiem nielicznych przypadków, militarne rozwiązanie tego problemu wschodniego było niewykonalne, wielu polskich myślicieli wpadło na pomysł, aby odmawiać Rosjanom nie tylko przewagi moralnej, ale nawet i przynależności do Słowian. Już Mickiewicz w *Dziadach* zaklinał się na wieczną wrogość Polaków i Rosjan.

Mniejsza o to, czy romantyczny nacjonalizm, gloryfikacja narodu, niedostateczne liczenie się z terażniejszością, napuszczona poetyckość i pyszałkowane urojenia, które Hans Kohn przypisuje takim poglądom, nie mogą się okazać szczególnie niebezpieczne, kiedy stoi za nimi prawdziwa siła.

Tak czy owak polska tradycja przetrwała i nikt jeszcze nie może stwierdzić, czy tego rodzaju wykładnia historii utrzyma się, tak jak do dzisiaj - świadomie lub nieświadomie - pojawia się ona również i w polskich kręgach kościelnych.

Polska pomiędzy Wschodem a Zachodem, bratni naród, o którym nie bardzo wiadomo, kim i gdzie są ci jego bracia: tak można by opisać dylemat tego co i raz podzielonego narodu. Do przyszłej historii zaś należy określenie, jaka jest pozycja Wojtyły między jedną a drugą Polską.

Karol Wojtyła, arcybiskup Krakowa, trzymał się na uboczu od sporów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych o historyczne miejsce Polski, a w polskim episkopacie nigdy nie zajął stanowiska, które dałoby się jednoznacznie ocenić. Wiedeński kardynał Franz König nie przypadkiem nazywał go "jednym z najbardziej małomównych biskupów polskich". Jako papież natomiast, odwiedzając Polskę w 1979 roku, Wojtyła wreszcie się zdeklarował i wziął w opiekę ówczesnego prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego, mówiąc o nim nawet wobec władz Polski Ludowej, że jest to "człowiek niezwykłego formatu". Taka deklaracja nie była pozbawiona wagi jako wstęp do określenia własnej pozycji.

Ta całkowita akceptacja pojedynczego człowieka i jego działalności została jak najbardziej zauważona. I spotkała się ze wzajemnością. Sam Wyszyński już niedługo po wyborze Wojtyły oznajmił mu niedwuznacznie, jak prymas Polski i jego episkopat zamierzają traktować osobę i urząd nowego papieża: "Jakkolwiek zasiadasz teraz na krześle Piotrowym, pozostajesz jednak biskupem polskim i zapewniamy cię na klęczkach, że zawsze będziemy z tobą i będziemy cię wspierać naszymi modlitwami. Polska uczyni wszystko, aby Papież nie miał z nią problemów."

Gdy Jan Paweł II wzajemnie powołuje się na przeszłość narodową, jest

oczywiste, że nie czyni wyjątku dla specyficznosci polskich wartości i dla szczególnego posłannictwa swej ojczyzny: "Kościół sprowadził do Polski Chrystusa, to znaczy klucz do rozumienia tej większej i podstawowej rzeczywistości, jaką stanowi człowiek. Otóż człowiek nie da się zrozumieć bez Chrystusa. Bez Chrystusa człowiek nie może zrozumieć ani kim jest, ani na czym polega jego prawdziwa godność, ani w czym jego powołanie, ani jego ostateczne przeznaczenie. Dlatego nigdzie na świecie nie da się wyłączyć Chrystusa z historii człowieka. Wyłączenie go byłoby aktem wymierzonym przeciw samemu człowiekowi."

W Gnieźnie Jan Paweł II pociągnął dalej tę interpretację odniesienia Chrystusowego, z przeszłości w teraźniejszość: "Może Chrystus nie chce, a Duch Święty nie zrzucił, aby ten Papież, tak głęboko przesiąknięty historią własnego narodu od jego zarania, w szczególny sposób unaoczniał i potwierdził historię bratnich i sąsiedzkich narodów, ich obecność w Kościele, ich wkład do historii chrześcijaństwa w naszej epoce? Aby uwidoczniał procesy rozwojowe, które właśnie tu, w tej części Europy, wzbogacają architekturę świątyni Ducha Świętego?"

Wojtyła mówi o "głównym szlaku naszej historii duchowej i zarazem o wielkim szlaku historii duchowej wszystkich Słowian, jak również o jednym z najważniejszych szlaków historii duchowej Europy". Wobec studentów krakowskich nawołuje wszystkich razem Polaków do działania: "Macie przekazać przyszłości całe ogromne doświadczenie historyczne, związane z nazwą «Polska». Ciężkie to doświadczenie. Może jedno z najcięższych na świecie, w Europie, w Kościele. Ale nie lękajcie się trudu. Lękajcie się tylko lekkomyślności i małoduszności. Z tego ciężkiego doświadczenia, które wiąże się z nazwą «Polska», można pozyskać lepszą przyszłość, ale tylko pod warunkiem uczciwości i trzeźwości, wiary, wolności ducha i siły przekonywania."

Jaki kierunek ten polityczny Papież zamierza nadać działaniu i jak rozwiązać dylemat narodu między Wschodem a Zachodem, wyjaśnił, mówiąc do polskich biskupów. Zwracało przy tym uwagę, że Papież mówi wprawdzie o chrześcijaństwie, ale może mieć na myśli jedynie katolicyzm: "Europa, która w toku swej historii wielokrotnie była podzielona, Europa, którą pod koniec pierwszej połowy tego stulecia tragicznie rozdarła straszna wojna światowa, Europa, która w swym trwającym obecnie ustrojowym, ideologicznym i ekonomiczno-politycznym rozdarciu nie może zaprzestać dążenia do swej podstawowej jedności, musi zwrócić się do chrześcijaństwa. Bez względu na różnice tradycji, istniejące na terenie europejskim

pomiędzy jej wschodnią i zachodnią częścią, jest to przecież to samo chrześcijaństwo, wywodzące się od jednego i tego samego Chrystusa, uznające to samo słowo Boże, nawiązujące do tych samych dwunastu apostołów. To chrześcijaństwo leży u korzeni dziejów Europy. To chrześcijaństwo określa jej duchowe pochodzenie... Wielkie zadanie stoi tu przed polskim episkopatem i wszystkimi episkopatami i Kościołami Europy. Wobec tych wielorakich zadań Stolica Apostolska jest świadoma, co do niej należy w zgodzie ze szczególnym charakterem urzędu Piotrowego. Kiedy Chrystus powiedział do Piotra: «Utwierdzaj braci swoich» (Łuk. 22,32), tym samym powiedział: «Służ ich jedności!»

Polska i watykańsko-zachodni Rzym, a nie chrześcijaństwo jako takie, są tu nierozdzielnie związane. Trzeba brać pod uwagę ten starannie przeprowadzony podział, ilekroć mówi się o nauce i działalności tego Papieża.

Po zachodniemu interpretowana historia, jak twierdzi Jan Paweł II, widzi to nie inaczej: "Kiedy w roku 1000 powstała w Polsce podstawowa struktura hierarchicznego ustroju Kościoła, odbywało się to od samego początku w hierarchicznej jedności z organizmem całego Kościoła, a zwłaszcza Stolicy Apostolskiej. Pod tym względem struktura Kościoła w naszej ojczyźnie przetrwała nieprzerwanie aż do naszych czasów i to jej zawdzięczamy, że Polska jest katolicka i «zawsze wierna»... Kościół w Polsce jest mocno i niewzruszenie zakorzeniony po wszystkie wieki tego katolicyzmu, który stanowi jedno ze znamion prawdziwego Kościoła Chrystusowego."

Stąd też hierarchiczny ustrój Kościoła katolickiego (spadek po romanizacji chrześcijaństwa, która swego czasu towarzyszyła chrystianizacji Cesarstwa Rzymskiego) stał się "nie tylko ośrodkiem swego własnego posłannictwa pasterskiego", ale nawet "bardzo wyraźnym oparciem dla całego życia społecznego, dla narodu, uświadamiającego sobie swe prawo do istnienia, który jako naród przeważającej większości katolicki szukał tego oparcia również w hierarchicznych strukturach Kościoła..."

Wypowiedź ta, do której trzeba zgłosić wątpliwości natury historycznej, jako że Watykan niejednokrotnie zawodził Polskę z przyczyn politycznych, musiała być jak dynamit w kraju, gdzie wszystko, od przedszkola po uniwersytet, propagowało duchowość ukierunkowaną zgoła inaczej.

Jeszcze w 1976 roku na synodzie biskupim w Rzymie kardynał Wojtyła powiedział: "W Polsce szkoła jest całkowicie odsunięta od wpływu Kościoła. Cały



system szkolnictwa, jak również prasa, radio i telewizja są prześlaknięte ateizmem, traktowanym jako nowa religia państwowa. Propaganda ateistyczna korzysta z wszelkich przywilejów." Jednakże historia narodu wciąż jeszcze ukazuje dwie wersje: jedna, ta wschodnia, przedstawia kraj jako wzorowe państwo, w którym tworzy się nowy, socjalistyczny model człowieka, natomiast ta druga, zachodnia, wskazuje na Polskę jako bastion chrześcijańskiej swobody wychowania.

Może więc niektórym przypomniła się w czasie wizyty Papieża ta kontrowersja, wszczęta na tle dyskusji polskich biskupów o prawdziwej wykładni owej historii Polski. Może Polacy pomyśleli też o słowach Gomułki, który wtedy powiedział: "Ażeby podbudować swoje aspiracje do politycznego reprezentowania narodu polskiego i narzucić Polsce rolę «przedmurza», niektórzy dostojnicy Kościoła chcieliby zastąpić prawdziwą, opartą na naukowych podstawach historię Polski inną wersją, według której historia Kościoła nie byłaby już częścią historii narodu polskiego i na odwrót, historia narodu byłaby pochodną historii katolicyzmu."

Jan Paweł II zdecydował się na interpretację według orientacji zachodniej. Tylko w stosunkowo mało widocznym miejscu wspomniął Wojtyła również o Sowietach oraz ich historycznych zasługach dla Polski i Europy. Podczas odwiedzin obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu powiedział przed tablicą pamiątkową: "Mam tu jeszcze jedną wybraną tablicę: w języku rosyjskim. Wiemy, jakiego narodu ona dotyczy; wiemy, jaki udział miał ten naród w straszliwej wojnie o wolność narodów; tej tablicy również nam nie wolno pominąć."

Tablicę z polskim napisem tak skomentował: "Sześć milionów Polaków straciło życie w drugiej wojnie światowej, jedna piąta narodu. Jeszcze jeden rozdział wiekowej walki tego narodu, mojego narodu, o swoje fundamentalne prawa wśród narodów Europy; jeszcze jedno głośne wołanie o prawo do własnego miejsca na mapie Europy; jeszcze jedna bolesna wina na sumieniu ludzkości."

Gdy wizytacja ojczystego kraju wreszcie dobiegła końca, katolicka Herder-Korrespondenz doniosła: "...cała Polska płakała.

W takich momentach łączy się w Polsce to, co chrześcijańskie, z tym, co patriotyczne i narodowe, czego w naszych szerokościach nie da się tak naprawdę wyczuć ani zrozumieć. Trzeba więc dla lepszego zrozumienia dorzucić, że ta wizyta papieska nie tylko umocniła wiarę i nadzieję katolików, ale ofiarowała też Polsce pewnego rodzaju narodowe zadośćuczynienie: po dwóch stuleciach omal że nieustannego ucisku i dyskryminacji."

To samo wyrażone otwartym tekstem: oferta narodowego zadośćuczynienia była natury tyleż politycznej, co i kościelnej. Polscy katolicy, jako uzależniona część narodu, mieli się od tej pory jeszcze silniej identyfikować z centralą w Rzymie. We wszelkich przypadkach ucisku ze strony komunistów odtąd można było się odwoływać do rzymskiego Papieża, który z jednej strony mógł pertraktować z rządami tak zwanego bloku wschodniego na płaszczyźnie prawa międzynarodowego i dyplomacji jako głowa państwa, z drugiej strony zaś mógł także w niektórych wypadkach skutecznie interweniować jako najwyższej rangi autorytet moralny.

Polska znowu mocniej trzyma się Rzymu. A Rzym jej okazuje wdzięczność. Tam, w "mieście, które Opatrzność wybrała jako siedzibę dla namiestnika Chrystusa", Jan Paweł II raz po raz odwołuje się do mesjanistycznie zabarwionej tradycji swojego ojczystego środowiska. Mówi wręcz po misjonarsku o "żywej, pulsującej rzeczywistości polskiej wiary, w której wam też chciałbym dać udział, ponieważ mieści się w niej, jak we wszystkich autentycznych formach wyrazu wiary, posłannictwo optymizmu i nadziei: «Chrystus już nie umiera, śmierć nad nim już nie panuje» (Rzym. 6, 9)".

Jeżeli nie przyjmiemy istnienia takiej ojczyzny równocześnie w Polsce i w Rzymie, niezrozumiałe będzie, co właściwie papież Wojtyła mówi i robi. W takim zdomowieniu się chodzi co prawda o dwie tylko możliwości spośród wielu. Pod względem teologicznym nie są one konieczne.

## IV

### **SOBÓR POCHOWANY Z WIELKIMI HONORAMI**

Dlaczego Jan Paweł II pogrzebał tak wiele nadziei?

Jan Paweł II uderzająco wiele mówi w swojej książce o Drugim Soborze Watykańskim. Cytuje go, podobnie jak Pismo Święte, ilekroć mu to pasuje do argumentacji. Ale czy przejął się też jego duchem? Vittorio Messori już we wstępie zapobiegliwie bierze Papieża w obronę i zachęca, ażeby wszyscy, którzy go posądzali o "intencje «restauracji» czy «reakcji» przeciw nowościom wprowadzonym przez Sobór" (PPN 129) dali się skłonić "do całkowitej zmiany opinii" (PPN 18). Wszystkim zaś inaczej myślącym wytyka nie tylko "stronniczość i krótkowzroczność" (PPN 129), ale nawet zarzuca im kłamstwo.

Z chęcią. Ponieważ jesteśmy przy głębszych powodach, określających terażniejszość rządów papieskich, przyda się wyjaśnienie: Jan Paweł II nie jest właściwie papieżem soborowym.

Wynika to choćby z faktu, że uczestniczył wprawdzie jako biskup w Drugim Soborze Watykańskim, ale nie był jeszcze wtedy papieżem. Wojtyła: "Miałem to szczególne szczęście, że dane mi było w Soborze uczestniczyć od początku do końca" (PPN 123 i nast). Jednakże uczestnictwo nie wystarcza. W ścisłym tego słowa znaczeniu prawdziwymi papieżami soborowymi byli tylko Jan XXIII i Paweł VI, od których obecnie piastujący urząd wywodzi swoje podwójne imię.

Ich następcy pozostają - historycznie rzecz biorąc - papieżami posoborowymi, a tym samym spadkobiercami soborowej przeszłości, dopóki nie skorzystają ze swego prawa do zwołania własnego soboru. Papież Wojtyła dobrze o tym wie, skoro na początku pontyfikatu tak określa swoje zadanie: "Płodne ziarno, które posiali na dobrej ziemi (por. Mat. 13, 8-23) ojcowie Soboru Ekumenicznego, mianowicie ważne dokumenty i decyzje pasterskie, winny dojrzewać w życiu."

Czy Jan Paweł II jest przynajmniej papieżem sprawującym swój urząd z ducha i litery Drugiego Soboru Watykańskiego i daje

mu się prowadzić, zamiast ulec pokusie, aby ten Sobór z wolna lecz pewnie dopasowywać do swej własnej doktryny, to osobna kwestia. Wypowiedzi Wojtyły pozwalają co najmniej na taki wniosek, że chciałby on wszystko uczynić, aby zapewnić Soborowi respekt i posłuchanie. Już w cytowanym tu posłaniu do Kościoła i

świata na zakończenie konklawe, które go wybrało, powiedział: "Przed wszystkim chcemy przypomnieć o Drugim Ekumenicznym Soborze Watykańskim, który zobowiązuje nas do starannego wypełniania jego postanowień. Czyż to powszechne zgromadzenie Kościoła nie jest kamieniem milowym i wydarzeniem najwyższej wagi w dwutysiącletniej historii Kościoła, a tym samym w religijnej historii świata i w rozwoju ludzkości?"

A w książce swej pisze: "Sobór Watykański II jest wielkim darem dla Kościoła, dla wszystkich, którzy w nim uczestniczyli, jest darem dla całej rodziny ludzkiej, darem dla każdego z nas. Trudno powiedzieć o Soborze Watykańskim II coś nowego" (PPN 123).

Wojtyła posługuje się osobliwie powściągliwym językiem, kiedy mówi o swej ogólnej wierności wobec Drugiego Watykańskiego. W odróżnieniu od innych swoich obwieszczeń, charakteryzujących się wszystkim, tylko nie powściągliwością, nie poucza tu apodyktycznie, tylko przypomina o minionym wydarzeniu i zapytuje nawet o znaczenie tego zgromadzenia Kościoła. Nic nowego nie umie dodać. Ogranicza się do wykładni: "dar dla wszystkich". Brzmi to zaskakująco blado.

W dodatku dosyć często mówi o obowiązku, jaki otrzymane dziedzictwo nakłada na niego i jego urząd: Sobór "zobowiązuje do starannego wypełniania", sam Papież zaś uważa za "nasz pierwszy obowiązek staranne wypełnianie dekretów i postanowień Soboru, co winniśmy czynić w sposób równie mądry jak zachęcający w tym celu, aby przede wszystkim dostosować odpowiednią postawę duchową do Soboru, iżby jego postanowienia mogły być zrealizowane w praktyce" (por. PPN 125).

Właśnie przez to, że go tak zawzięcie cytuje i przy każdej okazji powołuje się nań w swej książce, powstaje wrażenie, jak gdyby papież Wojtyła interpretował Drugi Sobór Watykański jako nieuniknione wydarzenie, dla którego nie ma lepszej wymówki niż uznanie go za "dar" Opatrzności Boskiej. W żadnym miejscu swoich wywodów Jan Paweł II nie wydaje się mieć przekonania do tego zgromadzenia Kościoła.

Zadaję sobie pytanie, czy biskup Wojtyła nie zalicza się do tych, którzy w 1959 roku wobec obwieszczenia papieża Jana XXIII, że chce zwołać sobór, zajęli postawę raczej wyczekującą. W żadnym razie nie należał Wojtyła do tych, którzy przygotowali ten sobór, do jego inicjatorów, a już na pewno do wielkich postaci Drugiego Watykańskiego. Również i to, co czyni Papież pod hasłem późniejszego

opracowania Soboru, nie relatywizuje tej oceny.

Otóż na plenum Soboru krakowski arcybiskup wypowiedział się aż osiem razy. To wcale nie mało. Nawet w pierwszym roku Soboru, gdy wielu z jego współpracowników w gruncie rzeczy jeszcze się nie wychylało, Wojtyła wystąpił dwukrotnie, wypowiadając się w sprawach liturgii oraz źródeł objawienia. Następnie w drugim roku mówił o strukturze nowego Schematu o Kościele, w trzecim i czwartym zaś po jednym razie na temat objaśnienia wolności wyznania i sławnego "Schematu XIII" o Kościele w dzisiejszym świecie, poza tym jeszcze w trzecim roku o tak zwanym apostołstwie laickim.

Do tych wypowiedzi na plenum należy dodać 13 pisemnych zgłoszeń pióra Wojtyły, wśród których były zarówno teksty mniej czy bardziej dopracowane, jak i listy proponowanych poprawek. Pięć z nich dotyczyło dogmatycznej konstytucji Kościoła (w tym trzy rozdziały o Matce Boskiej), cztery dotyczyły Schematu XIII, trzy wolności wyznania i jedna środków porozumienia społecznego.

W sumie całkiem niemały wkład, nawet jeśli wyraźnie widać, że biskup wykluczył podstawowe problemy Soboru. Na temat ekumenizmu, katolickich Kościołów wschodnich, pasterskiej powinności biskupów, wykształcenia księży, zgodnego ze współczesnością odnowienia życia zakonnego, wychowania chrześcijańskiego, stosunku Kościoła katolickiego do religii niechrześcijańskich i działalności misyjnej Wojtyła w ogóle się nie wypowiedział.

Milczenie to można by wyjaśnić wewnętrznym podziałem ról w łonie polskiego episkopatu, zgodnie z którym poszczególni biskupi otrzymali ściśle określone zakresy tematyczne do wnikliwszego rozpracowania. Trudno jednak przypuścić, aby człowiek tak przebojowo idący do przodu jak Wojtyła, w toku zgromadzenia coraz bardziej awansujący w plenum (PPN 124), odsunięty został od opracowania tematu, który by zaproponował.

Prawdopodobnie dokonał tu świadomego wyboru. Tematy "Kościół w dzisiejszym świecie", "Kościół jako taki" i "Dzisiejsza wolność wyznania" musiały wydać mu się szczególnie warte wysiłku. Jego teologia tak czy owak dotyczyła raz po raz świata, w ogóle chcącego się jeszcze zadawać z Kościołem rzymskim.

W debacie o Kościele biskup krakowski po raz pierwszy zapisał się do głosu dopiero 21 października 1963. Ale w jego wywodach na temat "ludu Bożego, w szczególności laików" nie tylko, że nie przejawiało się obiegowe - wcale nie bezsporne - oddzielenie kleru i laików, ale nawet przejawiała się postawa raczej wsteczna:

Wojtyła wypowiadał się przeciw zaszczytnemu określeniu "lud Boży" i przekładał ponad nie interpretację Kościoła jako *societas perfecta*, utwierdzonej w tak zwanym porządku nadprzyrodzonym.

Ale już i ten skromny postęp w teologii, ażeby odejść od skostniałego prawnie i statycznego pojęcia doskonałej społeczności z jej niższymi i wyższymi warstwami, a przyjęć biblijne pojęcie ludu Bożego, poprzedzającego wszelkie różnice hierarchiczne: przez Wojtyłę nie został podjęty.

Pisze on wprawdzie: "...jako młodszy, raczej się uczyłem, ale stopniowo doszedłem także do dojrzałszej i bardziej twórczej formy uczestnictwa w Soborze" (PPN 124). Tylko czy aby uczył się tego, co istotne?

Chociaż z innych jego wypowiedzi nie można wyciągnąć wniosku, jakoby reprezentował tylko prawnie ukierunkowaną eklezjologię przeszłości, najwyraźniej nie uświadomił sobie i nie przyjął wszystkich konsekwencji nowożytnej teologii.

Kto jak Wojtyła chciał jeszcze w XX wieku połączyć nowe rozumienie Kościoła jako "wspólnoty wszystkich powołanych przez Boga do zbawienia" - gdzie wszystkie podziały na pasterzy i trzodę traktuje się jako mniej istotne - z mocno przestarzałym poglądem niektórych teologicznych jurystów z XIX wieku na *societas perfecta*, tego trudno uważać za prekursora Soboru, wiodącego w przyszłość ludzkości. O przyszłości wiary w ogóle nie może tutaj być mowy.

Tymczasem Wojtyła pisze o Soborze, tym "seminarium Ducha Świętego" (PPN 125), że z jednej strony "był potrzebny do tego, ażeby wejść w ów dwubiegunowy proces: zapoczątkować wyjście chrześcijaństwa z podziałów, jakie narosły w ciągu całego mijającego tysiąclecia, a równocześnie podjąć na nowo, o ile możliwości wspólnie, ewangeliczną misję u progu trzeciego tysiąclecia" (PPN 126).

Czy Wojtyła się do tego przyczynił? Tak samo niewspółcześnie, jak jego wcześniejsze przyczynki na Soborze, wypadły opinie, jakie wygłosił, awansowany w międzyczasie na arcybiskupa Krakowa, w sprawie wolności wyznania. 26 września 1964 oznajmił, że wobec aspiracji ateizmu do tego, jakoby uwalniał człowieka od wyobcowania spowodowanego przez religię, trzeba obstawać przy tym, że żadnej władzy świeckiej nie wolno się mieszać w stosunki pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Prawo do wolności wyznania jest bowiem ściśle związane z prawem do tego, aby prawdę - i tylko ją - poznawać, wyznawać i bez przeszkód przekazywać innym. Również i dosyć średniowieczne pojmowanie prawdy jako takiej i tylko takiej nie było w tych czasach zbyt prekursorskie.

22 września 1965 Wojtyła - też w imieniu biskupów polskich - mówił o tym, że między wolnością a odpowiedzialnością zachodzi nierozzerwalny związek: skoro się już proklamuje wolność wyznania, nie mniej konieczne jest położenie nacisku na odpowiedzialność obyczajową przy korzystaniu z tego podstawowego prawa, ażeby "nie stwarzać pozorów indyferentyzmu albo liberalizmu". Należy też ustalić kryteria, na mocy których instytucje strzegące porządku publicznego będą upoważnione do ograniczania wolności wyznania, by zapobiec jej nadużywaniu: "Jedynie czyn zły moralnie, więc skierowany przeciwko prawu obyczajowemu, uznać można za nadużycie wolności wyznania..."

Rozumie się, że w tych interwencjach ważną rolę odgrywały doświadczenia polskiego episkopatu z systemem deklarującym się jako ateistyczny. Wojtyła obawiał się, aby w następstwie zbyt permissywnej deklaracji Soboru nie dać nadmiernej swobody despotycznemu reżimowi, kryjącemu się jego zdaniem pod maską legalnej władzy państwowej. Chciał więc ów reżim ująć w cugle norm obyczajowych, sprecyzowanych przez Sobór.

Podług badań Jana Grootaera ostateczny tekst deklaracji Soboru w sprawie wolności wyznania wykazuje pewne ślady działalności Wojtyły. W każdym razie te wtrącone tylko zdania poboczne albo przymiotniki odnoszą się do "słusznego" porządku publicznego.

Ale że właściwym tematem tej deklaracji nie jest ani zagadnienie prawdy jako takiej, ani stosunek jednostki do Boga, ani wolność zewnątrz prawdziwego Kościoła w bezpośrednim ujęciu, tego nie zawdzięczamy soborowemu ojcu Wojtyle. On się nie przyczynił do tego, że deklaracja Soboru zdecydowanie pominęła stereotypowo powtarzaną w pewnym nurcie konserwatywnej teologii tezę, iż "tylko prawdzie, mianowicie tej Kościoła rzymskiego, przysługuje prawo, błędowi natomiast nie przysługują żadne prawa". Na ten zasadniczy problem, zwrócony ku przyszłości, krakowski arcybiskup prawie w ogóle nie zwracał uwagi.

Obserwatorzy docenili natomiast zainteresowanie, jakie wykazywał Wojtyła dla postawionej pod dyskusję problematyki współczesnych kierunków filozoficznych humanizmu i marksizmu, jak również jego czynny udział w odnośnych rozmowach. Wprawdzie nie zaliczał się akurat do tego kierunku teologicznego, dla którego kształt świata ma szczególną wartość jako przygotowanie do Królestwa Bożego. Trzymał się raczej koncepcji nietrwałości świata doczesnego i dlatego raz po raz podkreślał zadania Kościoła jako ratującej go instancji zbawienia, szczególnie ze względu na

czas poprzedzający kres ostateczny. Jego teologiczny wertykalizm nie może jednak być uznany za jałowy.

Wojtyła przynajmniej widział swoje zadanie w tym, aby przełamać koncentrowanie się Drugiego Soboru Watykańskiego na problematyce zawartej w pojęciach zachodniej wiary w postęp, biorąc pod uwagę realia Kościołów wschodnich. Polska, w której swego czasu Kościół, jak sam stwierdza, musiał walczyć o przetrwanie, tak czy owak nie mogła być pominięta w Schemacie dotyczącym Kościoła w dzisiejszym świecie. Jej prawda też się liczyła. Jednakże nie Polska i nie Wojtyła decydowali o właściwych treściach Soboru.

Można nad tym poniekąd ubolewać, gdyż byłoby pożądanym, aby i te głosy okazały się bardziej wpływowe, o których aż do powołania Drugiego Soboru Watykańskiego tak niewiele słyszano, mimo ich bezspornej przynależności do Kościoła światowego.

Interpretacja Soboru jednakże nie pomija realiów Kościoła: śmiesznie byłoby mówić o "polskim Soborze", albo wręcz o "Soborze Wojtyły". Na tle swego mesjanizmu Polacy chcieliby widzieć wszystko trochę inaczej, realność do nich nie przemawia. W sumie to zgromadzenie Kościoła obracało się wokół innych teologii.

Założenia tematyczne oraz ich wykonanie spoczywało w innych rękach: w zachodnich. Polska teologia mogła się wykazać jedynie na marginesach. Nie posiadała ani wielkich nazwisk, ani wystarczających doświadczeń, które byłyby w stanie przełamać przewagę bardziej rozwiniętej teologii zachodniej.

Ale to, czego Polska wtedy nie uzyskała, polski Papież mógł w ciągu następnych lat, w autorytarnej i centralistycznej strukturze Kościoła katolickiego, zdziałać bez większego wysiłku: ponowny zwrot ku teologii przedsoborowej. Jan Paweł II osiągnął ten cel po dość krótkim upływie czasu.

Niebawem sprecyzowała się jego strategia. Najpierw musiał przełamać opór urzędowej teologii. Równocześnie trzeba było obsadzać zwalnijące się fotele biskupie dogodnymi kandydatami. A po trzecie sam Papież musiał korzystać z każdej nadarzającej się okazji, aby głosić publicznie nową naukę, bardzo starą. Trzoda szybko usłucha i przyjmie wszystko, co wyjdzie z Watykanu.

Wojtyła, który w bardzo młodym wieku wyrzekł się nauki jako zawodu, ponieważ został w Polsce biskupem, w czasach Drugiego Soboru Watykańskiego wiele się douczył w dyskusjach z renomowanymi teologami świata, co teraz sam potwierdza (PPN 124). Czy doświadczenie to było dostatecznie głębokie? To już nie



jest tak jasne: nie darmo polski arcybiskup odsuwa starania tej teologii na drugi plan, pierwszy plan śmiało zastrzegając dla biskupiej powinności nauczania.

Toteż już w 1966 roku powiedział o Schemacie XIII Soboru, że autorstwo jego jest podwójne: "Inicjatorami pomysłów byli ojcowie Soboru, natomiast autorami tekstów teologowie."

Jest to pogląd może zbyt pochopny, zwłaszcza jeśli uwzględnić fakt, że biskupi też byli i są uczniami teologów, własnej teologii zaś nauczyli się nie od kogo innego, lecz od teologów. Tym uparciej narzuca się wrażenie, że Wojtyła jako papież nakładał teologom jeden kaganiec po drugim.

Do rzeczywistego długu wdzięczności kardynał z Krakowa w ogóle nie poczuwa się w stosunku do pojedynczych osób. W jednym ze studiów roboczych stwierdza to wyraźnie: "Jeżeli zapytamy się, z kim uzgodniono należną zapłatę, droga ta zaprowadzi nas przez wszystkie osoby, wypowiedzi, poglądy, postawy, perspektywy, przez całą widzialną rzeczywistość Soboru do niewidzialnego, który nieustannie spełnia obietnicę, jakiej niegdyś udzielił apostołom w wieczniku: «Duch Święty nauczy was wszystkiego i przypomni wam wszystko, co wam powiedziałem» (Jan 14, 26)." Jego interpretacja Soboru jako "daru" (PPN 123) najdokładniej pasuje do takiej teologii.

Co prawda jest wątpliwe teologicznie, czy wspomniana tu obietnica, nie mogąca zresztą uchodzić za autentyczne słowa Jezusa z Nazaretu, skierowana była tylko do biskupów, a nie do całego Kościoła; widać jednak w tych słowach Wojtyły istotny powód do uważania, że dziedzictwo Soboru go obowiązywało.

Sam Duch Boży nałożył na biskupów, następców apostołów, obowiązek świadectwa. Cięży na nich powinność, ażeby ani joty nie uronić z tego dziedzictwa duchowego, lecz podawać dalej skarb swej prawdy nie skrócony i nie zafałszowany. Na dosłowności tego przekazu opiera się ich własna tożsamość.

Pogląd Wojtyły nie budzi wątpliwości: właśnie zapotrzebowanie odbiorców na jednoznaczną prawdę uzasadnia służbę Kościoła w ogólności, jak i specjalną służbę biskupów.

26 stycznia 1979 Jan Paweł II, przemawiając w Puebli do generalnego zgromadzenia arcybiskupów Ameryki Łacińskiej, podkreślił: "Prawda, którą winni jesteśmy człowiekowi, jest zarazem i przede wszystkim prawdą o nim samym. Jako świadkowie Jezusa Chrystusa jesteśmy prekursorami, głosicielami i sługami tej prawdy i nie wolno nam jej sprowadzać do założeń systemu filozoficznego lub do

działalności czysto politycznej; nie wolno nam zapomnieć ani zdradzić tej prawdy..."

Teolog Alfred Lapple nazwał podkreślanie ciągłości i tożsamości przez papieża Jana Pawła II "znaczącą perspektywą" tego właśnie pontyfikatu i zarazem zwrócił uwagę na szczególne korzenie tej postawy: "Już z historii narodu polskiego wynika znaczenie, jakie miało zachowywanie i obrona tożsamości narodowej i religijnej przy równoczesnym zachowywaniu i obronie narodowej i religijnej tradycji i ciągłości."

Wojtyła upatruje w ciągłości właściwe założenie tożsamości Kościoła. Jego upodobanie do słów "obowiązek", "wierność" i "służba" zakorzenione jest w tej koncepcji. Przez ciągłość Papież rozumie należny Duchowi Bożemu szacunek dla podarowanego przez Boga początku i dla wytworzonej duchowo tradycji prawd wiary.

Biada więc pasterzowi, który by się ośmielił nie przekazywać dalej przenaświętego dziedzictwa bez żadnych skreśleń! Taki biskup nie traktowałby poważnie nadprzyrodzonej rzeczywistości Kościoła i przejawiających się w niej nakazów Ducha Bożego, natomiast poddawałby ją własnej - z konieczności skrótowej czy wręcz fałszującej - ocenie ludzkiej.

Co może się zdarzyć, gdy ludzie osądzają Boga, nowa książka przedstawia na wielu stronach (PPN 62-67). Wojtyła nie byłby tym i takim papieżem, gdyby ze swojej strony nie osądzał takich ludzi oraz ich "przemocy i doraźnej koniunktury" [w oryginale sulla prepotenza, sulla subdola congiura: arogancji lub nadużycia siły i perfidnej zмовy. Przyp. tłum.] (PPN 65).

Reakcje Papieża wynikają z dogłębnej odpowiedzialności wobec urzędu, który - jak rzymskie papieństwo - zakotwiczony jest w tradycji, liczącej sobie dwa tysiące lat, i tak samo jak Kościół (PPN 29) powołuje się na nieprzerwane następstwo apostołskie, którego ciągłość zapewnia mu tożsamość, niemalże alergicznie reagując na wszelkie nowe interpretacje i aktualizacje, jako na zjawiska adaptacyjne, nie dające się pogodzić z jakoby świętym dziedzictwem.

Nie przypadkiem Jan Paweł II w jednym z dwóch rozdziałów swej książki, faktycznie dotyczących Soboru (liczących mniej więcej po trzy strony), traktuje na dwóch stronach o katechizmie światowym, tej "nieodzownej" książce, która poświadcza "bogactwo nauki Kościoła" (PPN 127). Oczywiście w duchu Soboru, ale mimo to bardzo samodzielnie, jak stwierdzają wszystkie liczące się komentarze. W tym właśnie miejscu swej książki Wojtyła okazuje się uderzająco dumny z siebie: mówi nie tylko o olbrzymim sukcesie handlowym katechizmu, ale i o tym, że "widać,

jak wielkie jest zapotrzebowanie na taką lekturę" (PPN 127 i nast.). Gdyż "po upadku komunizmu" (PPN 134) "świat zmęczony ideologiami otwiera się w stronę prawdy" (PPN 128).

Papież jeszcze raz staje się więźniem swych rojeń i marzeń: tylko znikomo drobna mniejszość przyjmie, jak on, że świat, obrzydziwszy już sobie komunizm, ale jeszcze nie kapitalizm, cieszy się właśnie na rzymskiego doradcę kardynała Ratzingera.

Następny przykład na to, jak Papież obchodzi się z dziedzictwem - przestroga, jakiej w Puebli udzielił zwolennikom latynoamerykańskiej teologii wyzwolenia - wystarczy, aby ten stan rzeczy wyjaśnić: "Pojmowanie Jezusa jako polityka, rewolucjonisty i wyrotowca z Nazaretu nie da się pogodzić z obwieszczeniami Kościoła... cokolwiek jest przemilczeniem, zapomnieniem, umniejszeniem lub niestosownym przerysowaniem całkowitych tajemnic Jezusa Chrystusa, cokolwiek odstępuje od wiary Kościoła, nie może stać się częścią składową ewangelizacji."

W tych okolicznościach nie dziwię się, że przedstawiciele domniemanej teologii wyzwolenia (od kiedyż to teologia wyzwala?) zostali tak zmiękczeni, iż przesyłają Papieżowi deklaracje solidarności.

Dawno też minęły czasy, gdy arcybiskup Oscar Arnulfo Romero z Salwadoru występował z rzeczowymi uzasadnieniami przeciwko nie dość rewolucyjnej polityce Watykanu w Ameryce Łacińskiej. Ten męczennik słusznej sprawy, w roku 1980 zamordowany przy ołtarzu i uderzająco rzadko wzmiankowany przez Papieża, musiał zresztą jeszcze w 1979 roku przeciskać się do pierwszych rzędów, aby w czasie audyencji Wojtyła raczył go w ogóle zauważyć...

Gdzie kościelna ciągłość - wedle własnego uznania - traktowana jest wybiórczo albo lekceważona, tożsamość Kościoła - jak stwierdza obecny Papież - i tym samym jego prawdziwa misja w służbie całej ludzkości jest narażona lub w ogóle zarzucona. Ponieważ ciągłość i tożsamość warunkują się i zarazem wspierają wzajemnie, zatem dla osobliwych poglądów, problemów pozornych i nawet dla jałowych dyskusji, tylko mąjących wiernym w głowie, nie ma miejsca w doktrynie Kościoła.

Pisząc o katechezie, Jan Paweł II już w 1979 roku stwierdził jednoznacznie: "Ażeby ofiarny dar jego wiary był doskonały, każdy z uczniów Chrystusa ma prawo otrzymywać «słowo wiary» nie okaleczone, sfalszowane albo skrócone, lecz pełne i całkowite, w całej jego sile i potędze. Kto w jakimkolwiek punkcie rezygnuje z

kompletności posłannictwa, wywołuje niebezpieczną próżnię w samej katechezie i zagraża owocom, których słusznie oczekują od niego Chrystus i wspólnota Kościoła... Dlatego żaden prawdziwy katecheta nie ma prawa wedle własnego uznania dzielić dobra wiary i rozróżniać tego, co uważa za ważne, od tego, co wydaje mu się nieważne, aby następnie jednego uczyć, a drugie pomijać."

Papież Wojtyła sam ujawnia, że nie dziwi go, iż właśnie w posoborowej epoce dziejów Kościoła pojawiają się takie postawy, niezgodne ze zdefiniowaną przez niego samego całkowitością prawdy kościelnej (będącej jednakowoż tylko częścią tradycji).

Jego książka neguje "spory pomiędzy «progresistami» a «integrystami», spory polityczne, a nie religijne, kategorie, w jakie usiłowano wtłoczyć wydarzenie soborowe" (PPN 126), natomiast w przeciwieństwie do tego kładzie nacisk na prawdziwy styl i ducha Soboru.

Widocznie zdaniem Papieża Drugi Sobór Watykański podziałał jak katalizator i wyzwolił ukrywane dotychczas postawy nie-kościelne, odtąd manifestujące się publicznie. Przeszkadzają one w tym, aby Sobór, który przecież "otworzył szeroko drzwi na wejście do Kościoła ludzi współczesnych" (PPN 129), odniósł sukces. I dlatego "niejako instynktowny zwrot do religii" (PPN 134) ulega zahamowaniu.

Ponieważ zaś Papież jest przekonany, że chodzi przede wszystkim o nadużywanie postępowości, które nawet wiernych w istocie fundamentalistów sprowokowało do odchylenia, zrozumiałe jest, że nagana i korygowanie ze strony jego urzędu muszą się odnosić w pierwszym rzędzie do błędnych tendencji postępowych. W tej nauczającej polityce swego urzędu Wojtyła niewątpliwie spotyka się z gwałtownym poparciem swych najwierniejszych. Widać, jak podrzucają sobie raz po raz odpowiednie hasła.

Na przykład były arcybiskup Kolonii Joseph Höffner dobitnie powołał się w 1980 roku na "fatalne naruszenie tradycji", jakoby występujące po Drugim Soborze Watykańskim, i równocześnie, zwracając się do papieża Wojtyły, podsunął mu wyjście z wszystkich kryzysów: "Jest to opatrnościowe, że Ty, Ojciec Święty, właśnie w tej historycznej godzinie, będącej szansą i wyzwaniem dla Kościoła, przybyłeś do nas. Spodziewamy się po Twojej pasterskiej wizycie nowych, pomocnych impulsów. Twoja wiara umacnia naszą wiarę. Twoja odwaga wzbudza w nas odwagę. Zgorszenie i głupota krzyża nie budzą w Tobie lęku. Postać Ukrzyżowanego rozjarza się w Papieżu, wyrażającym sprzeciw, lecz nie w takim następcy Piotra, który do wszystkiego by się dostosował... Jesteś świadkiem i poręczycielem czystości naszej

wiary."

Jan Paweł II chyba i teraz także spełnił te oczekiwania, skierowane do jego autorytetu, pisząc w odpowiedzi na jedno z pytań, które mu zadał Messori: "Pan słusznie mówi, że Papież jest tajemnicą. Słusznie mówi Pan także, że jest on znakiem sprzeciwu, że jest on prowokacją. O samym Chrystusie powiedział starzec Symeon, że będzie «znakiem, któremu sprzeciwiać się będą» (por. Łk 2, 34)" (PPN 30).

Swego czasu Wojtyła szczególnie polecił biskupom niemieckim obie te grupy, których postawa po Soborze wywołała jakoby tyle zamętu wśród prawdziwych wiernych: "Po pierwsze są to ci, którzy z impulsów Drugiego Soboru Watykańskiego wyciągnęli fałszywy wniosek, jakoby dialog, nawiązywany dzisiaj przez Kościół, był nie do pogodzenia z jednoznacznym obowiązywaniem nauki i norm Kościoła, z władzą hierarchicznego urzędu, nienaruszalnie powierzonego Kościołowi w oparciu o posłannictwo Chrystusa. Pokażcie, że te dwie rzeczy są nierozłączne: wierność nienaruszalnemu posłannictwu i zbliżenie się do człowieka z jego doświadczeniami i problemami. Druga zaś grupa to ci, którzy - częściowo w następstwie niewłaściwych lub niebacznie wyciągniętych konsekwencji z Drugiego Soboru Watykańskiego - w dzisiejszym Kościele nie czują się już swojsko, czy nawet grożą odpadnięciem od niego. Należy tu z całą stanowczością, ale zarazem z całą ostrożnością, przekazywać tym ludziom doświadczenie, że Kościół Drugiego Soboru Watykańskiego i Pierwszego Watykańskiego, i Trydenckiego, i pierwszych soborów to jeden i ten sam Kościół."

Fakt, iż Jan Paweł II opiera tutaj tożsamość Kościoła na ciągłości łączącej Drugi Sobór Watykański i specjalnie wymienione oba poprzednie, nie jest bez znaczenia, jeśli chodzi o zasadnicze rozumienie Kościoła i Soborów przez tego Papieża.

Przytoczony tu Pierwszy Watykański (1869-1870) ustanowił nieomylność papieską, na wskroś antyreformatorski zaś Sobór Trydencki (1545-1563), który ogłosił wiele dogmatów dotyczących Kościoła, jego hierarchii i organizacji, przez wielu do dzisiaj uważany jest za najważniejsze pod względem dogmatycznym zgromadzenie Kościoła w czasach nowożytnych.

Jan Paweł II zna to dziedzictwo swego Kościoła i nie jest gotów przystać na to, aby ostatni Sobór interpretować z prawa lub z lewa jako - trochę mniej produktywny dogmatycznie - "sobór pasterski", pośrednio, być może, dystansujący się względem wcześniejszych prawd wiary: wręcz przeciwnie! Wojtyła także i w Drugim

Watykańskim, pomimo jego rzekomo "odmiennego" ducha i stylu (PPN 126 i nast.), dopatruje się soboru, który dokonał ważnych wypowiedzi o samym Kościele, nie mogących jednak uniezależnić się od tradycji dawniejszych zgromadzeń kościelnych bez naruszenia tożsamości samego Kościoła.

26 stycznia 1979 Wojtyła powiedział w stolicy Meksyku: "Drugi Sobór Watykański zawsze chciał być nade wszystko soborem dotyczącym Kościoła. Weźcie do ręki dokumenty Soboru, zwłaszcza dogmatyczną konstytucję o Kościele *Lumen gentium*, przestudiuje ją z serdeczną uwagą w duchu modlitwy, aby rozpoznać, co duch Kościoła chciał powiedzieć. Odkryjecie wówczas, że nie istnieje obecnie - jak utrzymują niektórzy - jakiś «nowy» Kościół, różniący się od «starego» albo wręcz mu przeciwny. Sobór chciał natomiast przedstawić z większą jasnością jeden jedyny Kościół Jezusa Chrystusa, co prawda w nowych aspektach, ale w istocie swej wciąż jeszcze ten sam."

Na podstawie wytycznych opartych na założeniu, że uświęcenie i ocalenie ludzkości dokonują się tylko przez prawdę - mianowicie przez tę prawdę, którą przekazuje i nauczając głosi bez skrótów prawdziwy Kościół - można skonkretyzować i wyjaśnić tak zwaną rzeczywistość Soboru, cenioną przez Jana Pawła II.

Wojtyła już w 1968 roku w Krakowie wypowiedział się o odnowieniu prawdy: "Znaczące jest, że program odnowy Kościoła jest w zasadzie swej najgłębiej teologiczny. Odnowa - konieczność i program odnowy - to następstwo rozumienia doświadczeń Kościoła na tak wielu frontach i odcinkach jego życia. Odnowa jest zatem w pierwszym rzędzie nowym sposobem rozumienia, nowym sposobem widzenia wiekuistej, objawionej prawdy. Jest w pierwszym rzędzie teologią: gdyż teologia określa nową dojrzałość w studiach nad Ewangelią i w życiowym przekazie... Zachodzi tu wydobywanie skarbu z ukrycia. Nie wolno przy tym zapominać, że słowo «odnowa» jest czymś innym niż słowo «reforma»: posiada głębszą treść niż tamto, a chociaż wydaje się mniej radykalne, jest jednak w większej mierze integralne."

Ażeby ta najwyraźniej odróżniona od reformy odnowa, będąca "w pierwszym rzędzie teologią" знаła granice prawdy, wytyczone przez hierarchiczne pojmowanie, i nie zbłądziła na manowce, Wojtyła kładzie szczególny nacisk na tradycję, też przekazywaną przez urząd nauczycielski: "Teologia musi uważać na to, w jakim stosunku pozostaje do wiary Kościoła. Nie sami sobie zawdzięczamy wiarę, jest ona raczej «zbudowana na fundamencie apostołów i proroków, którego kamieniem węgielnym jest sam Jezus Chrystus" (Efez. 2, 20). Teologia też musi zakładać wiarę.

Może ją rozjaśniać i wspierać, ale nie może jej wytworzyć... Urząd nauczycielski istnieje tylko po to, aby stwierdzać prawdę słowa Bożego, zwłaszcza tam, gdzie grożą jej zniekształcenia i nieporozumienia. W tym kontekście należy widzieć także nieomylność kościelnego urzędu nauczycielskiego... Jest ona w pewnym sensie kluczem do tej pewności, z jaką prawda jest poznawana i głoszona, jak również do życia i postępowania wiernych. Bo kiedy się tą podstawową zasadą wstrząśnie albo zburzy ją, najbardziej elementarne prawdy naszej wiary też zaczynają się rozsypywać."

Właśnie odnowa po Soborze jest zatem w swych istotnych treściach podporządkowana, według Jana Pawła II, nieustępliwej pieczy nieomylnie wygłaszanej przez Kościół prawdy. Wprawdzie bez takiego związania z urzędem nauczycielskim też byłaby ona pewnego rodzaju reformą, lecz nie taką, która mogłaby rościć sobie prawo do autentyczności. Prędzej czy później zapędziłaby się na śmierć, to znaczy: oderwałaby się od całości ortodoksyjnej wspólnoty Kościoła i stałaby się heretycka. Jeżeli natomiast pożądana odnowa poddaje się sprawdzaniu i prowadzeniu przez urząd nauczycielski, któremu duch Boży jest niepodzielnie przyznany, wtedy włącza się w długi szereg ciągłości i dzięki temu ma przyszłość.

Wojtyła jest najzupełniej pewien siebie. Jego interpretacja Drugiego Soboru Watykańskiego jest niezachwiana. Potwierdza ona wszystko, co Kościół wiedział już przed Soborem. A i Kościołowi przez to wiadomo, na czyich barkach spoczywa taka odnowa, zwrócona wstecz i związana z przeszłością: tylko na barkach wychowanych w duchu prawdziwej tradycji duchownych i hierarchów. Kościelna odnowa pozostaje więc przywiązana do urzędu. Nie jest oddolna. Nie wychodzi od ludu. Zwraca się raczej odgórnie do ludu, który musi dać się odnowić swoim pasterzom.

Konsekwentnie więc przemówił Jan Paweł II w swym liście do biskupów na Wielki Czwartek 1979 roku: "Energicznie odnowione życie seminariów w całym Kościele będzie decydującą próbą realizacji tej odnowy, którą Sobór zapoczątkował w Kościele."

Tymczasem miliony ludzi, pokładających nadzieję w tym Papieżu, rozczarowały się i odsunęły od niego. Nie powinny były dać się zaślepić entuzjazmowi pierwszych lat, a raczej uważać na ciągłość, którą Wojtyła wykazywał się przez wiele dziesiątków lat.

Jan Paweł II wyrobił sobie pewną koncepcję wiary, moralności, nauki, tradycji. Kościoła. Podoba się ona sporej liczbie osób tak samo, jak jemu. Ale nie

stwarza nadziei dla milionów; na to jest zbyt wąsko ujęta. Obsługuje tylko pewną liczbę dusz i pewną ich jakość.



## V

### PRZYJAZNY FUNDAMENTALISTA

Dlaczego Karol Wojtyła pozostał konserwatystą do szpiku kości?

Już wstępne pytania, jakie stawia Vittorio Messori, określają to starannie wyodrębnione środowisko, z którego poruczenia Papieżowi wolno odpowiadać. Środowisko to pozostaje konserwatywne właśnie dlatego, że pytający i odpowiadający ograniczają się do tych problemów, które sami definiują jako "fundamenty, na których wznosi się budowla Kościoła" (PPN 14). Wszystkie inne tematy są wyłączone: "o kapłaństwie kobiet, o duszpasterstwie homoseksualistów czy osób rozwiedzionych, o watykańskich strategiach geopolitycznych" (PPN 15) w tych okolicznościach w ogóle nie należy mówić.

Uczestnicy wywiadu zgodzili się na "właściwą hierarchię rzeczy (często postawioną dziś na głowie, nawet w środowiskach katolickich)" (PPN 15). Mówi się więc w pierwszym rzędzie, jeśli nie wyłącznie, o Bogu, Jezusie Chrystusie, Maryi, Kościele. Ograniczenie to z pewnością odpowiada niektórym głowom i sercom. W tych właśnie kręgach katolickich Jan Paweł II czuje się duchowo jak w domu. Powołuje się na bieżąco, przyprowadzając to cytatami z Biblii i z Soborów, na samego Boga, i wszystko to brzmi strasznie wnikliwie, świątobliwie, jest pełne nadziei. Cała książka Wojtyły tchnie tym błogim zadowoleniem z siebie. Wspomina się wprawdzie pro forma o wątpliwościach, ale służą one Papieżowi jedynie jako poręczne hasła, które zbija się sytą "prawdą", aby podrzucić Czarnego Piotrusia tym, którzy myślą inaczej. Kto rzeczywiście pyta i nie ogranicza się do haseł w postaci pytań, jakie zadaje Messori, właśnie po lekturze tej książki zostanie głodny. O godności ludzkiego wątpienia obaj uczestnicy tego wywiadu w ogóle nie mają pojęcia.

W tym środowisku tylko nielicznym przychodzi do głowy, że za pozornie fundamentalnymi pytaniami, na które Papież odpowiada w swej książce, nie da się ukryć rzeczywistych problemów ludzkich i że diabeł tu również kryje się w szczegółach. Związek między jakoby zniesioną teorią a codzienną praktyką Papieża i Watykanu jest tylko zatuszowany, a nie zlikwidowany. Akurat codzienna praktyka Wojtyły nastrecza tu aż nadto okazji do ataku. Jeszcze do tego wróć.

"Czy to, w co wierzą katolicy i czego Papież jest najwyższym gwarantem, to «prawda», czy «nieprawda»?" (PPN 15). Już to pytanie demaskuje się jako

nierzetelnie postawiony problem pozorny: prawda nie może być rozpoznana jako prawda, a tym bardziej jako nieprawda, przez tego, kto w samym pytaniu zawarty jest jako jej własny gwarant. Skoro już Papież jest gwarantem prawdy, unieważniłby siebie i swój urząd, gdyby swoją prawdę choćby w marginesowych kwestiach uznał za błąd.

Nikt nie będzie na serio wymagał od Jana Pawła II, aby "przesłaniał tożsamość katolicyzmu" (PPN 17). Ale nikt się też nie może spodziewać, że jego książka przekroczy ten próg argumentacji, który Messori nazywa "szczególną mieszanką", doprawdy osobliwej miszkulacji "wyznań osobistych, refleksji i wskazań duchowych, mistycznej medytacji, spojrzeń w przeszłość i przyszłość, rozważań teologicznych, a także filozoficznych" (PPN 17).

Wśród ludzi poszukujących prawdy nie zwykło się przejmować tej metody papieskiej i odpowiadać "mieszanką" na to, na co już odpowiedział pytający: prawda świata spoczywa w Papieżu. I Papież ma tylko wygłosić jeszcze raz to, co zawsze uważał, ozdobiwszy to pstrą mieszanką cytatów rozmaitego pochodzenia, aby wszyscy ludzie dostąpili nadziei i wiary. Zdumiewa mnie, jak prostackimi metodami ta książka się posługuje; i za jak głupich uważa swych czytelników. Jakkolwiek nie mówi się o tym jeszcze w odnośnych kręgach katolickich: na pytanie o prawdę już od dawna nie można odpowiadać gołymi odsyłaczami do autorytetów. W przeciwnym razie pytanie i odpowiedź kręcą się w błędnym kółku.

Ta właśnie technika nie jest niczym nowym. Toteż nazywać Wojtyłę "Papieżem niespodzianek" (PPN 12) może tylko dziennikarz dworski. Mówi on jedynie do klienteli, do najściślejszego kółka, motywowanego "przez swoistą potrzebę «duchowej prawomocnością przez nakaz «moralny»" (PPN 13). W takiej to perspektywie uchodzi również za prawdę twierdzenie, iż Stolica Apostolska zdobyła sobie "niekwestionowany prestiż" (PPN 13).

Pytam się: na jakim świecie ci ludzie żyją? Mało tego, że najwyraźniej obserwują świat jednym okiem, ale jeśli chodzi o ludzi, natychmiast zamykają nawet oboje oczu.

Mimo zapowiedzi, wygłoszonej w wieczór swego wyboru, że pragnie uczynić nowy początek, Jan Paweł II nie ruszył niczego w swoim tak wybornie zorganizowanym Kościele, nie wyłączając samego siebie. Wojtyła: za wszelką cenę nie-reformator. Takie określenie stało się już niemal truizmem. Odmiennego zdania są jedynie owieczki, uznające za prawdę wszystko, co z Watykanu. Są po prostu

niezdolni przyjąć do wiadomości odwrotną, niemalże jednogłówną opinię o Janie Pawle II. Która to opinia, nawiasem mówiąc, pojawia się także w recenzjach z jego nowej książki. Po Wojtyłę można się wiele spodziewać, ale na pewno żadnych niespodzianek.

Dlaczego ten Papież niczego nie poruszył? Dlaczego zawiódł nadzieje milionów? Dlaczego pozostał sobie wierny, co do tego, także w swej książce? Papież tej jakości musi mieć jakieś powody, aby obracać wstecz koło postępu, zamiast przysłużyć się światu jako idący naprzód.

Włoski eks-przeor Giovanni Franzoni, niegdyś przewodnia głowa kościelnych dysydentów, szukając wyjaśnienia, już w 1978 roku słusznie zwrócił uwagę na kościelno-polityczną proveniencję Wojtyły: "Od pewnego czasu niesłusznie używa się słowa «rewolucja» w odniesieniu do problemów Kościoła... Wcale też nie zamierzam nazywać wyboru Wojtyły «rewolucyjnym». Z pewnością wybór ten odskakuje od sposobu myślenia Kurii, przynajmniej na pierwszy rzut oka... Gdy wybrany został Luciani, Jan Paweł I, chciano stworzyć obraz Kościoła jako cichej wyspy, uśmiechniętej fasady, za którą łągodzi się wszelkie waśnie ludzkości. Natomiast wybór Jana Pawła II zdaje się być wyborem, dokonany przez tych kardynałów, którzy w sierpniu 1978 roku jeszcze ustąpili... Chciano poszerzyć widnokrąg, ale wybierając człowieka, który wywodzi się z Kościoła polskiego i tym samym wystarczająco gwarantuje wierność tradycji rzymskiej."

Inne od tej interpretacje, wskazujące na polską tradycję nurtów mesjanistycznych, przeprowadzają znaczącą paralelę pomiędzy Wojtyłą a irańskim przywódcą rewolucyjnym Chomeinim. Wskazują na tzw. fenomen Ajatollaha, jakoby występujący równocześnie w Watykanie i w Teheranie.

Rzeczywiście trudno się nie dopatrzeć pewnego podobieństwa obu tych przejawów religijnej atrakcyjności. Daje to do myślenia, że taki teokrata jak Chomeini, wychodząc ze skrajnej bezsilności i braku środków, potrafił obalić tak wysoko ustawionego samowładcę jak Szach, co więcej: że duchowny zdołał odzyskać świecką władzę nad narodem, zdawało się, że dawno już utraconą.

Daje też do myślenia, iż konserwatywny patriarcha bez niczyjego sprzeciwu przywłaszczył sobie nazwę "rewolucja" i zdobył entuzjastyczne posłuszeństwo właśnie dlatego, że był tak absolutnie niewspółczesny i wprowadzał nie co innego, tylko regresję. Triumf Chomeiniego każe szukać paraleli także w Kościele rzymskim: właśnie pod rządami Karola Wojtyły.

Po sukcesie islamskiego fundamentalizmu Watykan spostrzegł, że obecne konflikty społeczne rozwijają się i rozwiązują niekoniecznie po linii racjonalnej, ale coraz częściej w ramach irracjonalnych ruchów masowych, które tkwią korzeniami w "wierze". Mówiąc po katolicku: na bazie ideologii pasterza i trzody. Z pewnością samoświadomość Jana Pawła II nie da się dostatecznie wytłumaczyć przez fenomen Chomeiniego. Ale z zawartą w tym ideologią pasterza może być zgoła inaczej.

Papież wie, że odrodzenie wiary, przyświecające tym wojowniczym, jeszcze nie wskazuje na europejską wersję irańskiej maligny Chomeiniego, jako że nie znajduje oparcia w realiach tak zwanego chrześcijańskiego Zachodu. Watykan musiał z tego wyciągnąć wnioski. Jan Paweł II oskarża więc islamski fundamentalizm (PPN 83), o własnym przezornie nie wspominając.

Wojtyła roztropnie odciął się od wszelkiej wojowniczości i Kościołowi swemu przypisał "ubogie środki ducha". Ta nauka i związana z nią praktyka, choćby przy pobieżnym spojrzeniu na historię Kościoła i papiestwa, nie są dla nich typowe. Obecnie jednak Papież musi tak przemawiać: o władzy, tym bardziej zaś o nacisku z zewnątrz, lepiej zamilczeć.

Teraz natomiast Wojtyła ośmiela się twierdzić, iż jego "Kościół nigdy nie przeczył, że także i człowiek niewierzący może być uczciwy i szlachetny" (PPN 142). Zdanie to jest policzkiem dla milionów, które ten właśnie Kościół przez całe stulecia krwawo prześladował wyłącznie za to, że inaczej myśleli. Kiedy Jan Paweł II stwierdza, że "człowiek nie może być przymuszany do przyjmowania prawdy" (PPN 143), jest to wprawdzie merytorycznie słuszne, ale historycznie fałszywe. Zbyt wiele ofiar ciąży na tym Kościele. Papież ani jednym słowem nie uczcił ich w swojej książce. On ma ważniejsze sprawy na głowie.

W obliczu politycznych przedsięwzięć i praktyk tego Papieża ryzykownie brzmi zapewnienie Wojtyły o "królestwie nie z tego świata". Otóż jest mu obcy punkt widzenia pobożności jako takiej, prześciganej przez świecką rzeczywistość. Mimo że poglądy Jana Pawła II w wielu punktach pokrywają się z poglądami zmarłego tradycjonalisty Marcela Lefebvre'a (zaraz do tego dojdę), jednakże w przeciwieństwie do tego arcybiskupa Papież nie uważa, jakoby należało jeszcze dzisiaj "wprowadzić cywilne ustawodawstwo zgodne z prawami Kościoła i forsować powoływanie katolickich reprezentantów, zdecydowanych doprowadzić społeczeństwo do oficjalnego uznania Królestwa Pana Naszego".

Papież czerpie z innych źródeł. Ukazywany raz po raz wizerunek

wojowniczego polityka na krześle Piotrowym nie całkiem odpowiada rzeczywistości. I nie da się jeszcze wyciągnąć dalej idących wniosków z podobieństw, jakie łączą Chomeiniego i Wojtyłę, dwóch przywódców religijnych, entuzjastycznie witanych z towarzyszeniem najrozmaitszych objawów posłuszeństwa.

Nawet i ta zbieżność, jaką można precyzyjnie wymierzyć pomiędzy Wojtyłą a Lefebvrem, nie wystarcza dla ostatecznej oceny obecnego pontyfikatu. W każdym razie o wiele trudniej nakreślić osobiste rysy Wojtyły w tym zakresie niż, dajmy na to, w bezpośrednim porównaniu do Ajatollaha.

Przecież Jan Paweł II raz po raz deklarował się z uśmiechem jako rzecznik określonych nauk i postaw fundamentalistycznych. Co prawda przestrzegał również przed bezpłodnym konserwatyzmem, jako że "nie możemy żyć sławą naszej chrześcijańskiej przeszłości", jak powiedział w 1979 roku w Irlandii. W swoim pouczeniu o katechezie napisał, że konserwatyzm prowadzi do zastoju i letargu. A jego rozumienie Kościoła, któremu przewodzi, według jego własnych oświadczeń jest na wskroś nowoczesne:

"Tkwi to w istocie dobrze rozumianej tradycji, aby właściwie odczytywać również «znaki czasu», według których należy wydobywać «nowe i stare» z przebogatej skarbnicy objawienia."

Natychmiast jednak podkreślił Jan Paweł II, że właśnie ostatni Sobór "bardzo często trzymał się tego co «stare», tego co pochodzi z dziedzictwa ojców i w czym wyraża się wiara i nauka od tyłu stuleci już zjednoczonego Kościoła". Także o integralistach, którym (jak pisze Lefebvre) chodzi o zachowanie łacińskiego rytuału mszy świętej, w krytyce swojej wspominał zaledwie mimochodem.

Zarzucił im tylko nieposłuszeństwo względem liturgicznych ustaleń, czyli wobec przepisów, które przyniosły ze sobą "pewne zmiany, w których następstwie dzisiejsza liturgia mszy świętej różni się poniekąd od tej, którą znaliśmy przed Soborem." Zmiany te wydały się Papieżowi, jak wywodzi w swym piśmie z 1980 roku o eucharystii, niezbyt ważne: "Nie będziemy o nich mówić; należy przede wszystkim zatrzymać się na tym, co w święcie eucharystii istotne i niezmiennie." Tak oto Jan Paweł II w swoim przekonaniu wyczerpał problem. W rzeczywistości jednak temat dopiero tu zaczyna być fascynujący.

Otóż w tym samym piśmie, nieco dalej, wypowiedział się o innych zewnętrznościach. Tym razem poddaje nieproporcjonalnie ostrej krytyce wszelkie odstępstwa od norm, wprowadzane przez tak zwanych postępowców. Podobnie

ostrzych - i negujących moralnie - słów nigdy Wojtyła nie użył w stosunku do nieposłuszeństwa po stronie integralistów i fundamentalistów. Wprost przeciwnie. Tych Jan Paweł II, jakkolwiek w marginesowo pojawiającym się pytaniu o formę przyjmowania eucharystii, wziął formalnie w obronę, odnosząc się z dużą rezerwą do posoborowej formy tak zwanej komunii udzielanej do ręki.

Lefebvre wyrażał w roku 1972 podobne wątpliwości: "Cóż za brak poszanowania ze strony tych, którzy mogą z cząstkami eucharystii na dłoniach wracać na swoje miejsce, nie oczyściwszy sobie ze czcią dłoni... Cząstki te pozostają w dłoniach wiernych: oznacza to bluźniercze sponiewieranie obecności Pana naszego."

Jeśli papież Wojtyła przeważa tę kwestię na korzyść drobnej mniejszości, to jego sprawa. Tym ciężiej jednak waży na tym tle jego rygorystyczne wystąpienie przeciw odstępcom z lewej, skoro nie chce przyznać, że wiara usprawiedliwia ich zachowanie.

Wręcz przeciwnie: uważani są (jak w papieskim przemówieniu z 1979 roku do biskupów francuskich) za zagrożenie dla jedności Kościoła: "Niebezpieczeństwo polega na tym, że usiłują oni stosownie do aktualnego «stopnia rozwoju» na rozmaite sposoby «przystosować» się do świata. Wiemy jednakże, jak radykalnie ten rodzaj życzeń różni się od nauki Chrystusa... Mimo to nie brakuje w Kościele ani «pionierów», ani «proroków» takiego «postępu» w nowym ujęciu..."

Nie bez powodu fundamentaliści, którzy na przedpolu ostatniego konklawe na głos - i poniekąd zwracając się przeciw osobie zmarłego papieża Pawła VI - domagali się "katolickiego" papieża, sygnalizowali swą zgodę na Wojtyłę. Jan Paweł II najwyraźniej ich satysfakcjonował.

Kto uważał, że Kościół się chwieje, kto z czystej obawy o zbawienie swej duszy usiłował sam przejąć kontrolę nad wynikłą sytuacją i ustalać, co jest "katolickie", a co nie jest: teraz już mógł odetchnąć.

Tu, w osobie papieża Wojtyły, przekroczono próg konserwatywnej nadziei. Mało kto z fundamentalistów liczył na tak dobrze funkcjonującego papieża. Nadzieje tej warstwy Jan Paweł II spełniał od pierwszych słów, jakie wypowiedział. Jego myślenie i działanie pozostało też odtąd absolutnie bezbłędne i konsekwentne: przynajmniej z fundamentalistycznego punktu widzenia.

Amerykański jezuita Vincent O'Keefe wyraził satysfakcję z tego, jak Jan Paweł II sprawuje swój urząd, w słowach: "On, jedyny prawdziwy przywódca na tym świecie, formułuje wartości, dla których opłaca się żyć."

Również członkowie wpływowej organizacji Opus Dei, którzy przyczynili się do wyboru arcybiskupa krakowskiego na papieża, z Wojtyłą wyszli na swoje. Wielu z nich Papież przyjął na audyencji. Im nie jest potrzebna własna książka, reklamowana jako "prywatna audyencja". Wiedzą, co w niej widnieje. Ich założyciel, hiszpański kleryk J. Escriva de Balaguer y Albas, w ludziach swych upatrywał tych, którzy są "urodzeni na przywódców", zdecydowanych, prowadzących "męską krucjatę", która "ukróci dzikie knowania tych, co wierzą, że człowiek jest bestią", wiernych apostołów, którym widnieć ma przed oczyma trójca: "święte zuchwalstwo, święta nieustępliwość i święty przymus". Jest to po męsku patriarchalne. Wprowadza właściwego ducha epoki. Jakkolwiek przebrzmiałej już epoki.

"Nowe ruchy są skierowane przede wszystkim ku odnowie człowieka. Człowiek jest pierwszym podmiotem wszystkich przemian społecznych i historycznych, ale żeby mógł nim być, musi sam się odnowić w Chrystusie, w Duchu Świętym. Ten kierunek rokuje wiele dla przyszłości Kościoła" (PPN 130).

Jan Paweł II nie odciął się od niektórych katolików i od ich nieludzkich doktryn. Na odwrót: nie dość, że Escriva de Balaguer jest przez Wojtyłę raz po raz cytowany z uznaniem. Papież ten dokonał też beatyfikacji założyciela Opus Dei, człowieka, którego "rewolucyjne" podług jego trzódki osiągnięcia myślowe sięgały szczytu w tego rodzaju zdaniach: "Małżeństwo jest dla większości armii Chrystusowej, ale nie dla sztabu jej dowódców." Męskie, patriarchalne, w duchu epoki, zdyscyplinowane, elitarne.

Kto wie, jak działa na proste katolickie umysły eksponowana w mediach świetność beatyfikacji i kanonizacji, jak bardzo wyraża się w kanonizacjach określona mentalność i pewien duch epoki, jak dalece określa je (kościelna) polityka, ten może ocenić, ile Jan Paweł II tu osiągnął; i nie tylko tutaj.

Ani jedna książka nie może konkurować z tą praktyką. Kazania tylko uczą, gesty przekonują. Nadzieje zaś stają się uchwytnie nie w słowach, tylko w czynach. Powinniśmy tego Papieża łapać nie tylko za słowa, ale za czyny.

Najwidoczniej jednak Opus Dei wspiera urząd i wiarę Wojtyły, jakkolwiek jego członkowie są, jak stwierdza Yvon le Vaillant, "stający na baczność przed swymi przełożonymi, ale nadzwyczaj protekcyjnalni wobec innych, bojownicy Boga, sprawni i bezosobowi, skrajnie zdyscyplinowani, nietolerancyjni i inkwizytorscy..." Czy Papież nam kiedykolwiek wyjaśnił, dlaczego wiąże swe nadzieje z takimi bojownikami? Mówi o zachodzącej po Soborze "odnowie jakościowej", o tym, że

"budzą się i rosą ruchy religijne" (PPN 129). Czy zakłada, że z tą samozwańczą elitą można przekroczyć choć jeden próg nadziei? Jeżeli w to wierzy, musi to powiedzieć dokładniej - w następnej książce? - i spodziewać się, że znajdzie posłuch, nawet jeśli międzynarodowe środki przekazu "być może zdeformują" (PPN 132) jego prawdę.

Także i Lefebvre - jako ten, który w przeciwieństwie do tak zwanych postępowców Kościoła, zajadłe przez siebie zwalczanych, dawał się we znaki nie tyle z nieposłuszeństwa, ile z posłuszeństwa - radośnie powitał nowego papieża. Wynikało to chyba nie tylko stąd, że Wojtyła, jak i on sam, należy do tego pokolenia biskupów, które wywodzi się z czasów autorytarnego Piusa XII.

Wprawdzie często się o tym zapomina, ale papież Pacelli mianował Wojtyłę sufraganiem jeszcze w roku swej śmierci. Jego dalszy zaś awans wiązał się z papieżem Pawłem VI, który w 1963 roku wyniósł go do godności arcybiskupa Krakowa, a w 1967 kardynała, podczas gdy pontyfikat papieża Jana XXIII prawie niczym nie zaznaczył się w tej karierze. Nadzieje Piusa XII były co prawda lęk budzące. Wiara tego papieża, jego pojmowanie Kościoła i obraz człowieka nie miały żadnej przyszłości, chyba żeby rozstrzygali o niej wyłącznie fundamentaliści.

Arcybiskup Lefebvre mógł się też powoływać na inne powody swojej sympatii do Wojtyły. On sam pozostał w niejedynej względnie bardziej posłuszny prawdziwie rzymskiej tradycji niż niektórzy z jej współczesnych przedstawiciele, tych co zapewne gwoli Soborowi zafundowali sobie troszkę liberalizmu: przynajmniej na początku i na pokaz.

Lefebvre obstawał, jak typowy fundamentalista, przy ważnym od stuleci modelu Kościoła wszechogarniającego. Równało się to koncepcji grupy surowo zdyscyplinowanej od wewnątrz i na zewnątrz, zawsze spoglądającej z góry i z trochę złośliwą satysfakcją na wszystkich innych, bredzących o pluralizmie i tolerancji. Wyznawał pogląd, że wszystko albo nic, albo-albo, oddać się bez reszty albo postać na zewnątrz. I radość mu sprawiło wyrażające podobną postawę hasło wyborcze biskupa i papieża Wojtyły: Totus Tuus, "cały Twój", które Jan Paweł II (o czym później) osobiście nam skomentował (PPN 157 i nast.).

Jan Paweł II już w 1978 roku mówił o tym, że jest "jeszcze i poza Soborem w całej rozciągłości zobowiązany do wierności urzędowi, któryśmy objęli", co da się przeprowadzić tylko, "jeżeli przechowamy nie uszczuplony skarb wiary". Wyrażał w tym nie co innego, lecz obiegowe, szkolne opinie określonej, i to bardzo wąsko ujętej tradycji kościelnej. Jeszcze i poza Soborem? To dość wyraźnie powiedziane.



Tradycja mówi we wzajemnych cytacjach swych traktatów, że instytucji Kościoła powierzone jest określone dobro wiary, depositum fidei, które ma zachowywać i przekazywać w nienaruszonej postaci. Nie wystarczy jednak, ażeby Kościół zabezpieczał obiektywną treść przenajświętszej doktryny przeciwko nowej wiedzy i reinterpretacji. Obowiązany jest również dbać o chętnie przyjmowanie tej tradycji przez wszystkich ludzi na świecie. Toteż uświęconym zadaniem Kościoła jest działalność misyjna. Nie wolno o tym zapominać. Wojtyła bardzo często mówi o misjach (np. PPN 92-99), choć pod złagodzoną na pozór nazwą "ewangelizacji".

Jan Paweł II widzi wręcz "wymiar misyjny modlitwy Kościoła i Papieża" (PPN 39). Gdyż "Kościół ewangelizuje, Kościół głosi Chrystusa, który jest drogą, prawdą i życiem, Chrystusa, który jest jedynym Pośrednikiem pomiędzy Bogiem a ludźmi. I pomimo wszystkich ludzkich słabości Kościół jest w tym przepowiadaniu niestrudzony. Wielka fala misyjna, która podniosła się w ubiegłym stuleciu, skierowała się na wszystkie kontynenty, a w szczególności na kontynent afrykański..." (PPN 95). "Może być, że kiedyś okażą się prawdziwe słowa kardynała Hyacinthe Thiandum, który widział możliwość ewangelizacji starego świata przez czarnych i kolorowych misjonarzy" (PPN 96).

Właśnie wtedy nie należałoby przeoczyć nieograniczonego obowiązku "misji", kiedy Papież w swej książce uderzająco często mówi o dialogu, pojednaniu, wolności człowieka. Doktryna Jana Pawła II, kiedy jej się dokładnie przyjrzeć, nie jest ani trochę gotowa do rezygnacji ze swoich zadań misjonarskich. Tego progę nigdy nie przekracza. Nawet kiedy zasłania się rzekomą potrzebą, domniemanym zapotrzebowaniem: "Istnieje więc dzisiaj wyraźne zapotrzebowanie na nową ewangelizację. Jest zapotrzebowanie na Ewangelię pielgrzymującą wraz z człowiekiem, pielgrzymującą wraz z młodym pokoleniem. Czy to zapotrzebowanie nie stanowi jakiegoś symptomu zbliżającego się roku 2000?" (PPN 99).

Jakoby zgodna z Boską wolą hierarchia instytucji, rekrutująca się z najściślejzego kręgu przekonanych i właściwie nie znająca wyjątków, przypisuje sobie umiejętność ujmowania nauki, uznanej niegdyś za prawdziwą i bezbłędną, w poręczne formuły, aby uniknąć jakichkolwiek nieostrości albo dwuznaczności. O tym Wojtyła też nie dopuszcza rozmowy. Nie podcina gałęzi, na której siedzi tak samo jak wielu jego współbraci w biskupstwie. Człowiekowi pozostaje wyłącznie posłuszeństwo wobec wskazań papieskich i wobec tych biskupów, którzy ani na jotę nie odstępują od następcy Piotra. Wojtyła zgadza się tu do najdrobniejszego szczegółu

argumentacji z koncepcją tradycjonalistów i fundamentalistów. Jan Paweł II wie, za kogo mówi i czyje interesy musi reprezentować.

Wobec takiej presji posłuszeństwa dotkliwy musi być nawet cień demokratyzacji, "jeśli nie dla całego Kościoła, który Bóg zawsze ochroni, to dla milionów bezradnych i zatrutych dusz, którym lekarze nie przyjdą z pomocą", jako rzekł w 1968 roku fundamentalista Lefebvre. Pomoc życiowa dla bezradnych ludzi i lekarstwo dla zatrutych dusz? Taki właśnie jest zdeklarowany zamiar Papieża, chcącego przekroczyć próg nadziei. Ale jakiej konkretnie nadziei, co za lekarstwo, jaka pomoc dla życia ludzi? Czy ta, której im potrzeba? Czy po raz kolejny ta, którą znaleźć można w skarbczyku fundamentalistycznego myślenia?

Niemalże jałowe jest znowu się tym zajmować i łapać Papieża za słowo. Już jako krakowski arcybiskup Wojtyła napisał do francuskiego pisarza Michela de Saint-Pierre, przewodniczącego największemu stowarzyszeniu tradycjonalistów Credo, gratulując mu jego książki *Les Fumees de Satan*, ostro piętnującej nadużycia reformatorów. Przypominam: było to na Boże Narodzenie 1977, czyli niecały rok przed wyborem na papieża.

Czy zrobił kiedykolwiek coś podobnego dla drugiej strony? Czy odważył się przekroczyć próg nadziei dla większości?

Także i rozmowa między Wojtyłą a Lefebvrem przebiegła jakoby w klimacie - jeśli porównać to z czasami Pawła VI - odprężenia i porozumienia. Widać nie zmała jej nawet sprawa niedozwolonych święceń kapłańskich, których na krótko przedtem dokonywał zdjęty z urzędu tradycjonalista. Nic nie wiadomo o krytycznej reakcji papieża Wojtyły na ten świeży przypadek skrajnego nieposłuszeństwa w stosunku do Watykanu: ani odcięcia się, ani przestrogi, ani publicznego upomnienia. Lefebvre natomiast wypowiedział się ufnie, że ma "zaufanie do nowego papieża", ba, przekonany jest, że wszystko się niebawem obróci na jego własną korzyść, jako że Kościół "z piętrzących się ruin" teraźniejszości odrodzi się ku zbawieniu dusz: w bardziej wierzącą przyszłość.

Jakkolwiek i ten tradycjonalista po śmierci nie pojawia się już w nagłówkach gazet, jego mentalność coraz bardziej szerzy się pod współczesną nazwą jako "fundamentalizm". A Papież się temu przygląda. Widocznie spodziewa się z tej strony, nie bacząc na odwrotne zapewnienia werbalne, poparcia dla swego urzędu.

Integralizm, tradycjonalizm, fundamentalizm w naszych oczach zmieniają swoje publiczne nazwy. Ich postawa duchowa się nie zmienia. Cechuje ją zasadniczy

sprzeciw wobec Drugiego Soboru Watykańskiego z przyległościami. Raz po raz potwierdza to swym przykładem arcybiskup Lefebvre, który wytyczył drogę dla wielu i do dzisiaj nie znalazł podobnie wpływowego następcy.

Kto sądzi, że tego człowieka i jego myślenie uznać można za przestarzałe, łudzi się co do teraźniejszości i przyszłości Kościoła. Wiele objawów wskazuje, że w idących dziesięcioleciach Kościół będzie się adaptował do coraz bardziej reakcyjnego ducha czasów i stanie się jeszcze bardziej fundamentalistyczny, niż możemy sobie dzisiaj wyobrazić.

Ten proces, przez niektórych określany niezbyt humanitarnie jako uwiad starczy, doprowadzi do tego, że ostatni ze skłonnych do reformy porzucą Kościół i pozostanie w nim, poza obojętną jak zawsze większością trzody, już tylko "święta pozostałość". Nawet i ta będzie angażować się fundamentalistycznie, wykorzystując szansę i działając w dziedzinie nauki kościelnej, polityki kościelnej i świeckiej. To nie karykatura, nie tylko pesymistyczna prognoza i nie fantazja. Po prostu nie dajmy się zaskoczyć.

Papież tak konserwatywny jak Jan Paweł II zaciera swoje własne granice, dzielące go od fundamentalizmu. Jego przeczące temu oświadczenia sprawiają wrażenie zbyt obowiązkowe. Najprawdopodobniej zalicza się on do tych sprawców niefortunnego rozwoju ku przyszłości, napiętnowanej przez fundamentalizm, którzy już obecnie ponoszą ciężką winę za dzisiejszy i jutrzejszy stan katolickiego Kościoła.

Czar osobisty ludzi: także i uśmiechnięty Papież, ubierający swe jakoby niewzruszone i bezsporne prawdy w sympatyczne frazesy, może być zaprzysięgłym fundamentalista. Właśnie on. Pogrzebać Sobór? Oznacza to nie tylko pochówek tamtego uduchowienia, uśmiercenie załączków reformy, pogrzebanie nadziei. Odwrotną stroną tego jest spotęgowanie autorytetu nauczycielskiego jednostki, czyli Papieża, kosztem wspólnoty i wspólnego szukania prawdy.

Lefebvre całkiem konsekwentnie zaproponował, aby "po prostu odwołać się do pism Piusa XII i zwołać sobór, nieskończenie górujący nad tym, który mieliśmy", jako że ów papież "z całą swoją mądrością, wiedzą teologiczną i całą swoją świętością rozwiązał" wszystkie problemy dzisiejszych czasów i świata. Pius XII jako ideał! Najprawdziwsza prawda, najbardziej nieskalana doktryna, osobisty wzór świętości. A cóż by?

I tenże arcybiskup stwierdził wyraźnie, że Drugi Sobór Watykański był "Soborem pasterskim, nie dogmatycznym" i wobec tego niczym więcej niż

"kazaniem, które nie może rościć sobie prawa do nieomyślności". Z tego założenia wyciągnął wniosek, że wierni tradycji "mają prawo oceniać Sobór ostrożnie i z rezerwą". Ostrożność, rezerwa? Oznacza to nie co innego, tylko zakamuflowane odrzucenie. Tak samo uważa stutysięczna rzesza angażujących się. W sercu Kościoła papieża Wojtyły.

Prostą konsekwencją było, że grupa Lefebvre'a odseparowała się od tego Soboru - a tym samym od współczesnego Kościoła tej hierarchii, która przejściowo była doń przekonana - i wycofała się do dobrowolnego getta, z którego może już nie będzie ucieczki.

Poszły za nią setki tysięcy podobnie myślących. Kto zapyta jakiegoś biskupa w Niemczech, z miejsca usłyszy o kłopotach, jakie wszędzie sprawiają donośnie gardłujące grupy fundamentalistyczne. Wprawdzie o skrytym fundamentalizmie Papieża nie ośmieli się wspomnieć żaden z biskupów. Raz po raz jednak daje się wyczuć powiew niebezpieczeństwa, jaki po cichu i niepostrzeżenie dolatuje od strony Wojtyły.

Proszę się bacznie rozejrzeć! Podczas gdy kościelne wspólnoty drepcą w zwykłym, niedzielnym kieracie, naprawdę zaangażowani ludzie i grupy trudzą się teologicznie i politycznie. Zajadłe i (a jakże!) w agresywnym stylu terminologii wojskowej, takiej jak "manewry myłące" albo "podminowywać" - w natarciu na "całą prasę komunistyczną, protestancką i niby to postępową" - propaguje się wiarę sprzed Soboru. Tylko na pozór mierzy się w to, co istotne. W rzeczywistości, przynajmniej na początek, chodzi o sprawy zewnętrzne.

Na przykład obstawanie przy rytuale mszy, ustalonym przez kanonizowanego papieża Piusa V (1566-1572), temat omawiany, jak żaden inny, w całej apologetycznej rozciągłości, ma być decydujący dla jedynie prawdziwej wiary, jak twierdzi ta odmiana kościelnych integralistów.

Konserwatywna potrzeba ciągłości, tożsamości i pewności ulega przez to wynaturzeniu, a dopuszcza się skupioną na zewnętrznosci i ślepą na rzeczywistość kościelną fasadowość, czy nawet wyrażnie się ją postuluje. To nieposłuszeństwo zwraca się również przeciw "heretyzującemu" urzędowi nauczycielskiemu, który, wprawdzie z coraz to mniejszym przekonaniem, przyznaje się do Drugiego Soboru Watykańskiego.

Dla tych grup tradycyjistów, w najgłębszej istocie swej ahistorycznych, liczy się już tylko bezwarunkowe - oparte na bardzo apodyktycznej ocenie - trzymanie

się własnych, niezmiennych hierarchii norm i wartości. Nie ma mowy o duchu czasów. Do tego odwołuje się - zwłaszcza papież Wojtyła - tylko wówczas, gdy chodzi o zjawiska współczesne. Celowo przemilcza się lub zacierają fakt, że w dogmatach i moralności Kościoła i papieżstwa wyraziło się nie co innego, lecz duch dawniejszych czasów. Nie ma powodu do nadziei. Nie ma podstaw do ufności.

Kto się ośmieli odejść od tego, co osiągnęły wcześniejsze epoki w historii Kościoła, piętnowany jest w mowie inkwizycji jako niekatolik i traktowany odtąd, jakby nie istniał.

Przyjęty na Soborze Schemat o wolności wyznania, jak twierdzi Lefebvre, to po prostu "jabłko, które spodobało się Ewie". Nie przypadkiem ten perfidny temat "wzbudził tak wielkie zainteresowanie" jedynie u protestantów i komunistów.

Postawa fundamentalistyczna nie sprawia wrażenia nazbyt życzliwej człowiekowi. Nie dziwota więc, że do tej reakcji przyznają się na razie tylko małe grupki, uważające się jednakowoż za "świętą pozostałość". Znaczna większość wierzących w Kościół podchodzi do tego z rezerwą, choć raczej nieświadomie, bez zainteresowania. Widocznie jeszcze nie da się jej przekonać do tak niehumanitarnej formy konserwatyzmu. Ale to może się szybko zmienić, jeśli wiatr się jeszcze bardziej obróci.

W jednym rozstrzygającym punkcie Jan Paweł II niewątpliwie różni się od zdecydowanie fundamentalistycznych sekt i od ich przywódców. Sprawia to, że jego konserwatywna postawa na pierwszy rzut oka wydaje się niektórym pociągająca. Jego tradycjonalizm nie wykazuje rysów jawnie nieludzkich. Wygląda na sympatycznego i otwartego na świat. Raz po raz Wojtyła podkreśla, że jego urząd i w ogóle Kościół są życzliwe człowiekowi. Na przykład swoją pierwszą encyklikę jeszcze dzisiaj określa jako "wielki hymn radości na cześć faktu, że człowiek został odkupiony przez Chrystusa... jego dusza i ciało" (PPN 54). Albowiem "nasza wiara jest głęboko antropologiczna..." (PPN 46). A "Papież, który jest świadkiem Chrystusa i szafarzem Dobrej Nowiny, jest przez to samo człowiekiem radości i człowiekiem nadziei, człowiekiem tej podstawowej afirmacji wartości istnienia, wartości stworzenia i nadziei życia wiecznego" (PPN 37-38).

Karol Wojtyła nastawiony jest wyraźnie na optymizm wiary, zwłaszcza gdy oddaje się swym marzeniom o następnym pokoleniu: "gdziekolwiek Papież się pojawi, wszędzie szuka młodzieży i wszędzie jest przez tę młodzież poszukiwany" (PPN 103). I "to wcale nie jest tak, że Papież prowadzi młodych z jednego krańca

globu ziemskiego na drugi. To oni go prowadzą" (PPN 104). I "podsumowując, pragnę powiedzieć, że młodzi szukają Boga, szukają ostatecznych odpowiedzi... Trzeba także, ażeby młodzi rozpoznali Kościół..." (PPN 104). I "okazuje się, że te nowe pokolenia przyjmują z entuzjazmem to, co ich ojcowie, zdawało się, już odrzucili" (PPN 96).

Jan Paweł II zaparłby się swego pochodzenia, jak i swojego kreda w dziedzinie polityki Kościoła, gdyby i w polityce nie ogarnął swym optymizmem Wschodu: "Wyczuwa się jakieś szczególne zapotrzebowanie we współczesnym świecie na Ewangelię, w bliskiej już perspektywie roku 2000... jak na przykład kraje postkomunistyczne, w których prawda Ewangelii jest szczególnie oczekiwana. A jeśli są to kraje o długiej przeszłości chrześcijańskiej, wchodzi w grę pewnego rodzaju «reewangelizacja»" (PPN 97).

Publicznie rzadko zdarza się Wojtyła podzielać pryncypialny pesymizm niektórych tradycjonalistów. Nie może zalecać wiernym powrotu do zakrystii, nawet na tle doświadczeń naszego stulecia: "Wybuch zaangażowania się laików w służbę dla zbawienia innych ludzi zadaje kłam wszystkim pesymistom. Jakże wielu młodych jest gotowych przystąpić do tej służby! Nikt biorący to pod uwagę nie powinien twierdzić, jakoby Ewangelia straciła na atrakcyjności!" Tak powiedział w 1980 roku w Monachium.

Ten Papież doskonale umie przedstawiać swój konserwatyzm w tak miłej formie, że nikt mu się w oczy nie sprzeciwi. Wydaje się też, że Jan Paweł II w ogóle nie bierze już poważnie pod uwagę sprzeciwu wobec swej działalności. Widocznie uważa krytyków za ludzi złej woli albo za dziwadła, tak iż z jednymi ani z drugimi nie warto dyskutować, najzwyczajniejsze zaś "repliki prawdziwej wiary" prędko się z nimi uporać.

"Tu znów wielka pokusa, ażeby słowami Ludwiga Feuerbacha dokonać klasycznej redukcji tego, co Boskie, do tego, co człowiecze" (PPN 48). I: "człowiek nie jest zdolny znieść nadmiaru Tajemnicy" (PPN 49). I: "Gdyby nie był Tajemnicą, nie potrzeba by było Objawienia. Ściślej mówiąc, samo-objawienia się Boga" (PPN 47). Lecz nawet i wykładnia tego samoobjawienia, i to nieomylna, jest wyłącznie sprawą Kościoła, sprawą papieża. Uznanie tej prawdy za błędne koło w rozumowaniu jest "racjonalistyczne" i niedopuszczalne. Gdy papieże argumentują, nie warto dyskutować z tego rodzaju anachronicznymi formami myślenia.

Tym chętniej zalicza Wojtyła, jakkolwiek nieproszony, wszystkich "ludzi

dobrej woli" do swoich słuchaczy: "Świadczy to o instynktownym uświadamianiu sobie dobroci Bożej i związku Kościoła z posłannictwem Bożym - oświadczył w 1980 roku w Fuldzie - gdy nawet tak zwane grupy bezbożne lub niereligijne poszukują u nas, w Kościele, doświadczenia dobroci i życzliwości Bożej."

Z pewnością ryzykowna to wypowiedź, niczym przez Wojtyłę nie poparta. Ale i w książce nie zależy mu na tym, aby cokolwiek ściśle udowodnić. Wystarcza mu przekonanie o zapalającej mocy posłannictwa Chrystusowego. Nie kryje się z tym, że on i jego Kościół miłują wszystkich ludzi dobrej woli: i że ludzie odpowiadają na to wzajemnością. Jego bezsporny sukces na drogach świata, o którym sam mówił, początkowo temu nie zaprzeczał. Częstokroć zastanowienie się przychodziło dopiero znacznie później.

Fakt, iż Wojtyła w książce swej niezmordowanie przytakuje Drugiemu Soborowi Watykańskiemu (PPN 123-128), na pierwszy rzut oka wzmaga pozytywne wrażenie u niektórych słuchaczy. Jan Paweł II jest jak najdalszy od tego, aby dystansować się od Soboru i jego ducha lub faworyzować Kościół przedsoborowy. Na to wciąż jeszcze nie może sobie pozwolić.

Jego konserwatyzm żywi się duchowym doświadczeniem Soboru. Wskazuje na to mnóstwo wypowiedzi. Absurdem byłoby posądzanie Jana Pawła II o jasne okazywanie wrogości wobec Soboru. Pogrzeb Soboru Watykańskiego odbywa się cichaczem. Wojtyła to nie jakiś tam hałaśliwy Lefebvre, mimo szokujących zgodności w oświadczeniach ich obydwu, na które obserwator się często natyka.

Ale czy Papież nie interpretuje wstecz doświadczeń, jakie z tego Soboru wyniósł Kościół i on sam, wyłącznie we własnym interesie? To całkiem inne pytanie. Wystarczy może wskazać na tę interpretację Soboru, którą Wojtyła lubi wygłaszać: wydobyć starego dziedzictwa z bogatej skarbnicy Objawienia.

Tak czy owak Wojtyła stwierdza związek pomiędzy tą spuścizną a objaśnianiem znaków dnia dzisiejszego. Bo tylko nader powierzchowna obserwacja przypisuje żywe interesowanie się teraźniejszością i przyszłością wyłącznie tak zwanej postępowości, sądząc, że człowiek naznaczony konserwatyzmem musi być obrócony w przeszłość.

Jest na odwrót. Konserwatyzm zawsze był wyrazem świadomości poprzedzającej przełom epok. Konserwatysta nie mniej niż reformator pyta o podstawy i zasady współczesności. Stara się nawet skonstruować logiczną teorię współczesności, na której opiera teorię swego działania.

Od postępowców różni go nie tyle wyraźna skłonność do tego, aby żyć w świadomości przełomu i podejmować odpowiednie działania, ile interpretacja tego przełomu epok. Uważa go za odszczepieństwo od praporządku, za chorobę systemu kulturowego. Chorymi wydają mu się prawie wszystkie współczesne zjawiska społeczne, zwłaszcza rodzina, będąca załączkiem społeczeństwa i państwa oraz kultury. Zbawienia zaś szuka w roztrząsaniu starej i ugruntowanej prawdy, która zawsze powinna była okazać się sposobem na powstrzymanie odszczepieństwa, a nawet obrócić je w zmianę na lepsze.

Przecież współczesny "świat nie jest zdolny uszczęśliwić człowieka. Nie jest zdolny ocalić go od zła, od wszystkich jego odmian i postaci: chorób, epidemii, kataklizmów, katastrof itp. Ten cały świat ze swoim bogactwem i ze swoim ograniczeniem sam potrzebuje zbawienia i ocalenia" (PPN 59). I znów Wojtyła znalazł się na swoim terenie. W swojej marginesowej wzmiance nawet nie wspomniął ogromnej pomocy, jakiej dostarcza świat - a nie Kościół! - dla ostatecznego przewyciężenia chorób. Ani słówkiem się nie zajął o dokonaniach ludzi, jakkolwiek błahe mogą się one wydawać z jego perspektywy zbawienia, lecz zadziwiająco szybko umyka w ten zbawienny środek, z urzędu należący do jego wyłącznej kompetencji, jakim jest "zbawienie". Tu czuje się jak w domu, ponieważ świat, zaplątany w "umysłowość poświeceniową", absolutnie nie jest gotów "godzić się z rzeczywistością grzechu, w szczególności z grzechem pierworodnym" (PPN 59).

Konserwatysta doświadczył załamywania się przekazanych mu pewności. Lecz nie reaguje na to bolesne spostrzeżenie akceptacją wszelkich wynikających stąd nowych szans. Kryzysy swojej epoki tłumaczy sobie jako nieuniknione zło, które należy przetrzymać, spoza niego bowiem znowu wyłonią się ugruntowana tradycja i jej pewniki.

W konserwatywnym pojęciu, które niezmiernie głosi Karol Wojtyła, tak czy owak znów górę weźmie wieczna natura ludzka, we wszystkich czasach wykazująca się poczuciem stałości i pewności. Na razie zaś trzeba zajmować teren rezerwatu, nieugięcie potwierdzać własne wykładnie, być cierpliwym, tłumić pojawiające się lęki przed inwazją z zewnątrz i stawiać na prawo powrotu, po prostu na odrodzenie się, o którym roili nie tylko polscy mesjaniści. Oto baza konserwatywnych nadziei.

Być konserwatystą znaczy: robić rzeczy, które warto zachować. W jakimś niezbyt odległym dniu ludzkość, a co najmniej najlepsi jej przedstawiciele, przypomni



sobie o dobrych siłach wytrwałości. Toteż wyrzec się zdobytych wartości - czy choćby reformować ich lub rewolucjonizować - nie może zwłaszcza ten, kto wierzy w ich ponadczasowość. Gdyby przeprowadzał reformy, naruszające istotę tradycji, zgrzeszyłby przeciw interesom ludzkości.

Z tego punktu widzenia antyreformatorska postawa Wojtyły jest konsekwentna.

Nieliczne innowacje, jakie wprowadził Jan Paweł II przy aplauzie wielu środków przekazu, wszystkie razem nie dotyczą istoty konserwatyzmu: ani swobodniejszy ceremoniał na dworze papieskim, ani sportowe zainteresowania Wojtyły, ani podwyżka płac urzędników watykańskich. Kogo zatem cieszy "papież w pizamie", kto chwali budowę basenu pływackiego w Castelgandolfo lub uważa za rewolucyjny ślub, udzielony komuś przez Papieża, ten utknął na progu interpretacji. Takie innowacje nic nie znaczą.

Głębiej sięgających w tym pontyfikacie nie było. Zarówno nowy Kodeks Prawa Kanonicznego (CIC) wprowadzony w życie w 1983 roku, jak i późniejszy o dziesięć lat światowy katechizm papieża Wojtyły, pozostały w każdym szczególe wierne tradycyjnemu widzeniu świata. Nie bez powodu Papież tak szczególnie głośno przechwala się swoim katechizmem (PPN 127 i nast.).

Bo też innowacji trudno się było spodziewać. Jan Paweł II nie uważa ich ani za potrzebne, ani też za stosowne. Inne niż konserwatywne objaśnienia znaków czasu zostają potępione: "Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności persona non grata" (PPN 60).

W dodatku, jak powiedział Papież w 1980 roku do biskupów francuskich, potrzeba "naprawdę uniwersalnego widzenia Kościoła i świata, chciałbym wręcz powiedzieć, że «bezbłędnego»". A że taki bezbłędny widok ogólny dany jest urzędowi nauczycielskiemu Kościoła rzymskiego - rozumianemu, jak zawsze, monopolistycznie, wbrew dokonującej się faktycznie demonopolizacji - to jest dla Wojtyły oczywiste.

On, aby przekonania swe utwierdzić na całym świecie, nie stawia, jak jego poprzednicy, na państwa katolickie, lecz na wewnętrzną moc przekonań i siłę przebiccia prawdziwej - czyli papieskiej - wiary. W tych okolicznościach trafia też do wiernych podbudowane optymistyczną wiarą w moc dawnej symboliki wezwanie Jana Pawła II do ludzi, wygłoszone przy objęciu urzędu: "Nie bójcie się przyjąć Chrystusa i uznać jego władzy monarszej! Pomóżcie Papieżowi i wszystkim, którzy

chcą służyć Chrystusowi i mocą Chrystusa człowiekowi i całej ludzkości! Nie bójcie się! Otwórzcie, rozewrzyjcie na oścież bramy dla Chrystusa! Dla jego zbawczej potęgi otwierajcie granice państw, systemy gospodarcze i polityczne, rozległe obszary kultury, cywilizacji i postępu. Nie bójcie się! Chrystus wie, «co jest we wnętrzu człowieka»."

W książce swej powtarza tę wypowiedź tak często i dobitnie, aż trudno się oprzeć wrażeniu, że gwałtownie mu tego potrzeba. Nie przypadkiem też setki słów i zdań wyróżnione są w druku kursywą jako miejsca, które szczególnie podkreśla. Czasami na stronie znaleźć można niemalże więcej miejsc podkreślonych niż zwyczajnie wydrukowanych. Znak siły? Czy nadziei?

Jan Paweł II wyraźnie poczuwa się do tego, aby "mobilizować do zmagania się o zwycięstwo dobra w każdym wymiarze. To zmaganie się o zwycięstwo dobra w człowieku i w świecie rodzi właśnie potrzebę modlitwy" (PPN 38).

Nic dziwnego, że Papieżowi pomimo tak agresywnego doboru słów, albo właśnie dzięki niemu, wciąż jeszcze udaje się trafiać do dużo większej liczby ludzi, niż było to udziałem jego poprzednika Pawła VI. Ten wyraźnie lękliwy papież potrafił, jak żaden inny, nakładać swym wyzwoleńczym chęciom pęta ostrzegawczego zaklinania się na złego ducha epoki.

Wojtyła żyje w niewzruszonym przekonaniu prawdziwego konserwatysty, że wszelkie przeciwności epoki prędzej czy później wrócą się znów na dobre, a wiara jako taka jeszcze wykaże się zwycięską dynamiką w "zmaganiu się o dusze" (PPN 96), pod warunkiem, że w działaniu swym nie odstrychnie się od Ewangelii i od tradycji. Wojtyła żyje bardzo zadowolony w spokojnym poczuciu szerzącego się posiewu i misji. Opiera swą wiarę na jej podobno całkiem własnej sile przebicia i przekonywania: "chrześcijaństwo jest religią zbawienia" (PPN 67), "świat nie może być dla człowieka źródłem zbawienia" (PPN 68).

Nowa książka jest nadzwyczaj wymowna. Konserwatywna klientela będzie z niej czerpać nadzieję. Wierna publiczność została jeszcze raz obsłużona. Nieporównanie większa reszta ludzkości wciąż pozostaje głodna.

## VI

### IDEOLOGIA DOBREGO PASTERZA Z RZYMU

Skąd się bierze nadzieja nie tylko w Watykanie?

Kto by jeszcze nie wiedział: Rzym jest siedzibą namiestnika Chrystusa, którą wybrała mu Boska Opatrzność. Wojtyła mówił o tym już w swojej przemowie na objęcie urzędu: "Rzym to biskupia stolica Piotra. W toku stuleci coraz to inni biskupi następowali po nim na tej stolicy. Dzisiaj znowu wchodzi w posiadanie tej rzymskiej katedry Piotra nowy biskup, pełen lęku i wahania, świadom swej nieudolności. Jakże miałby się nie bać wobec wielkości tego powołania, wobec uniwersalnego posłannictwa tej rzymskiej stolicy biskupiej! Na katedrę Piotra tu w Rzymie wstępuje dzisiaj biskup, nie będący Rzymianinem, biskup, który pochodzi z Polski. Ale on również będzie odtąd Rzymianinem. Tak jest, Rzymianinem! Choćby dlatego, że jest synem narodu, którego dzieje od samego zarania i którego tysiącletnie tradycje ukształtowane są przez żywe, nieprzerwane, świadome i upragnione przywiązanie do siedziby świętego Piotra, narodu, który zawsze pozostawał wierny tej rzymskiej katedrze. Jakże niezbadany jest plan Opatrzności Boskiej!"

Ta prezentacja Polaka w Rzymie, który już w Polsce pragnął być Rzymianinem, wydaje się mocno naciągnięta historycznie. Osiedlić rybaka Piotra, "który miał dobrą wolę i gorące serce" (PPN 28), w Rzymie, i to w roli jego biskupa, a nawet pierwszego papieża, jako tego, który szukał następców, to jaskrawe rozminięcie się w kazaniu z rzeczywistością. Piotr nie był nigdy biskupem Rzymu. Co do tego krytyczna teologia i wiedza historyczna nie ma najmniejszych wątpliwości. Nawet jego pobyt i śmierć w Rzymie nie są udowodnione. Lista biskupów rzymskich w pierwszych dziesięcioleciach to czysta dowolność, wtórną zafałszowaną.

Czy wolno Karolowi Wojtyśle tylko dlatego, że jest papieżem, oznajmiać coś, czego nigdy jeszcze nie udowodniono? Co za oburzenie by się podniosło, gdyby jakiś krytyk głosił przeciw Kościołowi historyczną nieprawdę? Czy nie zaczęto by zewsząd wołać o dowody? Czy papieża taka dbałość nie obowiązuje? Papieża to wcale nie martwi. W książce swej operuje cytatami z wypowiedzi Piotra, jak gdyby nie były one sporne z biblijno-teologicznego punktu widzenia ani też podejrzane ze względu na inne wyznania chrześcijańskie (PPN 28 i nast.). Albo były profesor Wojtyła tego wszystkiego nie wie, albo świadomie sprzeniewierza się tej wiedzy, mówiąc do

swojej klienteli. Właśnie te ustępy jego książki, które dotyczą Piotra, są tak nienaukowe, aż włos się jeży: kazanie i tyle, wygłaszane przez pasterza do małej, bezkrytycznej cząstki swej trzody. Słowa i nie mniej legendarne czyny Piotra tworzą pstrą mieszaninę, przytaczane jako fakty nie budzące wątpliwości.

Również wypowiedzi na temat tysiącletniej jedności Polski i Rzymu nie splamiły się znajomością faktów.

Ostrożne zastrzeżenia, wyrażone w 1966 roku przez Polską Radę Ekumeniczną, jakby nie dotarły do świadomości byłego arcypasterza Krakowa: "Pragniemy zwrócić na to uwagę, że chrystianizacja Polski ciągnęła się przez stulecia i że jedność (kościelna, państwowa, narodowa) nie była bezsporna. Z tego stereotypu jedności wynika przecież inny stereotyp, wiążący narodowość polską z katolicyzmem, i to rzymskim katolicyzmem. Doskonale rozumiemy, że dla hierarchii rzymskokatolickiej tożsamość polskości i katolicyzmu może być tytułem do chwały. Ale czy właśnie tego nie należałoby zrewidować? Czy ten stereotyp oprze się analizie historycznej?"

Trochę bardziej realistycznie niż silnie nacechowana interesami kościelno-politycznymi interpretacja jednego, polskiego składnika, wypada u Jana Pawła II wykładnia drugiej strony, mianowicie miasta, będącego stolicą biskupią papieża: "Bardzo dobrze sobie uświadamiam - rzekł Wojtyła w mowie powitalnej do kleru rzymskiego - co znaczą ewangelizacja i duszpasterstwo w mieście, którego historyczne centrum obfituje w kościoły, do których już nikt nie chodzi, a równocześnie powstają nowe dzielnice i osiedla, dla których trzeba zabiegać, często walcząc o to, aby zaopatrzyć je w nowe kościoły, nowe parafie i inne podstawowe warunki głoszenia Ewangelii..."

Faktycznie święte miasto papieskie jest prawie całkowicie zsekularyzowane: liczba chodzących w niedzielę do kościoła jest znikomo mała, jak i liczba pochodzących z Rzymu nowych kapłanów. Papieże, biskupi Rzymu, jak dowodzą proste fakty, we własnym mieście mają stosunkowo niewielkie osiągnięcia w dziedzinie ewangelizacji. Jan Paweł II słusznie nad tym ubolewa. Nie jest to żaden tytuł do chwały.

Ażeby nie skłamać: Wojtyła też nie doprowadził w tym mieście do najmniejszej poprawy. Jego książka ze zrozumiałych przyczyn napomyka o tym ledwie na marginesie. Tu, gdzie przede wszystkim Wojtyła powinien był się sprawdzić, zanim ruszył w te liczne wycieczki po całym świecie, zawiódł. Wątpi to

podstawa do nadziei. Hic Rhodus, hic salta!

Wojtyła chciał coś gruntownie zmienić. Tylko że myślą w żadnym razie nie sięgał w przyszłość. Sięgał wstecz do tradycji, dawno już zdyskredytowanej, i posługiwał się starymi metodami, aby przeobrażony świat zaprzysiąc na swój Kościół. Gdyby jeszcze brakowało dowodu, jak mało przydatna jest utracona nadzieja, tu byśmy go znaleźli.

Ten Papież nawoływał swych księży za pomocą starych frazesów do nowych wysiłków i odrzucał wszelkie torujące drogę reformy jako rozwodnienie posłannictwa: "Tutejsi ludzie potrzebują nas, niezmiernie nas potrzebują, i to nie w roli księży pracujących dorywczo, jak urzędnicy na pół etatu. Jesteśmy potrzebni jako ci, którzy dają świadectwo i w drugich budzą potrzebę dawania świadectwa... Więc nie wyobrażamy sobie, że byłoby to służbą dla Ewangelii, gdybyśmy próbowali naszą charyzmę kapłańską «rozwodnić» w drodze przesadnego zajmowania się szerokim obszarem problemów doczesnych; gdybyśmy nasz styl życia i działania chcieli uczynić świeckim; gdybyśmy mieszały także zewnętrzne znaki naszego powołania kapłańskiego. Musimy zachować poczucie swego osobliwego powołania i osobliwość ta musi przejawiać się również w naszym stroju. Nie wstydzmy się go! Z pewnością żyjemy na świecie. Ale nie jesteśmy z tego świata!"

Te wypowiedzi, jakimi Wojtyła często się posługuje, nastawione na totalność powołania, czynią z księdza zawodowego dostojnika. Stawia mu się przed oczyma Ewangelię Jezusa; jest to ćwiczenie w obowiązku. Prościej mówiąc, Papież domaga się innego zaangażowania: pasterz musi bytowo i społecznie być związany z systemem Kościoła, uzależniony od niego i zainteresowany jego tworzeniem, rozbudową i zachowywaniem.

Już za pomocą stroju i celibatu, określonego przez Papieża w 1979 roku, w pierwszym roku jego rządów, jako "nauka apostołska", pasterz musi manifestować, że jest człowiekiem wyłączonym ze zwykłego sposobu życia trzody. Jan Paweł II wydaje się przekonany, że skuteczność tego typu dostojników zachowuje się dzięki przejawom zewnętrznym i z nimi upada.

W roku 1991 Wojtyła naucza, że sam Jezus "z radością przyjmował celibat". Z reguły żonatych apostołów ogromnie zadziwiłaby ta nieprawda. Ale dwa fakty, jeśli popatrzyć na Kościół katolicki za Jana Pawła II, nie podlegają dyskusji: Kościół musi oficjalnie zachować bezżenność swych pasterzy. I musi pogodzić się z tym, że w różnych częściach świata tylko znikoma mniejszość przestrzega jego nakazu.

Raz po raz ożywiająca się dyskusja o celibacie wydaje mi się w tych okolicznościach anachroniczna. Doprawdy są na ziemi ważniejsze problemy. Dyskusja o kapłańskiej bezżenności jest beznadziejna. Prowadzący wywiad z Wojtyłą nawet o to nie spytał, a Papież nie potrzebował się powtarzać.

W Irlandii, jak przystało na konserwatystę, Papież utożsamiał wręcz pewnego razu wierność dla pojmowania zawodu, które powstało niegdyś przez dopasowanie się do niegdysiejszych form życia i dawno przeszło do historii, z wiernością wobec Chrystusa: "Bardziej niż czegokolwiek innego ludzie oczekują od was wierności urzędowi kapłańskiemu. Uczy ich to wierności Bogu i utwierdza we wszelkich trudnościach życiowych, małżeńskich, w wierności wobec Chrystusa. W tak niepewnym świecie jak nasz potrzebne są nam zewnętrzne znaki i świadectwa wierności Bożej wobec nas i wierności, jaką myśmy Jemu winni. Dlatego Kościół tak nad tym boleje i lud Boży tak ogromnie, chociaż milcząco, trwoży się, gdy księża nie dochowują wierności swym kapłańskim obowiązkom."

Lud Boży: trwoźnie milcząca masa? Chyba tylko w interpretacji papieskiej. Gdyby Wojtyła poważnie wziął się do badania opinii w sprawach księży, w tym również celibatu i kapłaństwa kobiet, doszedłby do zgoła innej opinii. Ale kto przywykł nauczać ponad głowami trzody, zamiast czytać ludowi z ust, ten się nie zmieni. Niepotrzebna mu też ani socjologia religii, ani statystyka. Sam posługuje się liczbami i nagina je, jak mu wygodnie (PPN 89). Ale i w tym przypadku nie powinien głądzić o nadziei dla wielu. Tych wielu on w ogóle nie zna. Pocieszające jest, że nadziei nie brak także poza murami Watykanu i że nieźle się ona rozwija.

Wojtyła nie dostrzega tego w swej książce, jako że "świat" zewnętrzny, poza jego kręgiem widzenia, tak czy owak nie może ocaleć (PPN 59). Albo nie przyjmuje tego do wiadomości. Wśród stwierdzonych objawów regresji posoborowej on beztrzęsco wygaduje o wielkim szczęściu bezżenności, o uprzywilejowanym posłannictwie zakonów, o zadziwiającej "duchowej płodności" zakonnic, o "oblubieńczym wymiarze Kościoła" (PPN 32).

Z premedytacją wzbudza mylne wrażenie, jakoby ludzie zakonni mieli jakąś przewagę nad tak zwanymi laikami, i napomina w 1980 roku w Sao Paulo wszystkich dostojników, aby "trzymali się autentycznych i nośnych wartości swojej formy życia w łonie Kościoła".

Do tych zaś, którzy usiłują realizować życie zakonne już nie za murami klasztorów, lecz wychodząc do ludzi tej ziemi i dzieląc ich warunki bytowe, Papież

odzywa się w sposób lekceważący, wychwalając natomiast inne ruchy "o charakterze religijnym", ponieważ pasują one do jego systemu (PPN 130). Również i to charakteryzuje beznadziejnie uwikłanego w swej tradycji konserwatystę.

Papież uważa, że nowym formom, nie pasującym do jego ciasnego widzenia świata, "zagroża z wielu stron partykularyzm i opozycja, radykalizm społeczny oraz polityczny, jak również wywoływana przez otoczenie utrata religijności", jak powiedział w 1980 roku w Brazylii. Pytam się, czy aby Wojtyła już dawno sam nie uległ takiej wywoływanej przez otoczenie utracie religijności? Ze wszystkich miejsc na ziemi właśnie Watykan wydaje mi się tym, gdzie faktycznie grozi takie niebezpieczeństwo. Czyżby nadzieja miała kwitnąć akurat w środowisku watykańskim? Historia i teraźniejszość świadczą o czymś odwrotnym. Przykłady same się nasuwają.

Jan Paweł II wszystko rzuca na szalę, aby ratować to, co jeszcze da się uratować. Przejęte formy uprzywilejowanego pasterstwa chce zabezpieczyć zwłaszcza od strony prawnej. Praktyka tak zwanej laicyzacji, przenoszenia księży z powrotem do stanu świeckiego, która się nasiliła za jego poprzednika Pawła VI, została rygorystycznie wstrzymana, gdy papieżem stał się Karol Wojtyła. Piękne słówka o godności i prawach człowieka (PPN 147 i nast.) doczekały się tu czynnej konkretyzacji.

Księżom pragnącym zawrzeć małżeństwo - ich liczba idzie co roku w tysiące, mimo że liczby te niechętnie się udostępnia - za rządów uroczego Papieża już nie pozwala się na to, aby mogli z błogosławieństwem Kościoła złożyć swój urząd i zawrzeć legalne małżeństwo. Wszelkie wysiłki teologii, aby podejść do tego bolesnego problemu bardziej po ludzku, zostały udaremnione. Ten Papież nie ustąpił. Jak za Piusa XII, tak i obecnie księżom pozostaje tylko ekskomunika, ponieważ papież Wojtyła - omijając innowacje Pawła VI - troskę swoją znów całkowicie ukierunkował wstecz, na lata pięćdziesiąte. Z pewnością nie jest to najważniejszym z problemów dzisiejszego Kościoła, mimo że dotyka tak wielu. Ale czy rozwiązanie Wojtyły stwarza nadzieję? Czy świadczy choćby w najmniejszym stopniu o jakiejś odwadze w podejmowaniu ryzyka? Czy przekracza próg nadziei ku przyszłości? Na pewno nie.

Stosunkowo niewiele troszczy się Jan Paweł II również o tych pasterzy, którzy są jego współpracownikami w Rzymie, będąc ich własnym biskupem, czyli o duchownych współpracowników Kurii, żyjących swoiście zorganizowanym, własnym

życiem. Szczególnie rzuciło się to w oczy podczas długich miesięcy po zamachu 13 maja 1981 roku, gdy Wojtyła był przykuty do łóżka i skazany na bezczynność. Życie codzienne w Watykanie toczyło się wtedy, jak zawsze, chociaż w ogóle bez Papieża. Mianowano biskupów, komisja kardynalska zajmowała się finansami państewka, a szef prasy watykańskiej stwierdził w zastępstwie - przykład jeden z wielu - iż religijno-filozoficzne dzieła jezuita Teilharda de Chardin, ogromnie cenione na całym świecie, zawierają dwuznaczności i ciężkie błędy doktrynalne.

Business as usual. Zabrakło wprawdzie "człowieka o charyzmatycznych kompetencjach", jak to wyraził jeden z urzędników Kurii, i na razie przyszło Papieżowi zrezygnować z planowanych podróży. Pozostało jednak otwarte pytanie, czy uleciała przez to "dusza Rzymu" i czy wspaniałe budowle Watykanu, jak to ujął pewien hiszpański kleryk, były już tylko "martwymi głazami", do których nie miałyby sensu pielgrzymować. Martwe głazy? W Watykanie? Aż nie do wiary. Gdyż ta niezamierzona cisza myślowa ukazała jeszcze dobitniej to, na co już dawniej zwracano uwagę: że system utrzymuje się sam. Liczne podróże papieża Wojtyły, jego niemalże ciągła nieobecność w Kurii nie tyle wytworzyły ten stan rzeczy, co potwierdziły go. Rzym poczuł się i czuje zdany sam na siebie.

Wojtyła zresztą nigdy się tak naprawdę nie wykazywał jako współpracownik Kurii, przeciwnie niż jego poprzednik Paweł VI. Ten zawsze myślał kategoriami Kurii i trwał w tej lojalnej postawie przez cały swój pontyfikat. Natomiast Jan Paweł II podejmuje, jeśli w ogóle, to tylko najbardziej nieodzowne decyzje personalne i to również tylko w swym własnym kręgu. Znaczną częścią aparatu biurokratycznego w ogóle się nie zajmuje. Podobno zgromadziły się góry akt, bo szef nie troszczy się o nie.

Czy to przeoczenie, gdy dziennikarz Messori stwierdza, iż Papież "ze zdumiewającą gorliwością" (PPN 12) pracował nad swymi odpowiedziami? Czy gorliwość to u Wojtyły objaw zdumiewający? Może podobnie jak stwierdzenie, że Jan Paweł II w "potoczystym języku" kryje "zdumiewającą głębię" (PPN 17)?

Kuria tak czy owak widzi to po swojemu. Jednemu z jej wysokich urzędników, który nie powinien mieć nic przeciwko papieżowi Wojtyłemu, zadano pytanie, czy sytuacja po zamachu jest w czymś podobna do tego interregnum pomiędzy śmiercią papieża a wybraniem jego następcy, zwanego sediswakacją. Charakterystyczna była jego odpowiedź: "Dla wielu z nas sediswakacja trwa od momentu wybrania Wojtyły na papieża."



Polscy biskupi musieli nawet brać w obronę swojego byłego kolegę z powodu jego przysłowiowego nieróbstwa. Wzięli się do tego co prawda niezręcznie i bez znajomości rzeczy. Określili Wojtyłę po prostu jako "papieża, który nie tylko nie rozumie zawikłanej mentalności Kurii rzymskiej, ale nawet nie chce jej rozumieć, mającego natomiast krystalicznie jasne pojęcie o Kościele, który wszedł do historii nie jako instytucja władzy, lecz jako wspólnota wiernych na całym świecie".

Kto ma choćby najskromniejsze pojęcie o tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat za rządów Wojtyły, zaniemówi w tym miejscu. Arcypasterze ani nie trzymają się prawdy historycznej, ani też nie zdają się wiedzieć o watykańskich aferach, które w tym czasie powychodziły na jaw.

Powrócę jeszcze do uroszczeń i rzeczywistości Wojtyły, podając fakty z Watykanu. Niezależnie od tego: rządzący pontyfik, którego przez dłuższy czas aż rozsadzała żywotność, wewnątrz Watykanu nie jest taki aktywny, o czym coraz dobitniej przekonuje się watykańska biurokracja: jego gospodarstwo, którym powinien się zajmować przede wszystkim. Ten wigor lub "zapał czterdziestolatka" (PPN 18), który mu przypisuje Messori, daje się chyba dostrzec jedynie oczyma dziecinnie naiwnego laika.

Jan Paweł II raz po raz podkreśla jedyne w swoim rodzaju posłannictwo Kościoła i wciąż na nowo odsyła do specyficznie dogmatycznych prawd tego Kościoła, które należy wiernie zachowywać, jak na przykład hierarchia i urząd Piotrowy. Lecz innymi, zewnętrznymi strukturami tej instytucji zajmuje się tylko mimochodem. Niemniej jednak wbija swym słuchaczom do głowy, że nie powinni ich całkiem zaniedbywać.

Profesorowi wyższej uczelni nikt nie będzie zarzucał nastawienia spekulatywnego. Jednak w przypadku rzymskiego papieża, który ma stać na czele wytworzonej przez stulecia, prężnie zorganizowanej i zdyscyplinowanej instytucji, oznacza to zawężenie nie pozbawione niebezpieczeństwa.

Takiego aparatu, jakim jest Kościół rzymski i w szczególności Kuria, żaden papież nie może bezkarnie zaniedbywać. Kościół w swej tradycyjnej postaci - a Karol Wojtyła sam podaje się za jego wcielenie - przejawia się nie tyle w efektownych wystąpieniach swego arcykapłana, ile w codziennym funkcjonowaniu biurokracji: jako to w ślubach i procesach małżeńskich, w prośbach o łaskę i dyspensach, w udzielaniu sakramentów i w mnóstwie rytuałów i ceremonii, krótko mówiąc: we wszystkim, co prawa tej organizacji zbawienia uładziły i utrzymują przy życiu.

Czy wszystko to są sprawy jedynie "kościelnej biurokracji" (PPN 14) i wobec tego można je zaniedbywać? Człowiek żyje wprawdzie nie samym chlebem, ale i nie pięknymi słowami Papieża. Mimo że większość ludzi musi poczuć to dopiero na własnej skórze, aby w to uwierzyli: nadzieja, jeżeli cokolwiek warta, jest zawsze sprawą konkretną. Nie przejawia się ona w kazaniach, tylko w dniu powszednim Kościoła. Tu, na miejscu, na przykład w problemach małżeńskich, ponownego zaślubiania się rozwiedzionych, celibatu, ekumenizmu, kontroli urodzeń, przerywania ciąży, nędzy dzieci, widać dopiero, co warte są wielkie słowa. Programowe przemówienia arcybiskupa są wobec powszedniości czymś w rodzaju uroczystości świątecznych. Dla charyzmy nie pozbawione znaczenia, odciskają się jednak tylko w nieznacznym stopniu na dniu roboczym trzody. Dotyczy to *mutatis mutandis* również ksiązek papieża.

Historia tej instytucji potwierdza pogląd, że podstawę nadziei stanowią tylko szczegóły. I tu właśnie sprawa wygląda beznadziejnie. Poprzednicy Wojtyły jednak próbowali przeciwstawić swą osobowość i jej specyficzny charyzmat instytucjonalnej rutynie codzienności: choćby Celestyn V, którego nadzieje rozkładające się świata wybrały w 1294 roku jako "anielskiego papieża" przeciw armii dyplomatów i jurystów, później Hadrian VI, który u szczytu luteranstwa w 1522 roku odważył się przyznać do historycznych i współczesnych win swego Kościoła, następnie Benedykt XIV, którego szczere człowieczeństwo uczyniło wrażenie nie tylko na Wolterze, wreszcie Jan XXIII, który pokazał, że papież, jeżeli zechce, może być równocześnie ojcem i bratem wszystkich ludzi, a także Jan Paweł I, który błysnąwszy jak meteor ocieplił klimat watykański przynajmniej na kilka tygodni.

Jednakże te humanitarne próby zawsze spełzały na niczym. Celestyn, zaniedbanym wyglądem odbijający od swego otoczenia, nie umiejący mówić po łacinie i nie mający pojęcia o zgranym systemie zarządzania kościelnego tych czasów, szybko się przewrócił. Przeszedł do historii jako papież, który próbował rządzić nie przyznaną urzędowi swemu pełnią władzy, tylko szlachetną prostotą. Jego gwahowny następca - w przeciwieństwie do niego z aprobatą cytowany jeszcze kilkadziesiąt lat temu przez Piusa XII - Bonifacy VIII zmusił go brutalnie do abdykacji. I jak gdyby tego nie było dosyć, wsadzono go jeszcze do więzienia jako tchórza, który zawiódł w zetknięciu z realiami papieżstwa.

Po Celestynie V pozostał zamęt jeszcze większy od tego, który poprzedzał jego wybór. Sen o czystym i obyczajnym papieżu - raz po raz marzycielsko

przycaczany przez "heretyków" takich jak Hus, Savonarola i Luter - pozostał utopią. Zwyciężyła naga władza i jej synonim, prawo kanoniczne: Bonifacy VIII wyniósł je na zawrotne wyżyny absolutnego prymatu papieżstwa w Kościele i na świecie. Tylko tyle. I tak pozostało przez stulecia.

Hadrian VI, który powążył się na kolejną próbę przeciwstawienia się rzeczywistości swego urzędu, zmarł po rządach trwających półtora roku. Rzym cieszył się z jego śmierci tak samo, jak wyszydział był styl rządów tego papieża. Podług Jakoba Burckhardta ówczesni spece od stosunków publicznych uporali się z nieszczęsnym przypadkiem Hadriana, uzgodniwszy między sobą, że "będą go traktować wyłącznie ze strony groteskowej".

I znów odczekano stulecia.

O Benedykcie XIV nie wspomina już nikt odpowiedzialny, mimo że ten również i z prawem doskonale obyty papież (ostatni przed Wojtyłą, który pisywał prywatne książki) zasłużył sobie na coś więcej niż przypomnienie. Papieżowi temu - "bardzo przypominającemu Jana XXIII", jak pisze historyk Hans Kühner - przydarzyło się niemal to samo, co Janowi XXIII, który dla wielu jest już tylko zjawiskiem na marginesie historii, dla większości pasterzy Kurii zaś tylko kolejnym nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy. Jan Paweł II, w sposób zwracający uwagę, prawie nigdy nie nazywa swojego poprzednika wielkim... w przeciwieństwie do swych zachwyty nad "niezapomnianym" Pawłem VI.

Watykańska codzienność odrobiła wszystkie wysiłki charyzmatyków, a oparło się tylko tradycyjne prawo kościelne. W ostatnich latach główną treścią kościelnej troski o prawo coraz to bardziej staje się zachowanie w każdym szczególe dotychczasowego stanu posiadania. Reformatorskie porywy zastępuje się hasłami przetrwania. Mogą sobie pogratulować ci wszyscy, którzy tak i nie inaczej widzieli to, co nadchodzi. Pod rządami Wojtyły przewidywania ich sprawdzały się, krok za krokiem. Normalne modele organizacji potwierdzały swą wieczną aktualność.

W prawodawstwie Kościoła jako instytucji nie dało się zmienić nic, co wychodziłoby poza drobne poprawki kosmetyczne. I nie był to przypadek, lecz premedytacja. Co prawda Jan XXIII wymienił reformę prawa kościelnego jednym tchem ze wspaniałym planem Soboru. Nie chciał, aby wyniki Drugiego Soboru Watykańskiego zmarniały w puste deklaracje, które można by w kółko cytować, lecz nie przynoszące ze sobą właściwie żadnej odnowy w kościelnej codzienności.

Jednakże nastawiony na duszpasterstwo Sobór nie przejmował się zbytnio

kwestią ustaleń prawnych. Byłyby one nadzwyczaj pracochłonne i ponad siły większości biskupów, ojców Soboru. Drobiazgowa robota, którą niemal żaden biskup nie potrafiłby albo nie chciałby się zajmować, miała być kształtowana w oparciu o słynnego ducha Soboru, ale przez komisje, w których głos nadal zachowałiby dotychczasowi eksperci od prawa. Zaproszeni dodatkowo biskupi Kościoła światowego po prostu za mało się wyznawali w tej skomplikowanej materii.

Papież Wojtyła, mający wprowadzać w życie to rzekomo nowe prawo kościelne, w ogóle nie miał o tym pojęcia. Można mu wiele zarzucić, ale z faktu, że nie jest ekspertem w dziedzinie norm prawa kościelnego, nie można mu czynić zarzutu. Ma ważniejsze sprawy na głowie. Co prawda w Kościele, tak wyraziście noszącym na sobie znamię prawa i organizacji, jak katolicki, nie ma sprawy ważniejszej...

Więc eksperci pozostali we własnym towarzystwie i z reformy prawa kościelnego zrezygnowano na rzecz częściowej rewizji, biegnącej tym samym torem, co zawsze. Pozostawione bez odpowiedzi i nacechowane współczesnością pytanie o prawo posoborowe, a nawet o istotę prawa Kościoła chrześcijańskiego w ogólności, nie wzbudziło w tej sytuacji zainteresowania.

Taką hipotezę przejął Jan Paweł II i obszedł się z nią lekką rączką. Próbował wywiązać się z tego historycznego zadania, interpretując przejęty bez zmiany stan prawny na nowo, czyli w starym sensie, i tłumacząc bez namysłu pojęciem "służby" całą organizację, całą władzę, całe sprawowanie rządów duchownych. Tak oto powiedział Wojtyła o związku władzy ze służbą już na objęcie swego urzędu: "W przeszłości nakładano papieżowi na głowę, być może, tiarę, potrójną koronę, aby tym symbolicznym gestem wyrazić plan zbawienia dla Kościoła Bożego, mianowicie to, że cały hierarchiczny porządek Kościoła Chrystusowego, cała zawarta w nim «święta potęga» nie jest niczym innym, niżeli służbą, służbą mającą tylko ten jeden cel: aby cały lud Boży dostąpił udziału w tym potrójnym posłannictwie Chrystusa i zawsze pozostawał pod władzą monarszą Pana, mającą swe początki nie w mocach tego świata, lecz w tajemnicy śmierci i zmartwychwstania."

W wykładni tej uderza nie tylko beztroska, z jaką symbol jak najbardziej świecki, zapożyczoną od staroperskich monarchów tiarę, uznano za schemat interpretacji, przedstawiający plan zbawienia, śmierć i zmartwychwstanie. Zdumiewa też niejasność wypowiedzi na temat ludu Bożego, który z jednej strony ma udział w posłannictwie Chrystusa, z drugiej strony zaś ma dostąpić tego posłannictwa dopiero

przez działalność pasterzy.

Najbardziej jednak zwraca uwagę ta papieska teologia, oferująca ludowi bez żadnych konsekwencji dla dawniejszych struktur władzy świętą służbę, o której prawnych szczegółach nigdzie się nie mówi. Także i w szczególności w jego nowej książce, która w żadnym miejscu nie wychodzi poza czysto werbalne wyznania i deklaracje.

"Na tym polega posługa Następcy Piotra, który mimo upływu dwudziestu stuleci jest nadal jednym z tych, co «byli świadkami zmartwychwstania» i wiedzą, że «ten Jezus został wzięty do nieba» (por. Dz. 1, 22). I którzy są gotowi zaświadczyć nam o tym własnym życiem, słowem, ale nade wszystko czynem" (PPN 20). Czynem? Nade wszystko czynem? Czy tylko aż do przesytu znajomymi zapewnieniami, że Papież potwierdza "blask prawdy" (PPN 31), cokolwiek by to miało znaczyć? Trochę tego blasku mogłoby w ciągu minionych piętnastu lat opromienić w dostrzegalny sposób również czyny Wojtyły, jako że prawda jest zawsze konkretna i nie wystarczą jej gołosłowne oświadczenia.

Bardzo to podejrzane. W nowożytnym społeczeństwie takie milczenie jest zaskakujące. Nikt nie przeczy, że w skomplikowanych układach społecznych istnieć musi również substytucja, zwierzchność i podporządkowanie. Ale któż zaprzeczy, że właśnie w Kościele było i jest mnóstwo ludzi możnych albo ich spadkobierców, pojedynczo i w grupach, którzy starają się za wszelką cenę bronić swego posiadania i władzy, nie oddając ani szeląga z tego, co posiadli w przeszłości? W dodatku potęga Kościoła, skoro już o niej mowa, nie istnieje sama w sobie. Nie tylko użycza się jej dla zaspokojenia prywatnych roszczeń, ale i wiąże się ją z różnymi warunkami, narzucanymi przez tego, kto wedle oficjalnej doktryny powinien być jej użyczać.

Władza w Kościele możliwa jest tylko wówczas, gdy wiąże się albo daje się związać, zarówno ze swoim pochodzeniem, jak i ze swym jedynym celem. Bez takich powiązań władza wymyka się spod kontroli i staje się celem sama dla siebie, choćby maskowała się jako pasterstwo i służba.

Nieraz stanowiło to punkt zaczepienia dla krytyki. Bo tradycja możnych Kościoła owładnęła tym, co było pierwotnie służbą, i przeobraziła ją w pomnażanie władzy, oparte na wzorcach jak najbardziej świeckich. Nie znajdziemy zatem w Kościele żadnego podziału władzy, który nowoczesnej demokracji nadaje godność ludzką i dlatego nie istnieje w żadnych systemach totalitarnych, dyktatorskich.

Znają za to pasterze Kościoła presję, która zmusza działaczy tej instytucji do

utrzymywania postawy opartej na zasadzie: przyjaciel albo wróg, legitymując tym ich decyzje. Nie przypadkiem najbardziej wypróbowana z recept brzmi *Roma locuta, causa finita*: "Rzym powiedział, sprawa zakończona" i koniec z marzeniami. Jesienią 1994 roku papież Wojtyła próbował potwierdzić jeszcze raz ważność tej zasady w związku ze święceniami dla kobiet; a niedługo po tym rozstrzygnąć na jej mocy problem ponownych ślubów dla rozwiedzionych.

Na tak kamienistym gruncie nie zakiełkuje chyba żadna nadzieja. Musi sobie poszukać żyznego gruntu. Jestem przekonany, że go znajdzie.

Ci możni, których znajdziemy w górnych warstwach hierarchii pasterskiej, gdzie laicy nic nie mają do powiedzenia, hołdują też istnej manii kodyfikowania. Regulują i normują. Mówią owieczkom, co robić, a czego nie robić. Ta praktyka wiele nadziei nie przyniesie.

Sami pasterze też wywodzą się ze swoistej kodyfikacji: na urząd nie powołały ich nieobliczalne wybory przeprowadzone w gremium świeckim, lecz jak najbardziej obliczalne i wyliczone mianowanie przez Kurię rzymską, prawomocne w ramach systemu. Są więc zobowiązani wobec tej zasady wprowadzenia na urząd, tej bezosobowej, wręcz technicznej solidarności. Nie mogą się zrzec tej służby, tylko dźwigać ją dalej.

Życie wszystkich chrześcijan, według przemówień Papieża, otoczone jest delikatną siatką norm kościelnych. Znaczący tego systemu, z Wojtyła na czele, wychodzą z założenia, że dla jednostki jak zawsze, tak i teraz najkorzystniejsze jest, aby we wszelkich ewentualnościach życia troszczył się o nią Kościół. Wolność, tak samo jak prawda, istnieje tylko w ściśle określonych granicach, które wytyczają Kościół i Papież. Nie ma mowy o tym, aby je przekroczyć ku jakiejś alternatywnej nadziei.

Dla Wojtyły nie ulega wątpliwości, że nauczanie prawd dogmatycznych i obyczajowych, jak również wszelkie kompetencje prawodawcze i sądownicze, muszą spoczywać w ręku jedynej władzy nauczycielskiej i pasterskiej, czyli biskupów, i że nie wyświęceni laicy z jakichkolwiek "świętych władz służebnych" są z tego wykluczeni. Tak przemawia siła: trwożnie chroniona siła. Akceptować ją mogą tylko dziecięco naiwni i pobożni dziennikarze lub czytelnicy albo ci, którzy sami zyskali udział we władzy drogą pośrednią, na przykład przez *Opus Dei*. Obydwie te grupy są bliskie sercu Wojtyły.

Dawno już utrwalone na piśmie prawo wyłączności nie może być naruszone;

szczególnie zaś przez papieża. Jak ongiś, tak i teraz określa on praktykę interesów swej instytucji; i w tym względzie za Jana Pawła II nic się nie zmieni.

Papież ten w 1979 roku powtórzył wobec amerykańskiej konferencji biskupów prawną, konserwatywną zasadę, a co więcej, rozciągnął ją po kres wszech czasów: "Sobór Watykański podkreśla rolę biskupa w głoszeniu całej prawdy Ewangelii i w przekazywaniu «nie skróconej tajemnicy Chrystusa»... Jestem pewien, że moi i wasi następcy nie odstąpią od tego wymagania, aż Chrystus powróci we wspaniałości Swojej."

Ortodoksyjnie-katolicki Chrystus wie, o co tu chodzi, co mu wolno, a czego nie wolno. Jego wiara i jego moralność unormowane zostały w najdrobniejszych szczegółach. Gdyby musiał uwzględnić jakiś wyjątek od reguł, które obowiązują wszystkich, i popadł z tego powodu w zakłopotanie, system dyspens pomoże mu z tego wybrnąć. Dyspensy nigdy nie dotyczą prawd dogmatycznych. Działają na marginesach. Na przykład tak zwana nierozwiązywalność prawidłowo zawartego i skonsumowanego seksualnie małżeństwa uchodzi za niewzruszoną. Wyjątki jakoby nie istnieją. Można jednak przed zawarciem małżeństwa uzyskać dyspensę, jeżeli na przykład zachodzą według prawa kościelnego przeszkody do zawarcia związku, takie jak pokrewieństwo między wujem a siostrzenicą.

To tylko drobnostka w porównaniu z tysiącnymi udrękami rozwiedzionych i znów zaślubionych sobie wiernych. System wie, co robi. Papież wie, dlaczego utrzymuje, że nie może nic zmienić. Każda zmiana oznaczałaby utratę władzy. W porównaniu z tym nadzieja niewiele znaczy.

Od powszechnej normy uwolnić może wyłącznie kościelny pasterz. Własna dyspensa nie jest przewidziana. Czyniłaby ona małżeństwo niemożliwym czy wręcz nieważnym. Tego nie da się naruszyć, przynajmniej dopóki nie nastąpi gruntowna reforma kościelnego prawa małżeńskiego. Ale tej właśnie Jan Paweł II świadomie zaniedbał. Jego kodeks z 1983 roku pod tym względem ani pod innymi nie zmienił się w istocie ani na włos. Próg jeszcze raz nie został przekroczony. Za to nakłada się po staremu ciężary, piętrzy przeszkody, zakreśla granice, grozi grzechem.

W ten sposób stwarza się łańcuch ustopniowanych zależności, a pomnożenie władzy duchownej rozciąga się aż w dziedzinę sumienia jednostki. Ludzie muszą się czuć przytłoczeni tą pomnażalnością miłosierdzia. I jest to zamierzone.

Tak czy owak chrześcijanin, ilekroć zbliży się do Kościoła tych dobrych pasterzy i zażąda od nich jakiegokolwiek posługi, zdany jest na ich dobrą wolę: wesele

czy zgon, świątek czy piątek. W przeciwnym razie grozi mu nieważność aktów prawnych; a w niektórych wypadkach nawet klątwa, wykluczenie spośród sprawiedliwych w Kościele. I wszędzie czai się grzech. Tak to wygląda, gdy nadzieja zaklęta zostanie w kodeks.

Ponieważ obecny Papież nie dopuszcza żadnych zmian, a na temat problemów, rzeczywiście zaprzatających ludzi, w książce swej bez wyjątku zachowuje milczenie albo proponuje rozwiązania pozorne, można przyjąć, że problemy te w ogóle go nie interesują. Łatwiej jest pisać i wypuszczać na rynek książki o nadziei i o przyszłości wiary, niż w teraźniejszości zatroszczyć się o jakieś ulgi. Tą drogą Papież kroczy z lubością i z wdziękiem.

Wojtyła zdaje się być przekonany, że nie chodzi tu o dopasowanie Kościoła do przebrzmiałych modeli świeckich, lecz o ponadczasowe i wiekuiście ważne, więc niereformowalne dobro instytucji.

To charakterystyczne dla konserwatywnego myślenia, że Jan Paweł II w wypowiedziach swych raczej nie różnicuje ani jedynej i niezmiennej prawdy Kościoła, ani też absolutnej wierności, jaka się jej należy. Papież opiera swe uroszczenia - może i po to, aby zdławić w załączku wszelką krytykę - na przyobiecanej pomocy Ducha Bożego. Już Piotr, ta opoka, który "jako człowiek był może lotnym piaskiem" (PPN 29), przemawiał mocą Ducha. Również i Kościół przemawia bez ustanku "w mocy Ducha Świętego" (PPN 28). Papież zaś "modli się tak, jak Duch zezwala mu mówić" (PPN 36).

Cóż dziwnego, że Wojtyła jest przekonany, iż ludzie świeccy ze swojej strony "we wszystkich sprawach obyczajowych, dotyczących prawdziwości życia chrześcijańskiego, patrzą na biskupów jako na swych przywódców, pasterzy i ojców". Tak powiedział w 1979 roku w Dublinie. Sprowadzone do najniższego wspólnego mianownika znaczy to: w pasterzach cała nadzieja trzody.

Jeżeli biskupi po ojcowsku świadczą posługi wspólnocie - tak Papież sobie wyobraża - to "raz po raz odpowiadają na głośny, nie zawsze wyraźnie sformułowany, ale faktyczny krzyk ludzkości: «Panie, chcemy Jezusa widzieć!» (Jan 12, 21)". Występują w swej "nadzwyczaj ważnej roli, ażeby ukazać światu Jezusa, przedstawić go prawdziwie i przekonująco", tak brzmią wytyczne. Treść tego rozumie się następująco: "Przekonywać o grzechu, to znaczy stwarzać warunki do zbawienia" (PPN 60).

I znów szczegóły tej roli ojcowskiej pozostają niejasne. Gdyby je



skonkretyzować, zdemaskowałyby swój paternalizm. Gdyż nadzieja w patriarchalnej opowieści jest beznadziejna. Ojcowscy nauczyciele, doradcy, pasterze chwilowo jeszcze mogą się utrzymać na powierzchni. Ale nie zdążają ku przyszłości. A nawet zakładam, że ta branża po trochu wymrze, bo nie będzie jej słuchać nikt, chcący być czymś więcej niż owieczką.

Jan Paweł II mógłby sobie coraz bardziej uświadamiać tę przyszłość. W jego przemówieniach brzmi ton coraz bardziej błagalny. Woła na puszczy. Czyżby odczuwał większą trwogę, niż się przyznaje? "Nie mamy się lękać prawdy o nas samych" (PPN 26).

Na razie Papież ogranicza się do słów mniej czy bardziej przyjaznych, lecz zawsze w tonie upomnienia. Prawi natarczywie o służbie, o prawdziwej służbie, o jedynie prawdziwej służbie i tak dalej. Jednakże codzienna rzeczywistość instytucji nie da się zmienić za pomocą choćby najdobitniej wypowiedzianych zaklinań. Żadna organizacja tej wielkości, co Kościół rzymski, nie poradzi sobie bez wytycznych prawnie obowiązujących.

Pozostaje zapytać: czy te liczne apele do dobrej woli rządzących i poddanych są w ogóle potrzebne? Przecież one w ogóle nie docierają do drobnych odgałęzień biurokracji kościelnej. Czy Papież nie powinien by zmienić swojego stylu rządzenia i czegoś naprawdę zrobić, a nie tylko apelować do sumienia lub wiary swoich (biskupich) współpracowników w Rzymie i gdzie indziej?

Czy nie powinien przedyskutować i wydać takich norm prawnych, z których dałoby się konkretnie i użytecznie wyczytać, jak według niego przedstawia się autentyczny wizerunek Jezusa, jeśli chodzi o najzwyczajszą praktykę pasterską?

Słabość tego pontyfikatu przejawia się w takich właśnie zaniedbaniach i bezradnościach.

Jak uczy powszechne doświadczenie, które nie musi omijać instytucji kościelnych, ograniczenia władzy nie da się osiągnąć za pomocą moralizatorskich postulatów, jakkolwiek ważne byłyby one dla ogólnego klimatu w Kościele i na świecie. Zbyt wiele tu schorzałego. Wojtyła coraz częściej się powtarza. Zmuszony jest sięgać po coraz mocniejsze narkotyki werbalne, a i tak nie osiąga swojego celu. Ludzie od niego uciekają. Po prostu ograniczenie władzy musi być uchwytne prawnie i nic poza tym. Ciągła gadanina o "służbie" już nie chwyta. Ludzie coraz bardziej zaglądną za kulisy. Praktyka Wojtyły, jak widać, nie przynosi im zbyt wiele nadziei.

Przestarzałe modele prawne, czyli wyniki wcześniejszego przystosowywania

się do minionych struktur władzy, od dawna już podejrzanych, nie dadzą się obronić po prostu w ten sposób, że apeluje się do sumienia tych, którzy je sprawują. Należałoby raczej znaleźć takie struktury sprawowania władzy, które oparłyby się współczesnemu rozumieniu demokracji i mogłyby nawet - dość utopijnie - wyprzedzać ją w niektórych punktach, jeśli chodzi o przyszłość. Tu można by przekraczać progi.

Jak nie tutaj, to gdzie?

Jeżeli Kościół i prawo kościelne pozostaną, jak dotąd, tylko zarządcami czcigodnej tradycji, nigdy nie staną się pionierami ludzkości. O nadziei zaś nawet szkoda gadać. Prędziej już o praktykowaniu trwogi.

Dlaczegoż by właśnie wewnątrz Kościoła trochę tej władzy od czasu do czasu nie odebrać? Dlaczego lgnie ona do możnych: i to aż do śmierci pasterzy? Kościół ubogi we władzę wcale by tego nie potrzebował. Pozwoliłby tym pasterzom na przyznanie, że nie wszystko jest tak ponadczasowe, jak chciałaby dzisiejsza hierarchia. Miałby też odwagę wyrzeczenia się władzy i dopiero wtedy przekroczyłby rzeczywisty próg...

Władzę w Kościele należałoby co najmniej poddawać ciągłej konfrontacji, aby nie pozostawała celem sama dla siebie; konfrontacji z pytaniami w rodzaju następujących, których w kazaniach Wojtyły w ogóle nie znajdziemy.

Jak się przedstawia geneza, codzienne wypełnianie i konkretny cel władzy posługiwania? Kto w tej instytucji osiąga władzę? I w jaki sposób? Kto jest po prostu przeciążony sprawowaniem władzy i z jakiego powodu? W jaki sposób możliwy w Kościele oddziela się od swojej władzy i dlaczego?

Pomijając już te pytania, instancja sprawująca władzę w Kościele powinna uświadamiać sobie jej skryte zagrożenia, z którymi nawet papież nie poradzi sobie za pomocą samej etyki.

Jakie są zagrożenia prawa, wymyślonego przez niewielu ekspertów i stosowanego przez niewielu pasterzy? Podczas gdy reszta, ludzka baza nie włączona w żaden proces demokratycznego decydowania, musi słuchać i koniec, bo i tak nic z tego nie rozumie? Dlaczego nikt im nie wyjaśni, na czym konkretnie polega władza w Kościele? Choćby i w niedzielnych kazaniach, które lubują się w tematach dogmatycznych i biblijnych, lecz nigdy w tych niebezpiecznie zatracających o prawo kościelne?

Co sądzić o prawie, które się z dbałością o szczegół hołubi i rozbudowuje, tak

że instytucje - choćby małżeństwo - pozostają nietknięte, podczas gdy żywi ludzie, dla których one powinny być przeznaczone, pojawiają się i przechodzą? Jeżeli dla tego prawa sama instytucja małżeństwa jest ważniejsza od życiowego szczęścia dwojga ludzi, niech Papież to powie. Jeżeli papieska nauka o prawie naturalnym jest ważniejsza od indywidualnej decyzji w sprawie zapobiegania ciąży, niech Wojtyła to wreszcie tak uzasadni, ażeby ci, których to dotyczy, zrozumieli i mogli się do tego stosować.

Jaką przyszłość ma prawo, które utrwała puste formuły, skoro nie odpowiadają im zaskarżalne fakty, jak to się dzieje w tak zwanych wewnątrzkościelnych prawach człowieka i chrześcijanina? Watykańska polityka władzy polega na odmawianiu praw ludzkich bez zapewnienia środków prawnych.

Ta nieludzka praktyka nie daje nadziei.

Nie wszyscy uznają takie rozumienie realiów pasterskich za rozstrzygające dla spraw pontyfikatu Karola Wojtyły. Jednakże Papież, który chce być Rzymianinem i w obecnych okolicznościach musi nim być, nie może sobie odmówić takiego uświadomienia.

Inaczej naraża się na niebezpieczeństwo, że litera prawa przegoni jego charyzmy i pozostawi ją za sobą.

Nie wygląda na to, aby Jan Paweł II choć trochę borykał się tu z własną świadomością.

Z pewnością też nie miał przed oczyma praktyki prawnej reprezentowanego przez siebie systemu totalitarnego, kiedy na powszechnej audiencji 8 listopada 1978 powiedział: "Człowiek nie może istnieć dla systemu, lecz system musi istnieć dla człowieka. Dlatego trzeba się bronić, kiedy system kostnieje. Mam na myśli systemy społeczne, gospodarcze, polityczne i kulturalne, które muszą być wrażliwe na człowieka, muszą mu przynosić pożytek. Muszą być zdolne do przekształcania samych siebie i swoich struktur na korzyść tego, czego domaga się cała prawda o człowieku."

Czyż jednak nie tyle człowiek Wojtyła, ile mniej od niego charyzmatyczna organizacja Kościoła, prawdziwa spadkobierczyni jurysprudenencji rzymskiej, decyduje, czego domaga się tak zwana przez Papieża "cała prawda o człowieku" dzisiaj i na przyszłość? Czy Papież, nawet gdyby wbrew oczekiwaniom tego zapragnął, mógłby wystąpić z tego środowiska beznadziejności? Podjąć raz osobiste ryzyko zerwania z watykańską ciasnotą swojej nadziei?

Może chodzi o zrozumienie, że zdolność Kościoła do tego, ażeby niósł w przyszłość idee chrześcijańskie i wzbudzał uzasadnione nadzieje, będzie tym mniejsza, im wyraźniej do świadomości ludzkiej docierać będzie organizacyjny charakter katolicyzmu. Wszak ta organizacja posługuje się także każdym papieżem jako - wymienną z konklawe na konklawe - figurą dziobową charyzmatu. Przynajmniej dopóty, dopóki papież nie zaktywizuje się reformatorsko na tym kamienistym polu urzędowej biurokracji i nie przestanie, jako święty głupiec systemu, zadowalać się wygłaszaniem apelów i deklaracji.

Właśnie tu, w swym własnym środowisku, Jan Paweł II zawiódł, dopuszczając się niezliczonych zaniedbań. Obudzenie tu wewnętrznej nadziei byłoby możliwe, gdyby Wojtyła tego zechciał. Lecz on się nie sprawdził. Wolał światu głosić nadzieję, której nie był w stanie urzeczywistnić. W swoim własnym Kościele, gdzie mógłby rozstrzygać i spełniać, cokolwiek by zechciał, on tylko pogrzebał nadzieje wielu.

Wojtyła chce, to taka elitarna ambicja, być papieżem świata i przemawiać do wszystkich ludzi. Byłoby uczciwiej, gdyby ten arcybiskup poprzestał na tym, aby zaistnieć dla swojego własnego Kościoła i przynajmniej tym ludziom w swojej własnej zagrodzie przynieść konkretną nadzieję.

## VII

### DOBRE SŁOWO Z WYSOKA

#### Odstraszająca moc wymowy apodyktycznej

Papież Wojtyła nie powinien, jak stwierdza Messori, swoją książką "narażać się na ryzyko, nieuniknione jako skutek oddziaływania bezwzględnych mechanizmów massmediów" i na to, "że jego głos zostanie zagłuszony przez chaotyczny zgiełk świata, który wszystko zamienia w banalne widowisko, pełne wzajemnie sprzecznych opinii i bezustannej gadaniny" (PPN 10). Pobożne życzenie, jednak uzasadnione, jeśli wziąć pod uwagę strategię tych, których "bezustanna gadanina" reklamuje tę książkę i niemilosiernie ją forsuje na rynku.

Ale i w tekście kryją się pułapki. Odnowa z pewnością nie zasadza się na aktywności jako takiej, na uprawianiu tego, co nowe, dla samego siebie, ale na słowie i prawdzie. Stara zasada scholastyczna *agere sequitur esse*, działanie wiedzie się z bytu, znajduje swe usprawiedliwienie (PPN 55). Tym bardziej trzeba się domagać odpowiedzi, jak Wojtyła interpretuje słowo prawdy.

Czy stanowi ono dla niego nośnik i treść objawienia, czy wyraz określonej, ujętej w zdania doktryny? Czy prawdziwość jego wywodzi się z życiowego spełniania się wszystkich członków Kościoła, czy z pouczeń, które wybrani dostojnicy wygłaszają, domagając się posłuszeństwa? Odpowiedzi na te pytania udziela w znacznej mierze badanie stylu, jakim przemawia Papież. Ujawnia się w nim drobiazgowo, jak Wojtyła się obchodzi ze słowem.

Niewątpliwie także i Papież - zwłaszcza tak rozmiłowany w obfitości słów jak Wojtyła - wspiera się ludźmi, którzy piszą mu przemówienia. Jednak odpowiedzialni za te słowa nie są tak po prostu ci piszący. Odpowiedzialność za nie bierze na siebie ten, kto podsunęte mu słowa czyni papieskimi, sam je wygłaszając publicznie. Wszak to on zlecił napisanie tych tekstów i należy przyjąć, że rozumie, co czyta. Na nim więc spoczywa ciężar tych słów; jak również wywoływanych przez nie reakcji. Dotyczy to w szczególności takiej książki, jak obecna, "napisanej własną ręką Papieża" (PPN 12).

Nawet i Papież, kiedy mówi, posługuje się mową ludzką, a nie Boską. Więc każde jego słowo podlega ludzkiej krytyce. Milcząca recepcja tego, co powiedziano i napisano, dotyczy tego przypadku najdokładniej tak samo, jak innych, czego nie unieważnia fakt, że pisarz lub mówca jest papieżem. Jakikolwiek rodzaj papolatrii

byłby tu nie na miejscu i chyba do tego również można odnieść słowa dogmatyka Gottholda Hasenhüttia: "Nie dlatego jest to prawdziwe, iż papież tak powiedział, ale dlatego, iż jest prawdziwe, może to czasem powiedzieć także i papież."

Jan Paweł II raz po raz ośmielał ludzi do prawdy; nie wykluczając przy tym z góry, z poszukiwania prawdy, swojej własnej osoby. Mimo to niełatwo zgłaszać zastrzeżenia w obliczu tak pewnych siebie wypowiedzi, jakie ceni sobie Jan Paweł II. Wojtyła jest dla wielu przekonujący w znacznej mierze dzięki swej teologicznej pewności siebie, w której nie ma dużo miejsca na ewentualne błędy. Z jego książki aż bucha ta pewność; przypomina ona spore fragmenty wywodów, zawartych w byle którym z pouczeń, jakie napisał ten "nauczyciel wiary" (PPN 13).

Dziennikarz David A. Seeber skontaktował u kardynała z Polski, "dobrze wyćwiczonego teologicznie, z gruntu oryginalnego myślowo, wyposażonego w bogate doświadczenie życiowe jako robotnik, aktor, duszpasterz, okazjonalnie pisarz i poeta", którego uznał za "teologicznie i intelektualnie czołowego biskupa swojego kraju", "raczej pryncypialny" styl wypowiedzi: "Wygłasza on zasady, formułuje nakazy i maksymy. W obliczu światowej wspólnoty Papieżowi obce są ton gawędziarski i narracyjny. Próżno byśmy szukali w przemówieniach, których liczba przekroczyła setkę w ciągu trzech pierwszych miesięcy, elementów anegdotycznych."

W rzeczy samej język Wojtyły, chcącego prezentować coś więcej niż obiegowy wizerunek unoszącego się ponad tłumem kapłańskiego monarchy, brzmi dosyć uroczyście. Zrezygnował co prawda Jan Paweł II z używanego dawniej, watykańskiego pluralis maiestatis. Teraz już i Papież znów odzywa się w liczbie pojedynczej. Jest nie tylko przedstawicielem instytucji, uważającej się za niedostępną, ale stara się także być człowiekiem wśród ludzi.

A jednak David A. Seeber słusznie stwierdza, że "w języku tak postulatycznym jak u Jana Pawła II to ja, przy całej życzliwej uprzejmości, brzmi jeszcze dużo bardziej autorytatywnie niż dystansujące się my". Może oddziaływanie to polega na wyrazie słownym. Wciąż tak samo umotywowanym sakralnie, którego nie sposób odzielić od wysokiej godności mówcy ani od osoby tego, który dziś sprawuje ten urząd: Wojtyła zachowuje się jak ktoś, komu z urzędu przystoi głosić prawdę i nic oprócz prawdy, jak również stawiać odpowiednie wymagania moralne.

Nawet i "szczególna mieszanka" (PPN 17) tej nowej książki pełna jest tego rodzaju wyniosłych ustępów; obiecywane przez reklamę, "osobiste wspomnienia i doświadczenia, w których Papież ma "odsłonić nam przynajmniej część tajemnicy

swego serca" (PPN 33), zajmują stosunkowo niewiele miejsca; i też mają charakter pouczający. To zrozumiałe, że "teologom i egzegetom papieskiego nauczycielstwa" doradza się opracowanie "klasyfikacji" tego tekstu, który "nie ma precedensów i tym samym otwiera w Kościele nowe perspektywy". [W polskim wydaniu PPN brak tego akapitu, który powinien figurować pośrodku str. 13. Przyp. tłum.] Poczekamy, czy ci panowie zastosują się do tej rady. Dotychczasowe doświadczenia pozwalają w to raczej wątpić.

Ze względu na surowe samopoczucie się Wojtyły zwyczajne gawędziarstwo automatycznie się wyklucza: papież Jan XXIII i Jan Paweł I, którzy często i chętnie opowiadali zamiast nauczać, nie stali się wzorem dla Jana Pawła II. Obecny biskup Rzymu znów okazał się nauczycielem prawdy, nie mogącym sobie pozwalać na marginesowe dygresje. Dotyczy to, na ogół biorąc, także i najnowszej książki Wojtyły. Nawet tak zwana prywatność zawsze jest podporządkowana doktrynie i zawiera pouczające przykłady i apele do klienteli, ażeby postępowała podobnie.

W wypowiedziach Papieża, wbrew odwrotnym twierdzeniom, zawsze prześwituje to odwracające się od świata środowisko, w którym autor się porusza. Karola Wojtyłę określa styl wyobcowanego - także i językowo - otoczenia klerykalno-religijnego, które stanowią nie tylko ludzie, ale także książki i treści oraz metody nauczania. Papież z reguły nie potrafi zaczerpnąć prawie żadnych doświadczeń ze stylistyki świata, który się zsekularyzował. Choćby Wojtyła się najbardziej starał, nic z tego. On i jego ludzie stanowią odrębną wspólnotę językową. Świat przeżywają tylko na odległość. Ich mowa pozostaje dziwacznie uroczysta, wręcz liturgiczna, i to wówczas, gdy dotyczy spraw świeckich. Toteż "świat" jest wielkością, od której Papież na gwałt stara się odciąć. Namiętnie się zarzeka, że po świecie (PPN 59) nie ma co spodziewać się ocalenia.

Co prawda Jan Paweł II często szuka kontaktu z ludźmi: któż by temu zaprzeczył? Nasuwa się jednakowoż pytanie, jak mają rozumieć takie zarzekania się na przykład robotnicy rolni w Recife, do których - a nie do socjologów wsi - w 1980 roku zwrócił się następująco: "Człowiek wiejski identyfikuje się ze swą pracą, ze swoją ziemią, z której dobywa środki utrzymania dla wielu, także i w dużych miastach. Tu zapuszcza głębokie korzenie, które niezatarcie naznaczają jego istotę. Wyrwać go z tej ziemi ojczystej, sprawić, aby wywędrował na niepewne do wielkich skupisk, albo nie zapewnić mu praw do legalnego posiadania ziemi, to tyle, co

naruszyć jego prawa jako człowieka i dziecka Bożego. Oznacza to niebezpieczne zakłócenie równowagi w społeczeństwie." Treści tej zaklinającej się wypowiedzi są może i słuszne, lecz wyrażone w formie nie pasującej ani do adresata, ani do problemu. Jej brzmienie zza biurka jest rażące, bo właściwe formy wyrażania się znajdzie tylko ten, kto ma pojęcie o świecie.

To samo dotyczy zdań z nowej książki, które zacytuję tu dla przykładu: "Chrystus jest sakramentem niewidzialnego Boga. Sakrament oznacza obecność" (PPN 27). Słowa te zakładają znajomość teologii. Albo: "Trzeba spojrzeć na ogrom dobra, którym stała się tajemnica Wcielenia Słowa, a równocześnie nie przeoczać tajemnicy grzechu, która wciąż rozrasta się w świecie" (PPN 38-39). Albo: "Modlitwa za cierpiących i z cierpiącymi jest więc szczególną częścią tego wielkiego wołania, które wraz z Chrystusem zanoszą Kościół i Papież. Jest to wołanie o zwycięstwo dobra również poprzez zło..." (PPN 39).

Wychowani w zamkniętym systemie nauczania autorzy papieskich wypowiedzi jak gdyby nie uświadamiają sobie faktu, że w dzisiejszym społeczeństwie zalew słów i wyświechtanie ich działają wręcz niszczycielsko. Więć i Papież, gdy się powtarza i na domiar złego używa w kółko tych samych zwrotów przy nauczaniu prawd, zapewnia sobie małą skuteczność. Powtórki otepiają i powodują rozleniwienie w środowisku, przesyconym reklamą. Są już tylko częścią "bezustannej gadaniny" (PPN 10).

Przykład jeden z wielu: Papież Wojtyła często podkreślał, że kocha cały świat, wszystkie ludy, narody i wszystkich ludzi. Jakkolwiek brzmi to wiarygodnie dla wielu, krytyka nie obróci się przeciwko tej wszechogarniającej miłości, ale przeciw temu, że tak nieustannie o niej zapewnia. Przed odlotem do Polski w 1979 roku Jan Paweł II powiedział, że teraz "opuszcza ukochane Włochy, by odwiedzić ukochaną Polskę". Powtórzył więc dwa razy w jednym zdaniu przymiotnik, którym już raz po raz określał wszelkie możliwe kraje. Do tego doszło, że Wojtyła jakby nie może zrezygnować z tego wyrażania swej afirmacji, bo gdyby jeden raz takiej wzmianki zabrakło, wyglądałoby to jak oświadczenie, że przestał już kochać.

To samo dotyczy bardzo wymownego w istocie swej gestu, w jakim Jan Paweł II po zejściu na lotnisko całuje ziemię kraju, do którego przybywa. Jesienią 1994 roku powtórzyło się to w Chorwacji. Ponieważ jednak Wojtyła po operacji biodra ma trudności w chodzeniu, kazał sobie ziemię chorwacką podać do ucałowania na półmisku. No i dobrze. Mniej stosowny natomiast był niczym nie usprawiedliwiony



gest podnoszących mu to naczynie. Ukłękli oni przed Papieżem na ziemi. W gruncie rzeczy można by sądzić, że po tylu stuleciach całowania w stopę i klęknięcia, jakie nieludzki protokół narzucał ludziom zbliżającym się do namiestnika Chrystusa, warto wprowadzić nieco człowieczeństwa tam, gdzie w kółko prawi się o ludzkiej godności... Z tego punktu widzenia ów gest padania na kolana mocniej podziałał niż gest całowania ziemi. Na niekorzyść Papieża.

On zaś w 1980 roku w Brazylii powiedział o swym nawyku: "Stało się to nie bez wielkiego i głębokiego wzruszenia, gdy poprzednio ucałowałem dobrą i szlachetną ziemię brazylijską. Ten gest, powtórzony już trzynastą razy - tyle krajów miałem dotąd szczęście odwiedzić jako papież - wykonałem tak ciepło i spontanicznie, jakbym robił to po raz pierwszy, więc z poruszeniem ducha, jakie czuje się za pierwszym razem." O spontaniczności gestu po setnym powtórzeniu już nie ma co gadać, tym bardziej zaś o spontaniczności tekstu, jaki wygłosił. Stanowi on przykład tej kurialnej mowy przesadnego gestu, który Jan Paweł II też wyraźnie przekłada nad inne.

Także i redundancja mowy, której środki nie przekazują słuchaczowi żadnych dodatkowych informacji, a tylko potwierdzają te, które już wygłoszono, da się wykazać na cytowanym przykładzie. Tak nieduży tekst już mieści w sobie aż dwa wspomagające się zdwojenia. Wzruszenie, o którym Papież zapewnia, jest "wielkie i głębokie", a ziemia brazylijska, której ono dotyczy, jest "dobra i szlachetna".

Takie niedociągnięcia, kryjące za pompatyczną fasadą wewnętrzną niepewność, powtarzają się raz po raz w wypowiedziach Wojtyły. Mówi się jednym tchem o miłości i oddaniu, ofierze i rezygnacji, o wzniosłości i wysokości, załączku i początku, łatwości i wygodzie... i tak dalej. Rzucają się w oczy zbędne, albo nawet fałszywe przymiotniki, to niejasno pomyslane, to znów przesadne, tkliwe, nieprawdziwe czy po prostu bezmyślnie użyte: choćby Brazylia jest w tym samym zdaniu "ukochana, olbrzymia i przepiękna", rzeczywistość wiary okazuje się "cudowna, zaskakująca i pocieszająca", wiara Polaków to "żywa, pulsująca rzeczywistość", oni sami zaś stanowią gromadę przepełnioną "falującym, spokojnym, rozmodlonym wyczekiwaniem".

Czyżby w tym wielosłowniu przejawiało się odkrycie Wojtyły, że ostatecznie "wartość języka metaforycznego i symbolicznego" (PPN 45) doczekała się znów uznania?

Podobnie naciągnięte wydają się liczne superlatywy, rozsiane po

wypowiedziach Wojtyły. Zaliczają się one widać do repertuaru niepewności. Na kilku stronach z paroma wystąpieniami w Brazylii z lipca 1980 roku rzucają się w oczy kolejno: "najsłabsza wrażliwość" na świadczone mu zaszczyty, zobowiązanie Kościoła do "nieustannego" głoszenia młodym posłannictwa "najpełniejszego" wyzwolenia, i to w "absolutnej" wierności Ewangelii, "przeogromna" miłość Papieża do młodzieży, której "przenigdy nie zapomni" i do której "największą tęsknotę" zabierze ze sobą do Watykanu, jak również opis święceń kapłańskich jako "najpiękniejszej" karty w dziejach istnienia i "najwyższego" momentu w korzystaniu z wolności.

Deklaracje najwyższej, najpiękniejszej i największej całości przeciążają słuchacza i odbierają mu chęć dalszego słuchania. Nikt nie mógłby żyć bez ustanku tylko najwyższymi osiągnięciami, wysłuchując najdobitniejszych, jak to możliwe, wezwań do bezgranicznie najświetniejszego żywota. Jan Paweł II źle się przysługuje sobie i swemu urzędowi, kiedy używa tak mocnych słów jak "preferencyjny wybór", co znaczy dwa razy to samo, albo nie może się powstrzymać od określeń w rodzaju "czcigodni ojcowie" (o biskupach), dla dzisiejszego człowieka już najzupełniej pustych.

To samo dotyczy nic nie znaczących ozdobników. O Brazylii powiedział, że jest to "kraj narodzony w cieniu krzyża" i obecnie "rozgorzały w tysiącu mniej czy bardziej dopuszczalnych rodzajów namiętności", nie mówiąc o tym nic konkretnego.

Dla teologów zdanie, że "Chrystus nosi w sobie cały wewnętrzny świat Bóstwa, całą Tajemnicę Trynitarną, a zarazem tajemnicę życia w czasie i nieśmiertelności" (PPN 50 i nast.), może nie brzmi nazbyt tajemniczo, ale nie wyobrażam sobie, ażeby ten najnowszy światowy bestseller miał się zwracać wyłącznie do teologów.

Jeśli chodzi o język religijny, nie można oczywiście pomijać elementarnych wartości uczuciowych, właściwych każdej religii. Jest także zrozumiałe, kiedy Papież w swym kraju mówi o tym, że "odwiedziny papieża w Polsce to wydarzenie bez precedensu nie tylko w tym stuleciu, ale i w całym tysiącleciu chrześcijaństwa polskiego" i to "tym bardziej, że są to odwiedziny papieża Polaka, który ma święte prawo dzielić uczucia swego narodu".

Bynajmniej też nie oczekujemy wygłaszania wyłącznie suchych prawd. A szczególnie w tych krajach, których ludność uchodzi za wrażliwą na uczuciowe podejście. Wolno jednak zadać Papieżowi pytanie, czy każda okoliczność, każde

odezwanie się z pozycji wiary, każdy impuls przekazywany słuchaczom mają się przejawiać w ozdobnych epitetach lub superlatywach? "Dlaczego historia zbawienia jest tak skomplikowana?" (PPN 58). I dlaczego ten, kto pisze o niej traktat, musi dobrać tak zawiłych słów?

Intensywność przeżycia religijnego lub narodowego nie wyraża się w powtarzaniu ani w zewnętrznej formie stopniowania, tylko w powściągliwej powadze myśli i w oszczędności wyrazu. Gdzie ta "mistyczna lękliwość", którą Papieżowi przypisywał kardynał König? Czyżby padła ofiarą urzędu?

Tak czy owak trzeźwy styl wypowiedzi, będący też swego rodzaju służbą dla dzisiejszych ludzi, dotrze do Watykanu dopiero wówczas, gdy w przemówieniach i pismach Papieża przestaną się pojawiać te frazesy, trzeba tak to nazwać, ckliwego uniżenia, w których się lubuje Wojtyła: "Maryjo, jestem przy Tobie, pamiętam o Tobie i czuwam!" wyraził się Papież w 1979 roku w Częstochowie. A w Krakowie wzywał studentów, aby się okazali wierni "matce pięknej miłości", czyli Maryi, i "powierzali jej własną miłość, gdy chodzi o zakładanie młodych rodzin".

Tak samo ckliwie brzmiało w 1979 roku przemówienie do ludu rzymskiego, któremu Jan Paweł II oznajmił, że chce być także "oblubieńcem Kościoła". Albowiem "po tym, jak przez piętnaście lat byłem oblubieńcem Kościoła w Krakowie, Pan powołał mnie w wieku 58 lat na oblubieńca Rzymu. Aby się okazać wiernym małżonkiem, zacząłem odwiedzać parane. Lecz odwiedziny trwające cztery czy pięć godzin to za mało. Takie spotkania, jak to nasze tutaj, stanowią dla biskupa inny sposób okazania swej miłości oblubienicy."

Czy ten język rzeczywiście potwierdza dążenie Wojtyły do tego, aby "zawsze być otwartym na świat, na jego pytania, na jego niepokoje, na jego oczekiwania" (PPN 72)? Czy ten Papież udziela "odpowiedzi na głębokie tajemnice ludzkiej egzystencji" (PPN 73), czy też sam jego język stwarza dalsze zagadki?

Sformułowania w rodzaju przytoczonych to słownictwo podupadłe, wypłukane na brzeg resztki dawniejszej twórczości językowej, prawie że niezrozumiałe dla współczesnego człowieka. Podobnie rzecz się ma z używanymi przez Jana Pawła II określeniami w rodzaju "książę apostołski" albo "patron XX stulecia", epitetami świętych, wywodzącymi się z duchowej przeszłości, jeszcze znającej książąt i patronów. Takie tytuły wlecze się albo bezmyślnie, albo, co byłoby jeszcze gorsze, umyślnie kształtując język w ten sposób, aby przenieść w teraźniejszość feudalną tradycję. To samo dotyczy wspomnianego już posługiwania

się wyniosłą tytulaturą papieską, której "nie trzeba się lękać" (PPN 27).

Bardziej niż niedociągnięcia językowe zwraca uwagę w papieskich wypowiedziach niezdolność do konkretyzacji. Nie zastąpi jej choćby najobfitsze słownictwo. Słuchacz lub czytelnik nie może się nawet zorientować, czy Wojtyła chce go napominać, prosić, pouczać czy zobowiązać, bo wszystkie te językowe intencje często bywają pomieszane w jednej i tej samej wypowiedzi. Przeciętny adresat gubi się w założeniach, czynionych milcząco przez Papieża, kiedy ten mówi o prawdach wiary. A brak powiedzenia czegoś wprost odczuwa się zwłaszcza wtedy, gdy jest ono potrzebne.

Pod koniec dłuższego przemówienia w Belo Horizonte w 1980 roku Papież zwrócił się do obecnych kobiet: "Oby jednak dziewczęta odnalazły drogę do prawdziwego feminizmu, do prawdziwego urzeczywistnienia kobiety jako osoby ludzkiej, jako integralnej części rodziny i społeczeństwa przez świadomy udział odpowiednio do swych kobiecych właściwości!" Nic bliższego na temat tak zwanych właściwości kobiecych albo treści prawdziwego feminizmu Jan Paweł II nie zdradził. A przecież właśnie dzisiaj, gdy teorie feministyczne przynajmniej częściowo wdarły się do światów patriarchalnych, byłoby to ciekawe dla wielu kobiet i mężczyzn. Odnośne ustępy książki, na tle innych, aż nadto rozlewnych wywodów nader skromnie wypadające w objętości jednej (!) stroniczki, nie odpowiadają na te pytania.

"Cześć dla kobiety, zachwyt nad całą tajemnicą kobiecości, wreszcie oblubieńcza miłość Boga samego i Chrystusa, zawarta w Jego odkupieniu, to elementy wiary i życia Kościoła" (PPN 159). Historycznie i aktualnie twierdzenie to znowu jest bardzo podejrzane, a "zachwyt [w oryginale stupore: zdumienie. Przep. tłum.] nad tajemnicą kobiecości" chyba nie może być ostatnim słowem Papieża, który chce, aby go usłyszano w świecie, który przestał być patriarchalny. Że kobieta "w naszej cywilizacji stała się nade wszystko przedmiotem użycia" (PPN 159), to powiedzieli już lepiej - i wcześniej! - inni. Ponowne zaś odkrycie jej "geniuszu" (PPN 159) z pewnością nie Watykanowi się zawdzięcza.

Ubolewania godna jest ta ucieczka Wojtyły w ogólniki. Przypomina się wypowiedź Goethego: "Jeżeli w tych przedmiotach wdałem się w ogólnikowe rozważania, to dowód, że nie bardzo jeszcze nauczyłem się je rozumieć."

Gdyby takie nierozumienie odnosiło się również do Wojtyły, mógłby się do tego spokojnie przyznać. Byłby z tego nieporównanie większy pożytek, niż z ograniczania się do ogólników i pozostawienia ludzi w jeszcze większej bezradności,

niż dotąd. Nawet Papież nie musi znać się na wszystkim. Kto liczy na coś innego, źle mu życzy. Jednak styl wypowiedzi Jana Pawła II rzadko bywa wolny od swoistego zarozumiałstwa w sprawach wiedzy i wiary, wywodzącego się - świadomie lub nieświadomie - z pewnych tradycji urzędu papieskiego.

Tradycja ta przypisuje sobie, jak wykazał Hans Loy w piśmie Jana Pawła II na Wielki Czwartek 1980 roku, potwierdzenie jedności, wspólnoty i przynależności, drugiej zaś stronie - bliżej nie określonej - imputuje takie określenia jak niezgoda, podział, rozbieżności i nawet rozłam.

Mówi się tam o bólu i zgryzocie, jakie prawdzie przychodzi przetrwać, i o ludzkich słabościach, o niecierpliwości, niedbalstwie, wręcz o zgorszeniu, za które odpowiedzialni są ci błądzący.

Ta gra na przeciwieństwach i barierach językowych wytwarza w przemówieniach, listach pasterskich i książkach Papieża ów klimat, charakterystyczny dla całkowicie dezintegrującego się świata myśli, działania i wypowiedzi.

Jan Paweł II zdaje się ulegać przymusowi, ażeby mimo podkreślania miłującej wspólnoty ciągle rozróżniać złe i dobre, święte i świeckie. Wynika to widać z jego urzędu, że sam siebie zawsze umieszcza po słusznej stronie i wyraźnie to podkreśla. Przez wypowiedzi jego ciągnie się czerwona nić rozgraniczeń i oskarżeń. Przejawia się w tym jego lęk.

Na przykład w związku z ciągle dyskusyjną regulacją urodzeń, z powodu której jesienią 1994 roku na światowej konferencji w Kairze, zdaniem wielu delegatów, Watykan zachowywał się doprawdy gorsząco, ustawia się teologów Kościoła - w stylu przeładowanym oceniającymi epitetami - stanowczo po stronie prawdy: "Jednomyślne współdziałanie teologów w szczerym oparciu się o urząd nauczycielski, tej jedynej autentycznej instancji przewodzącej ludowi Bożemu, jest pilnie wymagane również dlatego, że zachodzi wewnętrzny związek pomiędzy katolicką nauką w tej kwestii a pojmowaniem człowieka, głoszonym przez Kościół: wątpliwości i błędy w dziedzinie małżeństwa i rodziny prowadzą do zaciemnienia całościowej prawdy o człowieku, i to w sytuacji kulturalnej, która i tak bywa dość często powikłana i pełna sprzeczności."

Że mimo sugestywnego doboru słów przez Wojtyłę wciąż jeszcze nie wszyscy ludzie są po stronie prawdziwej nauki, stanie się jasne w następnym fragmencie, który znów odróżnia prawdę od błędu i w konsekwencji odcina jedne małżeństwa od innych: "W świetle doświadczenia tak wielu par małżeńskich i osiągnięć rozmaitych

nauk humanistycznych teologia może i musi rozpracować i pogłębić antropologiczne i zarazem moralne rozróżnienie między zapobieganiem ciąży a wyborem okresu. Chodzi tu o różnicę, która jest większa i głębsza, niż się zwykle uważa, i która w końcu wiąże się z dwoma wzajemnie wykluczającymi się sposobami widzenia osoby i seksualności ludzkiej. Decyzja na rzecz rytmów naturalnych zakłada przyjęcie okresów u danej osoby, u kobiety, a tym samym dialogu, obustronnego szacunku, wzajemnej odpowiedzialności, opanowania się."

Natomiast liczni małżonkowie, praktykujący zapobieganie ciąży bez ograniczania się do dozwolonej przez Watykan metody Knausa-Ogino, "rozrywają ideały, które Boski Stwórca wpisał w naturę mężczyzny i kobiety oraz w dynamikę ich seksualnego połączenia, podporządkowują plan Boży własnej samowoli, manipulują seksualnością ludzką poniżając ją, a tym samym siebie i współmałżonka, ponieważ odbierają temu, co płciowe, charakter całkowitego oddania".

"Nie tylko w dziedzinie aborcji, ale i w dziedzinie antykoncepcji chodzi ostatecznie o prawdę o człowieku" (PPN 133), zadekretował Papież. Dlatego "trzeba rozważyć, co jest większym brzemieniem: czy prawda, nawet bardzo wymagająca, czy też pozór prawdy, stwarzający złudzenie poprawności moralnej" (PPN 133). Albowiem "droga do zbawienia jest wąska i stroma, a nie może być szeroka i wygodna", my zaś "nie mamy prawa odchodzić od tej optyki, ani jej zmieniać".

Wojtyła znów udaje się do biblijnych kamieniołomów i cytuje, w związku z nauką o zapobieganiu ciąży, nie licząc się z żadnymi wynikami egzegezy biblijnej, nie tylko Ewangelię św. Mateusza (Mat. 7, 13-14), ale i apostoła Pawła (II Tym. 4, 2-3), którego słowa "odnoszą się w całej pełni do sytuacji współczesnej" (PPN 132). W obliczu tak niedbałego posługiwania się Pismem Świętym pozostaje nam się tylko zdumiewać.

Tekst Papieża, którego treści są aż nadto znane, nie obejdzie się bez wytyczania granic. Bazuje on na werbalizacji stosunku przyjaciel-wróg. Kopie rowy i przeciąga linie demarkacyjne, wznosi mury i lubi rozgraniczenia: aż do przymiotników. Właśnie epitety pozwalają na taki wniosek. Podkreślają one z jednej strony moralność, wielkość, głębię, serdeczność, miłość, całkowitość, osobowość, nienaganność, powołanie, oddanie, siłę przekonywania, wspaniałość, rozjaśnianie i pogłębianie, a nawet Boga. Z drugiej zaś strony pokazują mrok, manipulacje, popłoch, zagrożenie, egoizm, zwątpienie, błąd, zamęt, sprzeczność i poniżenie. W ten sposób Wojtyła naraża na szwank swoją intencję, aby przedstawiać Kościół nie tylko jako

nauczyciela, lecz także jako matkę. Nadziei nie potrafię się w tej postawie dopatrzeć. Strachu zaś jak najbardziej.

Obsesji rozgraniczania u Wojtyły odpowiada - forma i treść splatają się tu ze sobą - wręcz natrętny ton wypowiedzi papieskich, przy których pomocy Jan Paweł II spodziewa się wyeliminować antynomie, które sam tak gadatliwie ustanowił. Poddaje samego siebie i swych adresatów władzy normatywnego języka, którego pouczający charakter przemaga i podporządkowuje sobie wszystko, co trąci wolnością.

Ale co rzuca się bez ustanku w oczy: że tej mieszanki norm, obyczajności, prawdy, godności, doskonałości i radykalizmu Papież nie głosi nawet z radością, czy tym bardziej z miłością. Zwracają uwagę raczej takie określenia jak: posłuszeństwo, nie poddawać się zmęczeniu, mieć dobrą wolę, nie ukrywać i decydować. I to nie raz. Nie ma w tym ani śladu nadziei.

Ponieważ gromadzi się takie mnóstwo przymusu i ciągle pojawia się jak nie reguła, to posłuszeństwo, trudno nie dopatrzeć się w tym obsesji przypominającej ów typ autorytarny, który opisał Max Horkheimer: "Charakter przywiązany do autorytetu sztywno trzyma się konwencjonalnych wartości kosztem jakichkolwiek niezależnych rozstrzygnięć moralnych... Jego myślenie jest czarno-białe. Własna grupa jest biała, a czarna ta druga, obca. Każda inność zostaje gwałtownie potępiona... Zajadle sprzeciwia się jakiegokolwiek samokrytyce, nigdy nie docieka własnych motywów, a winę zrzuca zawsze na inne osoby lub na okoliczności zewnętrzne, «naturalne» albo fizyczne... Myśli stereotypami... Podkreśla cechy niezmiennie w przeciwieństwie do określających je wpływów społecznych... Myśli w kategoriach hierarchii... Akceptuje autorytet jako taki i domaga się rygorystycznego podporządkowania... Ciągle podkreśla to, co «pozytywne» i odrzuca postawy krytyczne jako «destrukcyjne»... Przywiązuje przesadne znaczenie do ideałów czystości, porządku, nieskazitelności i tym podobnych... Przyznaje się do urzędowego optymizmu: pesymizm jest «dekadencki»... Bez ustanku troszczy się o swą pozycję społeczną." Wiara patrząca w przyszłość? Nadzieja przekraczająca progi?

Wojtyła z pewnością dobrze wie, dlaczego w jednym jedynym miejscu swej książki wręcz "kategorycznie" zastrzega się przeciwko posądzeniu o (seksualno-neurotyczną) obsesję: "Dlatego muszę powtórzyć, że kategorycznie odrzucam wszelkie oskarżenia lub podejrzenia dotyczące rzekomej «obsesji» Papieża w tej dziedzinie" (PPN 154). I równie dobrze wie, dlaczego w swoim lamencie nad "cywilizacją śmierci" oraz jej "smutną prawdą" (PPN 154) nawet się nie zająknął o tej

żałosnej, śmiertelności "kulturze", za którą przez całe stulecia odpowiedzialny był jego Kościół. Nie bez powodu przemilcza ofiary swej własnej instytucji.

Przypisywany Kościołowi przez Jana Pawła II w jego pierwszej encyklice "oręż ducha, słowa i miłości" nie wygląda humanitarnie (jeśli w ogóle broń może być humanitarna). Adresat tej wypowiedzi czuje się raczej przygnieciony miłością Wojtyły do prawdy, podkreślającą normy, niż zachęcony do samodzielnego szukania prawdy. Ciągłe powtarzanie formuły przymusu niezbyt pobudza do swobodnego angażowania się, a przenośnie z dziedziny wojskowości, którymi Wojtyła z upodobaniem się posługuje, też nie za bardzo nadają się do wzbudzania miłości.

Jeżeli Kościół ma "uobecnić w świecie Boga i Jego zbawczą miłość" (PPN 39), to na przestrzeni dwóch tysięcy lat nieszczególnie mu się to udawało. Jego historię można uznać za wszystko, tylko nie za historię samego zbawienia (PPN 55). Czy "Ewangelia jest najpełniejszym potwierdzeniem wszystkich praw człowieka" (PPN 147), należałoby dopiero udowodnić. Natomiast "czas na to, ażeby objawiła się jednocząca miłość" (PPN 121) musiałby dopiero nadejść.

Skoro już Papież chce mówić o "walce", która "toczy się między słowem Bożym a hasłami zła", jak w 1980 roku w Altötting i teraz znowu (PPN 38), powinien chyba wiedzieć, że takie agresywne kazanie na wielu działa odstręczająco, i liczyć się z tym, na jaki szwank taka wojownicza mowa naraża jego własne intencje. Ale czy w tych okolicznościach można jeszcze mówić o dialogu ze wszystkimi ludźmi?

Może Papież sam to zauważa. Przecież gdzie indziej usiłuje podtrzymać na duchu swoich słuchaczy za pomocą krzepiących powiedzonek. Jego konserwyzm, jak się rzekło, ciągle nastrojony jest optymistycznie i Jan Paweł II zna swoją powinność. Spełnianie tego zadania jednak nieszczególnie Papieżowi wychodzi, jako że głoszeniu wiecznego żywota, o którym tak często mówi, staje na przeszkodzie język, nieadekwatny do swych własnych treści. Nie lękajcie się? Tego się można zląknąć!

Jak słuchacze mają rozumieć, na przykład, sentencje w rodzaju tej, z którą Wojtyła w 1980 roku zwrócił się w Monachium do młodzieży: "Na drodze z mrocznego osamotnienia do prawdziwego człowieczeństwa Chrystus, dobry pasterz, z najgłębszą, nadążającą i nie odstępującą miłością troszczy się o każdego człowieka, zwłaszcza o młodego człowieka, który dorasta."

Czy taka wypowiedź budzi nadzieję i zaufanie? Czy choćby ociera się o prawdę, co jest podstawowym warunkiem wszelkiego nauczania?



Słuchacz może mieć co do tego wątpliwości, choćby abstrahował od nieuniknionej widać napuszonej zdania i pogodził się ze spiętrzeniem epitetów "najgłębszą, nadażającą i nie odstępującą", które odnoszą się do miłości Jezusa.

Prześwitujące w paru słowach przeciwstawienie "ciemne-jasne", różnica dzieląca osamotnienie od prawdziwego człowieczeństwa, dają do myślenia. Przypisywana Jezusowi miłość, którą darzy on każdego człowieka, ale zwłaszcza dorastających, odstręcza w znacznej mierze dlatego, że prawdę swą wyraża w cikliwym stylu, typowym dla dawniejszej mistyki Serca Jezusowego. A fakt, że w tym zdaniu, skądinąd zapadającym w pamięć, kryje się nawet werdykt dotyczący młodzieży i jej moralnych zagrożeń, nie pobudza zbytnio do nadziei.

Zresztą dopiero wtedy Wojtyłę zamurowało, kiedy jakaś młoda kobieta zagadnęła go w kościele o ucieleśnienie miłości Jezusa: o sztywne podejście Watykanu chociażby do spraw młodzieńczego seksualizmu. Jan Paweł II zamilkł wtedy i mowę mu odebrało. Dopiero po jakimś czasie kardynał, będący jego sekretarzem stanu, polecił przekazać pytającej, że Papież nie ma jej za złe (!) tego rodzaju pytań, jednak odsyła ją do niezmiennej tradycji Kościoła w tym zakresie. Nie doszło jednak w ten sposób do nawiązania kontaktu między Papieżem a ważną częścią ludzkości, jaką jest młodzież. O dialogu, który jest podstawowym założeniem mowy ludzkiej, nawet nie ma co gadać. Nic tu nie pomogą zapewnienia, że to młodzież prowadzi Papieża, a nie na odwrót (PPN 104).

Jan Paweł II dotrze tylko do nielicznych adresatów: kto jak on ucieka się do ogólników i wobec natarczywego dopytywania się rozmówcy potrafi się tylko wymigiwać, sam sobie odbiera szansę mowy. Dowodzi jedynie swojego lęku.

Jeszcze jeden epizod jako przykład. W roku 1979 Papież w Krakowie powiedział do młodzieży: "Cieszę się. Mówi się, że młodzież przechodzi kryzys, ale mnie się wydaje, że tu, na naszym spotkaniu, przejawia się niewzruszona wiara i uduchowanie. Brawo, róbcie tak dalej!"

Te zdania, które Wojtyła sformułował spontanicznie i podług wypowiedzi świadków nie zaczerpnął ich z przygotowanego rękopisu, jak zwykle oddzielają dobro od zła: z jednej strony radość ("cieszę się"), pochwała ("brawo"), zachęta ("róbcie tak dalej"), niewzruszoność, wiara i uduchowanie. A z drugiej strony - zakwestionowany bezosobowym "się", bardzo częstym u Jana Pawła II - kryzys, który człowiek "przechodzi" niby uciążliwą chorobę, jeśli z góry nie zdecydował się na tradycyjną prawdę.

Pytam, czy Papież, jako młody ksiądz nazywany ufnie "wujkiem" przez młodzież, o którą się troszczył, może sobie na dalszą metę pozwalać na takie drzeworytowe uproszczenia, nie tracąc wiarygodności u młodzieży; i nie tylko u niej?

Wojtyła przechwala się, że już za młodu interesował go człowiek "jako twórca języka" i "jako temat literacki" (PPN 149), nim zainteresował go "jako centralny temat duszpasterski". Szkoda, że nie pozostał sobie wierny. Z czasem wyrzekł się ludzkiego słowa na rzecz nauki o człowieku. Może lepiej nie tracić więcej słów "na tak bardzo bolesny temat" (PPN 156), powiada w sprawie aborcji. Wypadałoby mu poradzić, aby trzymał się tej zasady również gdzie indziej, jako że w ostatnich "latach w Kościele namnożyło się słów" (PPN 136).

Nalegania Jana Pawła II cierpią nie tylko na nadmiar słów, ale także na upraszczający i rzadko kiedy precyzyjny styl, w jakim Papież wygłasza prawdy swego Kościoła. Wojtyła również i w języku nie zdobył się na przejście od doktrynalnie zabarwionego monologu do wypowiedzi komunikatywnych. Kto go złapie za słowo, znajdzie na to setki przykładów.

Jak zawsze, tak i teraz większość jego wypowiedzi ma charakter instrukcji, defensywnego samopotwierdzenia i ton rozstrzygający, jak stwierdził dogmatyk Peter Eicher. Językowi grozi przez to niebezpieczeństwo raczej oficjalszczyzny niż wyrażania osobowości. Opinia ta pasuje też do obecnej książki, zawzięcie reklamowanej jako "osobista".

Niektórzy z adresatów Wojtyły, wszyscy stojący po właściwej stronie, uraczeni bywają pompatycznymi przypiskami, zwłaszcza jeśli chodzi o kleryków, księży, biskupów. Ale częściej Papież napomina ich do identyfikacji z jego naukami. Tylko tak można wytłumaczyć następujące słowa z którejś modlitwy: "Spraw, abyśmy ducha Twego nie obrażali... w zamiarze ukrycia własnego kapłaństwa przed ludźmi i unikania wszelkich znamion zewnętrznych."

Również i wtrącone pytanie - do Boga czy do księży? - trudno inaczej rozumieć: "Czy przystoi wbrew temu, co stwierdził niedawny Sobór Ekumeniczny i synod biskupi, nadal utrzymywać, że Kościół powinien wyrzec się tej tradycji i tego dziedzictwa?" Mowa o celibacie.

Jeżeli tym sposobem w modlitwie do Jezusa Chrystusa (!) pojawiają się sutanna, koloratka, celibat, czyli formy zewnętrzne wytworzone przez historyczny Kościół, a nie z woli Bożej narzucone, nie chodzi tu już o styl. Mamy tu do czynienia z patetycznym umoralnianiem, musztrującym pouczeniem, a nawet

bezceremonialnym zastraszaniem, co nie stanowi najlepszego przykładu modlitwy. Gdy inaczej myślących przywołuje się do porządku w formie modlitwy, nie jest to zbyt sympatyczne, jak i to, kiedy się narastające wątpliwości po prostu zbywa modlitwą: "Czy wolno nam w jakimkolwiek kryzysie wątpić o twojej miłości? O tej miłości, w której umiłowalesz Kościół i poświęciłeś się dla niego?"

Przy częstych okazjach, kiedy cytuje Pismo Święte, Jan Paweł II też nie rezygnuje z tego, co jemu właściwe. Ewangelia dochodzi do głosu jedynie w funkcji pomocniczej. Sięga się po cytaty z niej prawie wyłącznie w przypadku, kiedy któryś z jej tekstów pasuje do papieskiego toku argumentacji. Dostatecznie często słowo - zupełnie co innego znaczące w oryginale - zatyka lukę w dowodzeniu jak obłupany kamień. Robi się to metodycznie. Bez porównania rzadziej kolejność bywa odwrotna: Jan Paweł II słowa Bożego prawie nie dopuszcza do głosu. Jak gdyby nie dawał mu się prowadzić. Raczej wskazuje mu stałe i bezpieczne miejsce w swojej własnej nauce. Tym samym Ewangelia wzięta zostaje na łańcuch tradycji, watykańska tradycja zaś posługuje się Biblią niemal dowolnie. Retoryka urzędu nauczycielskiego jest nią w najlepszym razie bogato przybrana. Lecz tylko w wyjątkowych przypadkach pozwala się wywodzić z tych cytatów biblijnych.

Do przeobrażenia języka za Wojtyły tak czy owak nie doszło. To nieporozumienie, jakim są jubel i pompa, otaczające obecnego nosiciela urzędu, z pewnością nie przyczyniają się do odnowienia słowa. Zastrzeżenia co do tej postawy spotykają się raczej z odprawą ze strony niektórych zwolenników Papieża, z powoływaniem się na Ewangelię. Tak na przykład Hans Kirchner, proboszcz z Tybingi, mówił o "szerzącej się jak epidemia, beztroskiej i wręcz arogancko wygłaszanej krytyce" Jana Pawła II, wskazując na artykuł Andreasa Grubera w fachowym czasopiśmie teologicznym *Der Prediger und Katechet*. Stwierdza się w nim, że "pośród okrzyków «Hosanna!» długotrwałej niedzieli palmowej spełniło się tymczasem inne słowo, mianowicie faryzejskie: "Panie, zabroń uczniom swoim!"» (Łk. 19, 39) robić tyle hałasu".

Karol Wojtyła, kiedy w 1979 roku w Polsce tłumaczył aplauz jako wpływ Ducha Świętego, nie sprzeniewierzył się też jako papież sobie ani wymaganiom swej mowy.

Jeżeli niezmiennie ceni sobie rozmyślanie nad autentyczną prawdą, zamiłowanie to ma korzenie w jego życiu. Już jako młody teolog drukował wiersze pod pseudonimem Andrzej Jawień. Ten obrany przez Wojtyłę pseudonim ma

oczywisty podtekst: Jawień tłumaczy się jako "ujawniający prawdę".

Może się to odnosić do słów profesora, który przede wszystkim naucza. Ale pytam: czy poezja da się tak po prostu sprowadzić do wyznania prawdy - zresztą jakiej? - i do wykładu doktryny? A czy Jan Paweł II w ogóle, jak uważa Tadeusz Nowakowski, jest papieżem, który "wyszedł z poezji", można tym bardziej wątpić.

Paul K. Kurz zwrócił uwagę, że właśnie taka metafora, wynikająca z życzliwości, kryje w sobie bezkompromisowe uroszczenie. Uczy tego historia poezji. "Wyjść z poezji" znaczy też "iść w poezję", to zaś oznacza nie co innego niż "umrzeć w poezji". Poezja to sroga bogini, nie cierpiąca innych bóstw obok siebie. Kurz dochodzi do wniosku, który mógłby wyjaśnić, dlaczego język Wojtyły był i jest językiem arcykapłana, nie poety: "Nie, Karol Wojtyła nie wyszedł z poezji, przynajmniej nie z poezji żywiołowej. Poezja stanowiła dla niego możliwość, a nie konieczność. Możliwość wyrazu, nie konieczność życiową... Poezja Wojtyły nie rani, ponieważ nieuleczalne rany człowieka chyba nie są jej znane, ani te osobiste, ani te społeczne. Getto warszawskie ani piece Oświęcimia nie występują w tych wierszach...

Nie, kto wyszedł z poezji, musiał kiedyś otworzyć się dla niej ciałem i duszą. Doświadczył bólu tego otwarcia się. I doświadczył, że ten ból nie ustaje. Kto naprawdę wyszedł z poezji, trafia na marginesy społeczeństwa... Nie wywodzi się z jakiegoś «systemu». Nie może reprezentować żadnego systemu. Nie nadaje się na przodownika."

Wojtyła wyszedł z systemu nauczania. Reprezentuje go aż do swego języka włącznie. Pozostaje nauczycielem, wyposażonym w ten przywilej, że z góry wie. Jego prawda nie bywa chwiejna. Nie jest w żadnym miejscu zagrożona, jak prawda poety.

Karol Wojtyła stał się papieżem. Zawsze nadawał się na przodownika. Pozostaje "kapłanem" w rozumieniu Leszka Kołakowskiego, "strażnikiem absolutu", który "podtrzymuje kult tego, co definitywne, i tradycyjnych oczywistości".

Nie jest takim, co chodzi samopas, tym bardziej zaś nie jest błaznem, bo nie nauczył się wątpić o swoich prawdach. Z pewnością ten szczególny rodzaj miłości do prawdy też znajduje przyjaciół. Ale ja nie chciałbym się do nich zaliczać i wielu innych również. Jan Paweł II przekazuje swoją prawdę, na pewno, ale nadziei dla wielu nie przynosi. Mowa tego Papieża odstrasza. Demaskuje ona doszczętnie mówiącego.



## VIII

### ASPIRACJE A RZECZYWISTOŚĆ

Co polityka realna Wojtyły starannie rozgranicza?

"Kiedy w dniu 22 października 1978 r. wypowiadałem na Placu św. Piotra słowa: «Nie lękajcie się!», nie mogłem w całej pełni zdawać sobie sprawy z tego, jak daleko mnie i cały Kościół te słowa poprowadzą. To, co w nich było zawarte, pochodziło bardziej od Ducha Świętego... aniżeli od człowieka, który słowa te wypowiadał..." (PPN 160). Czy krytyk może to zakwestionować? Czy ma się porwać na samego Ducha Świętego?

Nowa książka Papieża ma nieocenioną przewagę nad książkami krytycznymi, nie tylko jeśli chodzi o promocję na rynku. Już w tytule mówi o nadziei. Ocieka optymizmem. Od ręki zapowiada przyszłość wiary (PPN 129 i nast.). Zapewnia to jej w rozmowie fory, których prawie nie sposób nadrobić. Wszak emocje ludzi, poszukujących rady, jeżeli już, to zmierzają w kierunku nadziei, a nie podawania jej w wątpliwość.

Krytyka znajduje się w nieporównanie trudniejszej sytuacji. Musi ona, z góry tak sugestywnie obciążona, występować z pozycji "negatywnych". Podważyć nieco przyszłość wiary, wyrażanej z poczuciem zwycięstwa, wykazać, że nadzieja Wojtyły nie przekracza żadnego progu, wyjaśnić, dlaczego istnieje niewiele powodów do optymizmu.

Papież może pozostawiać rzeczy własnemu biegowi. Jeżeli jego pozycja oceniana jest pozytywnie, Bóg mu sprzyjał. Jeżeli wiatr dmuchnie mu w oczy, nazywa sam siebie "znakiem sprzeciwu" i "prowokacją" (PPN 30). Potrafi nawet przenieść na siebie samego słowo Pańskie: "Jeśli mnie prześladowali, to i was prześladować będą" (Jan 15, 20). Właśnie tak postępuje Wojtyła (PPN 31). Posługuje się też legendą o prześladowaniu chrześcijan (PPN 51). Usuwa natomiast ze swej książki prześladowania, dokonywane przez swoich, na przykład kiedy "wiera sprawiła, że świat starożytny coraz bardziej stawał się chrześcijańskim" (PPN 51).

Ale na stałe jego nadzieja nie przetrwa. Kto jej nie uzasadni czymś lepszym, niż deklaracje, buduje na lotnym piasku. Spodziewam się, że z czasem górę wezmą nadzieje przeciwnego rodzaju. Wprawdzie budują one na kamienistym gruncie, są jednak solidnie uzasadnione.

Na razie wygląda to jeszcze inaczej. W grudniu 1993 roku pewien katolik, przyparty do muru, określił sprawującego dziś ten urząd jako jednego z najwybitniejszych papieży. Gdy następnie zadałem pytanie, którzy z innych papieży tego stulecia byli również wybitni, wyliczył wszystkich namiestników Chrystusa, jakich przeżył w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Gdyby coś nie przerwało tej wyliczanki, wymieniłby jeszcze Piusa X (bądź co bądź kanonizowanego), Benedykta XV (zwanego "papieżem pokoju") i Piusa XI ("polityka na krześle Piotrowym").

Żaden katolik nie może sobie pozwolić, choćby miał do tego powody, na nazwanie jakiegoś papieża inaczej niż "wielkim". Widocznie w XX wieku pojawiają się tylko wybitni papieże. Żadnemu z nich prosta wiara nie może przykleić etykiety "średniego" albo wręcz "małego". Kto został papieżem, musi być nader wybitny.

To nic nowego. Im bardziej kurczy się wspólnota, na im niższych poziomach osiedlają się wierni, im skromniej przedstawiają się rzeczywiste osiągnięcia kolejnego papieża, tym znakomitszym wydawać się musi sprawujący ten urząd, tym większy jest w oczach swej trzódki. Jeśli patrzeć zupełnie z dołu, góry i papieże czynią wrażenie olbrzymów.

Zakładam, że chodzi tu o fenomen katolicki, mający mniej wspólnego z oczyma i wymiarem optycznym, co z psychologią trzody. Potrzebny byłby tu nie okulista, lecz psychoterapeuta, a w niektórych wypadkach psychiatra.

Rzeczywistość wygląda inaczej, niż ci najlepsi ją sobie wyobrażają. Kto szuka przykładów moralności papieskiej w interesach, nie musi uciekać się do średniowiecza. Dostateczną ilość aktualnych dowodów znajdzie w gazecie.

"Czym jest Ewangelia? Jest wielką afirmacją świata i człowieka... Ewangelia to jest przede wszystkim radość ze stworzenia" (PPN 36). Stworzenie zaś "zostało dane człowiekowi nie jako źródło cierpienia, ale jako podstawa twórczego istnienia w świecie" (PPN 37). Heretyckie pytanie: czy dotyczy to również codziennej działalności tego jednego człowieka, będącego papieżem, w dziedzinie polityki Kościoła? Jak też on sobie poczyna ze światem i stworzeniem? Czy sprawiają mu radość? I czy nas też cieszy jego działalność? Czy jest źródłem naszego cierpienia?

Nie chcę iść za daleko, gdyż nowa książka Wojtyły domaga się przede wszystkim odpowiedzi teologicznej. Otóż teolog Herbert Rieser nazywa Wojtyłę "pragmatykiem, który już od dawna przestał interesować się prawdą, a zajmuje się wyłącznie zachowywaniem budowli nauk katolickich i opartej na nich hierarchii Kościoła". Ten pragmatyzm powoduje konsekwencje nie tylko "dogmatyczne". Ma on

też silne oddziaływanie polityczne.

Co prawda polityka nie jest teraz na pierwszej linii. Trzeba jednak, jeśli chodzi o progi ludzkiej nadziei, przypomnieć pewne detale realnej polityki Jana Pawła II. Te szczegóły wewnętrznej i międzynarodowej polityki Jana Pawła II wręcz przykładowo wspierają tezę, iż u tego Papieża między aspiracjami a rzeczywistością zionie taka przepaść, jakiej od dawna już nie bywało. Z obiecywanego "ogromu dobra" (PPN 39) niewiele daje się stwierdzić. Wojtyła ciągle się ogranicza. Prędzej już dopatrzeć się można w powszednim życiu Watykanu "tajemnicy grzechu, która wciąż się rozrasta" (PPN 39).

Politolog Arno Tausch powiedział w 1984 roku, że nigdy jeszcze w historii, od śmierci papieża Piusa XII, polityka watykańska nie służy tak wyraźnie, jak teraz, światowej władzy Zachodu. Jak i dlaczego Karol Wojtyła dostał się na "tron tronów" (jak to określa Karlheinz Deschner)? Chociaż sam Wojtyła, jak przystało, powołuje się na Ducha Świętego (PPN 160), bardziej bezpośrednio pracowały na niego CIA, Opus Dei oraz amerykańska sekcja "suwerennego Zakonu Kawalerów Maltańskich", skupiającego polityków i przemysłowców.

Nie należy zapominać i o tym, że Wojtyła przeszedł jako drugi w wyborach już w 1978 roku. Dopiero po rychłej śmierci Jana Pawła I stronnictwo jego zdołało wziąć górę. Nie omieszkał się za to odwdzińczyć: tylko po nim można się było spodziewać beatyfikacji założyciela Opus Dei.

Stany Zjednoczone też na tym nie straciły. Człowiek myślący z gruntu konserwatywnie, wyszkolony w ojczystym środowisku i niemal z natury przeciwnik reżimu panującego w Polsce, w 1979 roku jako pierwszy w ogóle papież odwiedził Biały Dom. Wychwalał przy tym "obyczajowe i duchowe wartości w życiu współczesnej Ameryki" i rozliczne przejawy altruizmu, wielkoduszności, troski o innych, o biednych, uciśnionych, potrzebujących. Rzeczywistość nie używa takiego języka. Biskupi z USA, nie chcący zamykać oczu na lokalne niedole, przygotowali w 1984 roku list pasterski, rozliczający się ze społeczną, gospodarczą i zagraniczną polityką administracji Reagana. Zbesztany w nim Prezydent tyle uzyskał w Watykanie, że pismo to ogłoszono dopiero po tym, jak w 1984 roku został ponownie wybrany. Teraz już nie mogło mu zaszkodzić: Reagan otrzymał 56% głosów katolickich, a nie 47% jak w 1980 roku.

Wojtyła zaś znowu spełnił swój obowiązek. Cóż dziwnego, że w oczach takiego znawcy jak Ronald Reagan uchodził za moralną opokę w pozbawionym zasad



świecie zachodnim? Prezydent i Papież walczyli odtąd ramię w ramię. W polityce, a nawet w dziedzinie polityki seksualnej. Dobrali się dwaj ultrakonserwatyści, pryncypjaliści, dwaj strażnicy cnoty i do tego dwaj gwiazdorzy telewizyjni. Można było wyruszyć do boju. Łączyły ich obu rozległe interesy, zwłaszcza jeśli chodzi o Amerykę Łacińską i kraje dawnego bloku wschodniego.

Minęły czasy, gdy Jan XXIII i Paweł VI prowadzili elastyczną politykę wschodnią. W obliczu potęgi Związku Radzieckiego i jego satelitów Watykan domagał się wówczas dla swoich niemal wyłącznie wolności religii. Tudzież - jak zwykle - praw ludzkich na użytek własny, nie dla wszystkich ludzi, a już na pewno nie dla jakoby błędzącej części ludzkości.

Teraz już względną gotowość do kompromisu i strategię oportunistyczną mogła znów zastąpić konfrontacja. Minał czas odwilży. Zapowiadał się triumf Kościoła, w historii zawsze prezentującego się zwycięsko, nad "bezbożnymi wrogami". Królestwo zła już chwiała się w posadach.

"Prawda o Bogu Stwórcy i o Chrystusie Odkupicielu świata jest potężną siłą inspirującą, stałą afirmacją stworzenia, stałą potrzebą jego przetwarzania i udoskonalania" (PPN 79).

Jan Paweł II wiele uczynił, aby zasłużyć sobie na pochwałę u Reagana. Kiedy w 1982 roku biskupi zagrozili krytyką strategii atomowej i chcieli zażądać rezygnacji z broni pierwszego uderzenia, kawaler maltański i były zastępca szefa CIA Vemon Walters zainterweniował u Papieża. Pod naciskiem Watykanu dokument został tak złagodzony, że amerykańskie ministerstwo spraw zagranicznych mogło przedstawić go jako poparcie biskupów dla polityki rządu. Kilku pasterzy co prawda sarkano, ale Papież przywołał ich do porządku.

Niedługo po tym, 10 stycznia 1984, wdzięczna administracja Reagana znów nawiązała pełne stosunki dyplomatyczne z Watykanem, zawieszane od 1867 roku. Pierwszym ambasadorem USA przy Stolicy Apostolskiej został stary przyjaciel Reagana i multimilioner William Wilson.

Tymczasem na Wschodzie sytuacja przedstawiała się coraz bardziej różowo. Jan Paweł II miał powód do radości. Modlitwy wiernych najwidoczniej zostały wysłuchane, a Matka Boska Częstochowska lub Dziewica z Fatimy też jakby wzięły się do roboty. Związek Radziecki się niebawem "nawróci".

Lech Wałęsa z Matką Boską w klapie, mając za sobą kler upolityczniony przez Wojtyłę, już w 1981 roku został przyjęty w Watykanie jak głowa państwa. Nigdy

jeszcze skromnego laika nie potraktowano z takimi honorami. Wojtyła najwidoczniej przewidywał, kto w Polsce zrobi karierę. I wiedział, kto się pozwoli traktować jako przednia straż katolicyzmu, wręcz jako marionetka. Przemówienia papieskie w tych czasach były jednoznaczne, mimo że pozornie pełne zastrzeżeń. Polak domagał się dla swoich "prawa do istnienia", mówił o prawie do samoobrony, wyrażał satysfakcję z powodu "pragnienia wolności i sprawiedliwości"... przy czym nie miał na myśli wszystkich ludzi. A już na pewno żadnych takich dążeń w łonie swego własnego Kościoła. Chodziło mu wyłącznie o swoją Polskę, przynajmniej o jej lepszą część. Gdybyż choć jeden biskup zdobył się na podobne słowa w Niemczech hitlerowskich, gdyby Pius XII choć raz wypowiedział się tak wyraźnie!

Jan Paweł II posłużył się też w duchu narodowym swą tajną bronią. Mianowicie beatyfikował dwóch duchownych, którzy - z bronią w ręku! - walczyli przeciw caratowi. Uczcił z niezmierną egzaltacją "bohaterski patriotyzm" ich obu, nawołując przy tej okazji Polaków "do zwycięstwa". Tak brzmiało w środku Warszawy wypowiedzenie walki. Polityka przez kanonizację? W samym tylko 1988 roku Wojtyła wyniósł na ołtarze 122 świętych i 22 błogosławionych, więcej niż wszyscy papieże tego stulecia razem wzięci. Czy ukanonizuje także prałata Józefa Tiso, który od 1939 do 1945 roku, jako prezydent sprzymierzonego z hitlerowcami państwa Słowacji, wydał nazistom 70 tysięcy Żydów? W roku 1947 Tiso powieszony został za zdradę stanu. W roku 1990 Słowacy z okazji wizyty Papieża zażądali beatyfikacji tego "męczennika" i "obrońcy chrześcijańskiej cywilizacji".

W żadnym kraju Papież nie posunął się tak daleko jak w Polsce. W nie mniej zagrożonej, zniewolonej przez potentatów i władców kapitalistycznych Ameryce Łacińskiej, gdzie nie ma co prawda dyktatur komunistycznych, lecz roi się od innych dyktatur, ani razu nie zabrzmiał ton choćby w przybliżeniu tak wojowniczy. Podczas gdy w Polsce Jan Paweł II mówił o strajkach jako przyrodzonym prawie człowieka, w Brazylii, odwiedzonej na krótko przedtem, w 68 przemówieniach, liczących łącznie 25 milionów słów, ani razu nie wypowiedział słowa "strajk". W Ameryce Łacińskiej Papież głosi ludziom raczej cierpliwość i poddanie się świętej woli Bożej. Widać na tym polega nadzieja.

Wiadomo, do czego prowadziły w historii te rzekome cnoty. W przeważających częściach Ameryki Łacińskiej lud, od stuleci milczący i ograbiany przez zdobywców i misjonarzy, ginął topiąc się w łajnie. W kościołach i klasztorach gromadzono skarby, katedry lśniły dotychczas od złota, drobni chłopcy zaś i robotnicy

rolni żyją w nędzy. Do dzisiaj szaleje ciemnota, analfabetyzm, zabobony, chroniczne niedożywienie, bezdomność.

Wojtyła niedawno temu: "Ewangelii nigdy nie wolno zaciemniać przez szczególną wrażliwość na problemy socjalne."

Przykładać się do tworzenia warunków godnych człowieka, zmniejszających ludzkie cierpienie, to mimo niezmiernego zalewu słów i obfitości kazań nie uchodzi za najbardziej palące z zadań papieskich.

Czy byłoby to zbyt wielkie wymaganie, gdyby Jan Paweł II choć raz nie poprzestał na słowach o swojej służbie dla człowieka, ale zajął się na przykład zmianami w podziale zysków swojego Kościoła? Gdyby mocniej i konkretniej wspierał działalność społeczną niż duszpasterstwo? Gdyby mniej inwestował w kolejne katechizmy, a więcej w zwalczanie nędzy? Gdyby te miliony, ciągle wsiąkające w Watykan, skierował na rzecz potrzebujących? Gdyby choć raz pomyślał mniej o dobrobycie swych wiernych niż o wszystkich biedakach tej ziemi? Czy to za duże wymaganie, aby przynajmniej raz zażądał czynów? Jeżeli jakiś kościół ma inne problemy niż te, które sam sobie upichcił, jak organizacja zbiórki, system finansowania, katechizacja dorosłych, nadzorowanie szkolnictwa, napominanie świata, są to fałszywe troski!

Rzeczywiście wygląda to na zbyt wygórowane żądania. Nic nie zrobiono. Nic się pod tym Papieżem nie robi. I nic się nie zrobi. Beznadziejny ten pan Wojtyła!

Jak i przedtem: historia Kościoła dostarcza tysiącznych przykładów ukazujących prawdę o życiu pasterzy. Biskupów i papieży jako wielkich posiadaczy ziemskich, jako książąt, jako utracjuszy. Po dzień dzisiejszy. Ubodzy przez solidarność, nie tylko głoszący innym ubóstwo, w tej grupie zawodowej nie występują. Za to najbardziej nagląco, jak tylko można, przemawia Papież o miłości bliźniego. Jak gdyby to Jezus, czy nawet chrześcijaństwo, przynieśli ją światu i zaprowadzili na ziemi. Jak gdyby ludzie nie znali ani dziejów etyki, ani w szczególności krwawej historii Kościoła.

Papież jednak nie przestaje się entuzjasmować: "Historia zbawienia wciąż na nowo staje się natchnieniem dla interpretacji dziejów ludzkości. Wielu współczesnych myślicieli, historyków, ciąży w zainteresowaniach swych również ku historii zbawienia. Jest to bowiem najbardziej pasjonujący temat" (PPN 61). I dalej: "Zgorszenie krzyża pozostaje kluczem do otwarcia wielkiej tajemnicy cierpienia, która należy tak organicznie do dziejów człowieka" (PPN 63). Wojtyła zaś ani

słowem nie wspomina o cierpiących w historii zbawienia, o tych milionach, co padły ofiarą dziejów tego nieszczęścia.

Służba dla całego człowieka, dla wszystkich ludzi? Historyczna i aktualna nieprawda. Owa duszpasterska służba, którą Wojtyła proponuje wszystkim, już dawno zdemaskowała się jako mająca określony cel. Jest ona w interesie lobby, które można altruistycznym nazwać tylko w nader ograniczonym sensie. Jeśli zbadać dokładniej myślenie i działanie tego lobby (i jego klienteli), okażą się one podejrzane. Jeżeli w związku ze swoją działalnością Papież mówi o całym człowieku, ma na myśli, jak zawsze, tylko ten wycinek człowieczeństwa, który uprzednio przykroił do swoich potrzeb i interesów.

Wojtyła przemawia, jak gdyby w ogóle nie znał nieszczęsnej historii swego Kościoła. Głędzi o tym, jak przychylna jest wykształceniu wiara chrześcijańska: i przemilcza fakt, że jeszcze w ubiegłym stuleciu procent analfabetów w państwie kościelnym był jeden z najwyższych w Europie.

Przypomina w Oświęcimiu o zagładzie Żydów: i ani słówkiem nie wspomina o jej chrześcijańskiej prehistorii, ciągnącej się przez wiele, wiele stuleci. Mówi, że "Izrael zapłacił wysoką cenę za swoje «wybranie»" (PPN 87), ale nie mówi, komu tę cenę musiał płacić przez całe stulecia...

Mówi o tym, że naszemu stuleciu przypadło trzebienie ludzi tylko za przynależność do niewłaściwej rasy. Ale roztropnie przemilcza, że jego Kościół nie musiał aż tak długo czekać, ażeby wziąć się do trzebienia ludzi za samą przynależność do niewłaściwej wiary.

Jan Paweł II kolportuje też, jako coś niemal oczywistego, łągarstwo o tym, jak Kościół w Niemczech stawiał opór. Jak gdyby pasterstwo, nie wyłączając poprzednika Piusa XII, wystąpiło kiedykolwiek czynnie przeciwko Hitlerowi, zamiast popierać (aż do kardynała von Galena włącznie!) jego wojnę zaborczą: i zmienić front dopiero pod przymusem 8 maja 1945 roku.

Papież twierdzi, że "Kościół walczy o człowieka wszędzie, pod wszelkimi rządami, na każdym kontynencie, w kręgu każdej kultury, w każdej cywilizacji". To jawne kłamstwo. W rzeczywistości walczy o siebie i swoje interesy polityczne. Tysiące dowodów z historii i z teraźniejszości przeczą tym słowom Wojtyły aż do dnia dzisiejszego.

Czy to cud, że absolutna większość młodych nie słucha tego kaznodziei? Że odwraca się, bo nauczyła się patrzeć?

A że Wojtyła "potwierdza swoje szczególne do nich przywiązanie", poświęcając im w swej nowej książce "piękne stronice" (PPN 13), tak samo nie pomoże mu w przyszłości jak natarczywe zaklinanie się, że młodzież świata jest zawsze z nim, za nim, przed nim (PPN 101-104). Kto wmówił Wojtyłę, że "Papież wszędzie jest przez tę młodzież szukany" (PPN 103), oddał mu niedźwiedzią przysługę.

Czy to przypadek, że kobiety nie chcą już słyszeć od Wojtyły o papieżu, który po dwóch tysiącleciach ściśle patriarchalnego chrześcijaństwa obwieścił, iż "godzina kobiety" wybiła wreszcie? Który w tej akurat godzinie uchyla się przed problemami kobiet? Jego wzmianka w tej książce, iż rosnący feminizm jest "reakcją na brak tej czci, jaka należy się każdej kobiecie" (PPN 159), jest w obliczu współczesnych dyskusji bodajże najlichszą wypowiedzią na ten temat w skali światowej. Kogo w tym kontekście stać tylko na frazes o "braku czci" i o "zachwycie nad tajemnicą kobiecości" (PPN 159), ten lepiej by zrobił, w ogóle się nie odzywając. Wdzięczny jestem tkwiącemu "w młodych ludziach olbrzymiemu potencjałowi dobra i twórczych możliwości" (PPN 104), że tak ogromnie wyprzedza papieski urząd nauczycielski i nie zajmuje się bzdurami w rodzaju "odradzającej się autentycznej teologii kobiety" (PPN 159). Gdyby kobiety musiały czekać na tego Papieża, byłyby jeszcze o dziesiątki lat zapóźnione. W wagonie sypialnym Watykanu, który ostatnio doczepiono do pociągu świata, podróżować mają tylko głosiciele Ewangelii jako "najpełniejszego potwierdzenia wszystkich praw człowieka" (PPN 147).

Niedawno temu Wojtyła storpedował światową konferencję w sprawie zaludnienia i zweekslował ją na kolokwium poświęcone przerywaniu ciąży i kontroli urodzeń. To uderzające, jak wiele krajów - jeszcze tym razem! - dało się na to złapać. Co prawda Chiny stwierdziły, że są ogromnie sfrustrowane i czują się jak "zakładnicy w kwestii przerywania ciąży". Linda Chaiker zaś, będąca brytyjskim ministrem do spraw popierania rozwoju, powiedziała o najzwyczajszym traceniu czasu, za co odpowiedzialna jest Stolica Apostolska.

Główne tematy, które przez dywersyjny manewr Watykanu w Kairze przepadły, bez porównania bardziej dotyczyłyby kobiet: troska o zdrowie, wykształcenie, przede wszystkim jednak zwiększenie praw kobiet. Jednakże energia konferencji odciągnięta została od tych spraw. Katolickiej stolicy patriarchatu rzeczywiste problemy kobiet w ogóle nie pasowały do koncepcji. Reymer Klüver w *Süddeutsche Zeitung* stwierdził w obliczu nieprzejednanego stanowiska Papieża w

sprawach zapobiegania ciąży, iż "ryzykuje on spowodowanie szkód o wymiarach doprawdy apokaliptycznych". W żadnym razie nie było mowy o nadziei, która by przekraczała rzeczywisty próg. Do tej nadziei Papież zmierza zgoła inaczej.

Ten papieski upór w obliczu eksplozji zaludnienia pokłada nadzieję w nauce seksualnej, która, jak pisze Rudolf Augstein w Spieglu, "nie da się zastosować ani w nowoczesnych państwach przemysłowych, ani też w krajach Afryki czy Środkowej i Południowej Ameryki". Ignorancja ta "jest prawdziwym wyzwaniem dla całej cywilizacji światowej".

Można co prawda przewidywać moment, w którym Watykan, pod rządami nowego papieża, znowu będzie zmuszony wyprzeć się swoich wzniosłych, ponadczasowych zasad. Tymczasem co roku będzie umierać 200 tysięcy kobiet, które nie uzyskały dostępu do środków antykoncepcyjnych. Podczas dziewięciu dni trwania konferencji w Kairze, według obliczeń Organizacji Narodów Zjednoczonych, w następstwie ciąży i porodu zmarło ponad 12 tysięcy kobiet. Augstein pisze: "Tym razem Kościół papieski już nie każe zabijać, tylko sam zabija."

Jan Paweł II ani słowem nie wypowiada się w tej kwestii. Na odwrót: "Prawo do życia jest dla człowieka prawem najbardziej podstawowym. A jednak pewien typ kultury współczesnej chce go [!] zanegować, zamieniając go [!] w prawo «niewygodne», którego trzeba bronić [w oryginale un diñtto «scomodo», da difendere: prawo, którego «niewygodnie» jest bronić. Przep. tłum.]. Nie ma innego, które by bardziej dotyczyło samego istnienia osoby!" (PPN 152).

Rzeczywistość " radykalnej solidarności z kobietą" (PPN 153) wygląda inaczej: Wojtyła polecił stworzyć w Kairze dywersyjny front, do którego przyłączyły się takie arcykatolickie państewka jak Honduras i Malta, ale również wrogie człowieczeństwu reżimy w rodzaju Sudanu i Libii. Po czym sprawił, że Watykan, jako jedyny uczestnik konferencji, zgodził się tylko z niektórymi częściami dokumentu końcowego. Polecił przekazać, że przewidywany plan działania nie da się zaakceptować, ponieważ mieści się w nim także "aprobata dla pozamałżeńskiej aktywności seksualnej, zwłaszcza pośród młodzieży".

Problemy z Kairu były w znacznej mierze kwestią niuansów. Co prawda nikt nie zakładał, że Watykan zainwestuje choćby złamany grosz w odpowiednie programy pomocy dla kobiet. Dla niektórych jednak była przebłyskiem nadziei dyplomatycznie powściągliwa wzmianka Timothy Wortha, delegata Stanów Zjednoczonych, że w roku 2000 na ziemi będzie żyć ponad miliard nastolatków. Czytając między

wierszami: najpóźniej wtedy Papież i tak przegra tę walkę o kobiety i młodzież.

"Czy Sobór rzeczywiście otworzył szeroko drzwi na wejście do Kościoła ludzi współczesnych, czy też raczej przyczynił się do tego, że ludzie, środowiska i społeczeństwa zaczęły od niego odchodzić?" (PPN 129). Co uczynił Jan Paweł II, dowodzi odbywające się wśród nas głosowanie sercami i nogami. Głowy już utracił.

Krażą pogłoski, jakoby Watykan, ażeby pozyskać w Kairze głosy Indonezji, zaproponował jej handel bydłem. Głos na rzecz Papieża, a za to milczenie papieskie w sprawie łamania praw człowieka na Wschodnim Timorze... Czyżby tylko pogłoska? Kto śledził uważnie politykę Watykanu w ostatnich latach, ten wie, o co tu chodzi.

Kobiety muszą być nadzwyczaj wierzące w katechizm, ażeby aprobować bez zastrzeżeń klerykalne pozorantwo i bezkrytycznie przyjmować takie pradawne ideologie w sprawach kobiecości, jak podwójna rola kobiety i papieski kult macierzyństwa. "I tutaj musimy wrócić do postaci Maryi. Zarówno postać Maryi, jak i nabożeństwo do Niej, jeśli jest przeżywane w całej pełni, staje się wielkim i twórczym natchnieniem również i na tej drodze" (PPN 159). Jeszcze powrócimy do tego.

To zrozumiałe, że ludzie, jeśli nie liczyć tych myślących fundamentalistycznie, dawno już położyli kreskę na Wojtyłę, papieżu, który nazywa "straszny" życie ludzkie w reżimach totalitarnych, lecz ani słówkiem nie zająknął o niektórych takich reżimach, nie wyłączając własnego. Na przykład ani słowa nie powiedział o trwającym aż do XIX wieku aprobowaniu niewolnictwa przez swoich poprzedników. Przez usta mu nie przeszło ani słówko na temat świadomego odmawiania przez Kościół nawet fundamentalnych praw ludzkich.

Nie ma moralności bez religii? Czy nie ma moralności z religią? Twierdzenie, jakoby moralności nie dało się uzasadnić ani przestrzegać bez podstaw religijnych, ma sens tylko wtedy, jeżeli do rozważań włączy się jej założenia i cele.

Źle się dzieje, że nawet w krajach, gdzie przyjęła się sekularyzacja, religijności nie traktuje się pod kątem widzenia jej własnych celów, lecz uważa się ją za podstawę dobrych obyczajów i odpowiednio do tego szanuje.

Reformatorzy prędzej czy później porzucają Kościół papieski. Szczycą się tym, że nie mają nic wspólnego z pasterzami, którzy siedzą w swoich katedrach i napawają się błogosławieństwem centralnego ogrzewania. Papież chętnie pozbywa się tych wichrzycieli. Ich nadzieje nie są jego nadzieją. Ich progów on nie przekracza. Ma lepsze zajęcia. Wygłasza kazania o łamaniu praw ludzkich w Ameryce Łacińskiej: lecz nie odcina się od tych, którzy tam rządzą. Generał Rios Montt w Gwatemali

cieszył się poparciem ze strony Papieża tak samo jak szef junty Pinochet w Chile i dyktator Somoza w Nikaragui. Kiedy świat reagował na ludobójstwo Somozy, Wojtyła nie odezwał się ani słówkiem. Nie omieszkał natomiast ostatnio jak najosobiściej złożyć Pinochetowi gratulacji z okazji złotego wesela...

W Brazylii Papież nazywał bezprawnie rządzących ministrów i wojskowych przedstawicielami narodu i chwalił "oficjalne stosunki przyjaźni" pomiędzy Watykanem a tym rządem, "z biegiem czasu coraz bardziej się zacieśniające". Krytykował również co prawda poczynania w dziedzinie planowania rodziny i przerywania ciąży, natomiast pary z ust nie puścił w sprawie tortur, uprawianych przez rząd. Toteż ledwie wyjechał, rząd ogłosił, że całkowicie popiera wypowiedzi znakomitego gościa. Czyżby w takich reżimach rozkwitały ideologie pełne nadziei, pasujące do koncepcji papieskiej? Z którymi można kolaborować?

Szczególnie powinno było skłonić Wojtyłę do uważnego zbadania sprawy to, co wyprawiał w Argentynie nuncjusz papieski Pio Laghi. Najwyższy rangą przedstawiciel Watykanu był jedną z głównych podpór ideologicznych wojskowego reżimu. Stał po stronie sprawców, utożsamiał ich miłość ojczyzny z miłością do Boga, przekazywał błogosławieństwo papieskie tym, których "uważam za braci". Wychwalano tych braci za to, że "wierni rozkazom swych przełożonych gotowi są nieść ofiarę swej własnej krwi". O przelewaniu cudzej krwi w drodze tortur i mordów pasterz nie wspomniał. A musiał o nich wiedzieć: któż, jeśli nie nuncjusz, ma być w takich sprawach zorientowany?

Laghi nie kiwnął palcem. Jego osobiste, bliskie stosunki z szefem junty, praktykującym katolikiem Videlą, i właściwe mu pojmowanie służby nuncjusza zapobiegły temu, aby w tak katolickim kraju uruchomić niemałą potęgę Kościoła dla przeciwstawienia się torturom i mordom. Kiedy zaś jemu i Watykanowi ziemia w Argentynie zaczęła się palić pod stopami, Papież wycofał go z pola ostrzału i uczynił swoim przedstawicielem w USA.

Jan Paweł II, mistrz rozdwójonego języka, mierzy podwójną miarą. Niewątpliwie wytwarza, jak z taśmy produkcyjnej, piękne słówka. Wypełnił nimi całą nową książkę. Ale nadzieja dla wszystkich? Także i dla Ameryki Łacińskiej? Papier jest cierpliwy.

Co działo się za urzędowania Laghiego? "Obrona naszego Boga" i wartości chrześcijańskie jako motywy ideologiczne były widać tak przekonujące, że rozumiały dla dręczycieli aż do niższych stopni służbowych włącznie. Czemuż by



nie? Katolicka Ameryka Łacińska nie przyswoiła sobie europejskiej nowożytności w sposób tak kompletny, żeby ogarnąć wszystko. Ku zadowoleniu biskupów większa część ludności żyje wyobrazeniami wiary, na jaką europejscy teologowie się nie powołują, co nie znaczy jednak, że już "unieważnionej".

Jeden przykład: przetrząsając dom, którego właściciele uprowadzono, sprawcy zniszczyli wszystko, co im wpadło pod rękę, i wreszcie nabazgrali na ścianie hasła: "Niech żyje król Chrystus!" i "Zbawienie przez Chrystusa!" Nie było w tym wynaturzenia. Kto zna obiegowe wyobrazenie "naszego Boga" i wypróbowaną "chrystologię" apostołską, nie będzie się dziwił; wszystko się zgadza.

W kwietniu 1983 argentyńska soldateska na odchodnym opublikowała dokument końcowy, mający z góry zapobiec jakiemukolwiek dochodzeniu tego, co było. Przybrano go we frazesy, zaczerpnięte z reguła języka konserwatywno-katolickiego. Na przykład brudną wojnę przeciwko inaczej myślącym określono jako skuteczną służbę dla dobra społeczeństwa. Udowodnione zbrodnie nazwano godnymi ubolewania odosobnionymi przypadkami, które jako "indywidualna sprawa sumienia podpadają pod sąd Boży i ludzką wyrozumiałość". Terrorystów zaś, którzy się ulotnili, podano za nieżyjących i nawet "przebaczone" im: "Oby znaleźli przebaczenie w jednoświatku swego dzieciństwa u Boga."

Ledwie junta upadła, zaczęto stopniowo odkrywać setki nie zidentyfikowanych zwłok, przeważnie noszące ślady tortur. Proces przeciwko sprawcom doprowadził faktycznie do uniewinnienia tych, którzy popełnili niezliczone bestialstwa. Zapadło aż pięć wyroków skazujących, w tym trzy z bardzo niskimi karami. Tortury i morderstwa pozostały niemal bez następstw. Taki efekt podziałał nader uspokajająco nie tylko na argentyńskich wojskowych, ale i na wszystkie inne reżimy kontynentu. Sprawujący władzę w Ameryce Południowej odetchnęli. Watykan się nie odezwał. Najwidoczniej Papież podzielał nadzieje oprawców.

Brazylia już w 1979 roku udzieliła amnestii setkom wskazanych po nazwisku siepaczy, którzy torturowali, i zatrzymała wielu z nich w służbie państwowej. Sprawy mogły toczyć się dalej, jak dotąd. Subkontynent, na który po II wojnie światowej uciekło mnóstwo nazistów, wciąż jeszcze chroni oprawców, żywiących szczególnie podziw dla metod Hitlera. Zresztą nazistom pomagali w tej ucieczce wysocy dostojnicy Kościoła. Watykańskie paszporty były nader poszukiwane po 1945 roku i jak najbardziej dostępne zbrodniarzom, którzy nagle okazali się ofiarami. Ze wszystkich sił pomagał im w tym Watykan, który do dzisiaj nie podpisał Karty

Narodów Zjednoczonych o prawach człowieka. Widać niektórzy z prałatów nie doszukali się w sobie od 1933 do 1945 roku, tylko dopiero potem, serca dla ludzi, którzy padli (albo i nie padli) ofiarą.

Z ust Wojtyły do dzisiaj nikt nie usłyszał ani jednej wzmianki, dającej nadzieję, że Watykan lub on sam mogliby się od tego odciąć. Ten Papież - nauczyciel wszystkich ludzi, nauczyciel całej prawdy? - doszczętnie usuwa ze swojego pola widzenia wszystko, co mu nie odpowiada. We wszystkich swoich wypowiedziach pomija te sprawy tak doszczętnie, jakby w ogóle nie istniały. Jan Paweł II, wedle własnego kazania Papież Kościoła Światowego, ma ważniejsze sprawy niż troszczyć się o takie drobnostki. Zwrócił oczy na Wschód. Tam jedynie był wróg.

Zwycięstwo odnieść mogła, Wojtyła w kółko to powtarzał, wyłącznie wiara chrześcijańska. Chrześcijaństwo, a ściślej mówiąc: jego własny Kościół, wykaże się znowu "młodzieńczą siłą" i ocali Europę Wschodnią. Pomogą w tym zaprzysięgli wierni. Przede wszystkim zaś ci wzorowi pasterze, których Papież tak niezmordowanie wychwala. Niezgodności z historią pokrywa się w miarę możliwości modlitwą albo pochwałą.

Przykład: właśnie teraz, we wrześniu 1994 roku, Wojtyła na mszy wigilijnej w Zagrzebiu chwalił chorwackiego kardynała Alojsija Stepinaca za jego wierność dla wiary. Pasterz ten został w 1946 roku skazany przez komunistyczne władze Jugosławii na 16 lat robót przymusowych za kolaborację z wiernym wobec hitlerowców reżimem Ante Pavelicia.

Wierność wobec wiary? Czy wobec katolickiego przyjaciela nazistów? Jan Paweł II nie jest tu jedyny. Już wychwalany przez niego Pius XII przesłał swoje szczególne błogosławieństwo zdeklarowanemu faszystcie i katolikowi Paveliciowi, winnemu kaźni i wymordowania setek tysięcy ludzi, gdy ten na wygnaniu w Hiszpanii spoczywał na łożu śmierci...

Kto jeszcze w 1994 roku publicznie wychwala taką kreaturę i współnika zbrodni Pavelicia jak Stepinac, musi wiedzieć, co czyni. Nie daje nadziei ofiarom i tym, którzy po nich przeżyli. Obsługuje nacjonalistyczną klientelę na koszt innych.

Rozdział 20 książki Wojtyły nosi [lecz nie w polskim wydaniu. Przyp. tłum.] tytuł: Był niegdyś komunizm. Był raz sobie... Bajka kończy się tym, że objawił się "cud", "tajemnica", "palec Boży" (PPN 106). "Chrystus mówi: «Ojciec mój działa aż do tej chwili i Ja działam» (Jan 5, 17)": tak Papież rozpoczyna swe wywody o zagładzie znieawidzonego przez siebie świata (PPN 106) i zaraz powtarza ten sam

cytat z Pisma Świętego (PPN 109). Szczerze cieszy się, że chrześcijaństwo jest także "religią Bożego działania oraz ludzkiego działania" (PPN 106).

Jeżeli działa kto inny, niż jego wierni, zwłaszcza jeśli działają wbrew interesom papieżstwa, osądza ich nadzwyczaj surowo. Potrafi na przykład powiedzieć o rewolucji francuskiej, że za swoich rządów terroru "zburzyła ołtarze poświęcone Chrystusowi, powaliła przydrożne krzyże, wprowadziła natomiast kult bogini rozumu" (PPN 56). Mało tego: gdy naród proklamował zasady wolności, równości i braterstwa, "duchowe, a w szczególności moralne dziedzictwo chrześcijaństwa zostało" przez to "wyrwane ze swego podłoża ewangelicznego". W tej aż niewiarygodnej wypowiedzi Wojtyła godnie staje w szeregu swych poprzedników, którzy w rewolucyjnie wprowadzonych wbrew papieżstwu prawach człowieka widzieli "bezsens", "obłąd", "szaleństwo". Warto przypomnieć sobie o takich przejawach myśli sprzed czasów demokracji, ilekroć Jan Paweł II gładzi o godności człowieka.

Wojtyła mówi - wie, dlaczego to czyni! - w związku z twórcami zwycięstwa nad komunizmem o "stowarzyszeniach, a także o ruchach kwitnących w Kościele" (PPN 107) i o nauce społecznej swego Kościoła, jak również o przepowiedni trojga dzieci z Fatimy (PPN 108). Wydanie, które mam przed sobą, mówi co prawda, że dzień zamachu na życie Papieża był "rocznicą pierwszego pojawienia się Fatimy" [w polskim wydaniu ta część zdania została opuszczona. Przyp. tłum.], chyba jednak nastąpiło pomieszanie: wszak czynna tam była nie muzułmańska dziewczyna imieniem Fatima, tylko Matka Boska we własnej osobie.

Ledwie nastąpił zwrot, już Papież chełpił się i natychmiast rozszerzał swe aspiracje. Tym razem mówił o całej Europie. Powinna się ona "po chrześcijańsku zjednoczyć". Ta "niezmordowana nowa ewangelizacja", nad którą się tak obszernie rozwodzi w swej książce (PPN 92-99), zatroszczy się o osiągnięcie tego celu. Wojtyła już marzy o pielgrzymkach, o "ponownym odkryciu w naszych czasach autentycznych wartości tak zwanej religijności ludowej" (PPN 98 i nast.). Czyżby chciał politycznie zmobilizować pielgrzymów, ażeby ocalić Europę? Ale jak widzi w tym kontekście przyszłość swego Kościoła? Przecież jakoby nie zalicza się on, pielgrzymki czy nie pielgrzymki, do tych religii, które podlegają "systematycznemu procesowi rozkładu" (PPN 90)?

Jak rozwiązuje wspomniany w paru linijkach konflikt między Północą a Południem? Szukając odpowiedzialnych za rozpoczęcie "walki z Bogiem" i "systematycznej eliminacji wszystkiego, co chrześcijańskie" (PPN 109)? Czy nic

więcej Papież nie ma do powiedzenia? Czyżby stał tak dalece poza nawiasem rzeczywistych problemów?

"Wciąż na nowo Kościół podejmuje zmaganie się z duchem tego świata, co nie jest niczym innym jak zmaganiem się o duszę tego świata" (PPN 96). Istnieją co prawda potężne siły przeciwne, nie wyłączając własnej "antyewangelizacji, która ma też swoje środki i swoje programy i z całą determinacją przeciwstawia się Ewangelii i ewangelizacji" (PPN 96). Ale moce zła nie zwyciężą, wykrzykuje na puszcy Wojtyła, mimo że rozporządzają, co podkreśla w wielu miejscach swej książki (np. PPN 134), ogromnymi środkami finansowymi (czego widać nie można powiedzieć o jego Kościele!). Zobaczymy. W każdym bądź razie spodziewana nowa ewangelizacja najbardziej przydałaby się samemu Watykanowi, też będącemu częścią Europy, mimo że najdrobniejszą.

Kiedy wreszcie papieże przestaną pouczać świat, zamiast zająć się własnym podwórkiem?

W polityce wewnętrznej bowiem Jan Paweł II też nie zrobił ani kroku naprzód. Na tym terenie również zadawała się wzniosłymi słowami. Przykładów nie brakuje.

Prowadzony przez byłego "marszałka podróznego" u Wojtyły, arcybiskupa Marcinkusa, bank papieski, umieszczony w jednym z najlepiej zakamuflowanych i osłoniętych rajów podatkowych świata kapitalistycznego, był po prostu skorumpowany. Nie tylko uwikłany był w skandale, które w międzyczasie wykryto, w afery, wiążące się z nazwiskami Sindona i Calvi. Pomagał też w praniu brudnych pieniędzy mafii.

Papież jeszcze na początku lat osiemdziesiątych, kiedy wyglądało, że wszystko ujdzie, wzbraniał się przed uznaniem jakichkolwiek zarządzeń, wydawanych przez włoskie sądy przeciwko Marcinkusowi. Odpowiedź Watykanu brzmiała, że w stosunkach między dwoma suwerennymi państwami należy przestrzegać etykiety. Nie powiedziano jednak tak wyraźnie, czy w przypadku kradzieży przeszło miliarda dolarów na szkodę Włoch też należy się liczyć z tylekroć ogłaszaną papieską moralnością.

Marcinkus, zaprzyjaźniony i będący na ty z gospodarczym przestępcą Calvim, miał być przez Jana Pawła II nawet wyniesiony do godności kardynała. Jedynie sprzeciw, jaki zgłosił papieski minister spraw zagranicznych Casaroli (którego nazwisko też figurowało na potwierdzonej liście wolnomularzy!) sprawił, że Wojtyła

się zreflektował. Jednak byłaby to już zbyt rażąca utrata twarzy.

W swoim bestsellerze W imię Boże David Yallop wygłasza miażdżącą opinię o Wojtył: "Pontyfikat Jana Pawła II okazał się szczęśliwym trafem dla żonglujących pieniędzmi i dla kramarskich dusz, dla lizusów i wszelakiej swoloczy, dla międzynarodowych gangsterów politycznych i finansowych." Watykan nie ośmielił się wytoczyć Yallopowi procesu o obrazę. Papież zapewne boi się, że mógłby dostać od tego dziennikarza nieodparte dowody, potwierdzające tę wypowiedź. Taki dziennikarz, jak zadający pytania Messori, jest względnie nieszkodliwy; stawia on wszystko na głowie i dzięki temu przywraca "właściwą hierarchię rzeczy" (PPN 15). Ogranicza się do pytań o Pana Boga, które dla Watykanu, jak wiadomo, są niezbyt kłopotliwe.

Inne pytania są problematyczne. Wydarzenia, które - czy to przypadek? - zbiegają się z okresem rządów Wojtyły, ujawniają na przykład, jak wąty jest płaszczyk, którym Papież się osłania. Przytoczymy tu coś typowego dla takiej działalności Jana Pawła II, jaka przez normalnych śmiertelników uważana jest za moralną dwulicowość:

W roku 1978 Wojtyła wygłasza kazanie o potrzebie ewangelizacji miasta Rzymu. Równocześnie wcale nie odcina się od kardynalskiego wikariusza Ugo Poletiego, dawno już skompromitowanego w związku z idącym w miliardy oszustwem podatkowym dotyczącym olejów mineralnych. Zatwierdza łgarza, którego prokuratura przyłapała na gorącym uczynku, na stanowisku odpowiedzialnego za duszpasterstwo w Rzymie.

Przed amerykańską konferencją biskupów Wojtyła w 1979 roku wychwala rolę pewnego biskupa w głoszeniu pełnej prawdy Ewangelii. Wygłaszając to myśli, być może, o tym, że dopiero co zainkasował on 50 tysięcy dolarów łapówki z tajnego funduszu pewnego kardynała. Ten arcybiskup Chicago, John Patrick Cody, swoiście interpretował swą służbę na rzecz człowieka i Ewangelii: zostawił po sobie w dwóch poprzednich diecezjach po 30 milionów dolarów długów, w roku 1970 uziemił dwa miliony przy spekulacjach giełdowych i z kasy kościelnej finansował sobie różowe baleciki. Ataki na swój styl życia Cody, bezkarnie cieszący się przychylnością mocarnego kolegi Wojtyły, potrafił odpiierać, gromko piętnując poczynania, wymierzone "przeciw całemu Kościołowi".

W roku 1979 w Dublinie Wojtyła oznajmia, że ludzie świeccy we wszystkich sprawach swego życia widzą w biskupach swoich ojców, przywódców, pasterzy. O

tym, że świeccy, do których się zwraca, widzą również takich biskupów jak Marcinkus i Cody, aby wymienić tylko dwóch (a ich lista jest długa), Jan Paweł II nawet się nie zająknął. A wszystko to wiedział.

W roku 1994 Watykan zmusił do ustąpienia biskupa Seszelów, ponieważ nie zgadzał się on ze stanowiskiem Watykanu na temat przerywania ciąży. Oficjalnie Papież zarzucił pasterzowi jego skłonność do pomosów i narkotyków. Że z tych samych powodów należałoby wylać cały szereg biskupów, o czym pisze Süddeutsche Zeitung, tego Wojtyła nie zauważa. Ci bowiem przynajmniej zgadzają się z jego nauką o kontroli urodzeń i przerywaniu ciąży.

Na Filipinach Papież ogłasza, iż Kościołowi potrzebne jest świadectwo celibatu, dobrowolnie przyjętego i przestrzeganego w imię Nieba. Daje on bowiem świadectwo "wymiarowi miłości, mierzonemu umiłowaniem samego Chrystusa". Wygłaszając to Wojtyła już najdokładniej wie, że pozostawi na urzędzie kardynała Cody, zgoła inaczej rozumiejącego wymiar miłości, pomimo tysięcznych protestów, składanych przez ludzi.

Jan Paweł II raz po raz nakazuje przestrzeganie nawet form zewnętrznych, na przykład pedantyczne trzymanie się przepisów liturgicznych. W ten sposób ma się strzec "prawdziwego porządku mistycznego ciała Chrystusa". Niby tak nieskazitelnie głosząc wierność i dyscyplinę, zarazem osłania finansistów, którzy popełnili milionowe defraudacje i z pełną świadomością powierza im przyszłość watykańskich finansów.

W roku 1984 w Szwajcarii Papież mówi na temat etyki w bankowości i stwierdza, że "świat wielkich finansów również jest światem ludzkim, naszym światem, dlatego musi przestrzegać naszych kryteriów moralnych". Wygłaszając to, równocześnie chroni szereg domniemanych oszustów na wielką skalę, bez wyjątku zarządzających wielkimi finansami Watykanu.

Akurat w momencie, gdy Jan Paweł II znowu chłoscze apartheid w Afryce Południowej, jego rodzimy bank przyznaje tamtejszemu rządowi kredyt wynoszący w przeliczeniu ponad 100 milionów dolarów.

W grudniu 1985 roku przy zamachach bombowych w Wiedniu i w Rzymie śmierć ponosi 20 osób. Papież jak najsurowiej potępia sprawców. Każdy wiedział, że należy ich szukać w Libii. W dwa dni po wybuchu bomby pełnomocnik banku papieskiego omawia w Tripolisie warunki milionowego kredytu dla Kadafiego.

Papież nazywa swój Kościół "biedniejszym, niż większość ludzi przypuszcza".

Ażeby dorwać się do pieniędzy tych ludzi, Watykan kupczy papieskimi błogosławieństwami, orderami, tytułami. Świadeństwo błogosławieństwa w wydaniu luksusowym kosztuje w przeliczeniu 5 tysięcy marek, ordery zależnie od klasy do 120 tysięcy marek, tytuł książęcy około 2,5 miliona marek. Dodatkowe koszta wyniesienia do stanu książęcego w Katedrze św. Piotra wynoszą jeszcze 50 tysięcy marek. Nigdy nie okazało się, aby z tych dochodów choć jeden lir przekazany był biednym. Na to Watykan nie może sobie pozwolić.

"Świat musi wiedzieć, że Afryka pogrąży się w nędzy", stwierdza Wojtyła w styczniu 1990 roku. A we wrześniu dokonuje poświęcenia bazyliki "Naszej Pani Pokoju" w rodzinnej miejscowości dyktatora Wybrzeża Kości Słoniowej. Przyjmuje przy tym w podarku tę zbytkowną budowlę wraz z otaczającym ją parkiem (trzy razy większym niż cały Watykan). Afryka w nędzy? Ta afrykańska Katedra św. Piotra pochłonęła 7 tysięcy metrów kwadratowych witraży. Mało tego: z Włoch sprowadzono 120 tysięcy metrów kwadratowych marmuru do tego kraju na pograniczu Sahelu, ażeby wybrukować triumfalną aleję dla Wojtyły. Zbudowano też pałac o 20 luksusowych pokojach specjalnie po to, aby zapewnić jeden nocleg Papieżowi i jego świcie. Katedrę oświetlało prawie 1900 reflektorów po 1100 watów każdy; na Wybrzeżu Kości Słoniowej dziewięć rodzin na dziesięć w ogóle nie ma elektryczności. Tylko co dwunasty mieszkaniec kraju jest katolikiem. To się musi zmienić, powiada Wojtyła, i rzuca hasło "afrykanizacji Kościoła", spodziewając się reewangelizacji Europy przez afrykańskich misjonarzy (PPN 96-98). Katedra czarnego dyktatora, tymczasowo w posiadaniu papieskim, jest niewątpliwie kamieniem milowym na drodze w tym kierunku.

Jan Paweł II, Papież pobożnych superlatywów, gada, lamentuje, oskarża. Do polepszenia sytuacji wszystkich ludzi jego polityka przyczynia się równie mało, jak jego kazania. Łatwiej "stać się wszystkim dla wszystkich", zajmować się "wymiarom życia każdego człowieka" (PPN 60), przyozdabiać katechizm "blaskiem prawdy" (PPN 128) i zachęcać na skalę światową do odpowiadającej temu nadziei.

## IX

### OPEROWANIE STRACHEM I NADZIEJĄ

Skąd w ofercie Papieża to rozwodnione chrześcijaństwo?

"Jest więc prawdą objawioną, że zbawienie jest tylko i wyłącznie w Chrystusie. Kościół zaś jest prostym narzędziem zbawienia, o ile jest Ciałem Chrystusa" (PPN 111).

Na jakiej podstawie opiera się ta centralna pozycja Jezusa Chrystusa? Jakie znaczenie jej przypisuje Jan Paweł II i dlaczego to robi? Na pytania te nie wystarczy odpowiedzieć po prostu, że w Kościele zachodnim wiara tradycyjnie dotyczy nie kogo innego, tylko Jezusa Chrystusa, i że Papież w żadnym wypadku nie może odstąpić od takiej tradycji czy nawet podać "objawienia" w wątpliwość.

Można przynajmniej spytać, jak Wojtyła rozkłada akcenty w swojej chrystologii. Z odpowiedzi da się między innymi wyczytać, jak Jan Paweł II rozumie swój urząd, będący jeszcze dla wielu - i naturalnie dla samego Wojtyły - tym, co należy do ziemskiego namiestnika Chrystusa (PPN 27 i nast.).

Przy analizie odnośnych wypowiedzi Jana Pawła II znów rzuca się w oczy zamiłowanie Papieża do malowania wszystkiego w barwach czarno-białych.

Jego wypowiedzi na temat Chrystusa odcinają się od tła, które jest pełne zdrożności i wręcz wyzywa Zbawiciela. To pogrążone w nędzy środowisko tworzą w pierwszej linii świat i czas, ale także ludzie, tu i teraz żyjący w trwodze, a nie mogący się zdecydować przede wszystkim na słuszną prawdę i przez to dać się wyzwolić.

"Czego nie mamy się lękać? Nie mamy się lękać prawdy o nas samych" (PPN 26). I dalej: "dlatego świat nie może być dla człowieka źródłem zbawienia" (PPN 68). Mocne to słowa i surowy wyrok. Lecz Wojtyła pławi się w tej misjonarskiej mentalności. Nie jest ona z natury charakterystyczna dla wszelkiej religii. Czy dalajlamie przyszłoby do głowy działać na rzecz swojej religii choćby w przybliżeniu tak po misjonarsku, jak czyni to Papież?

Mniejsza już o ten chwyt, że najpierw maluje się wszystko, co tylko istnieje, na czarno, ażeby własne rozwiązanie, czyli Chrystusa, ukazać w czystej i olśniewającej bieli. Przyjdzie nam uwzględnić fakt, iż papież Jan Paweł II świadomie zmierza do tego, aby wytwarzać równocześnie lęk i nadzieję. Widocznie nadzieja, którą przekazuje, za słaba jest sama przez się, aby ludzie się nią zarazili.



"Złem jeszcze bardziej radykalnym jest odrzucenie człowieka przez Boga, czyli potępienie wieczne jako konsekwencja odrzucenia Boga ze strony człowieka" (PPN 68). Potępienie wieczne? Tak jest. Nadzieja Wojtyły potrzebuje strachu: i to ją demaskuje. Nie jest bezinteresowna, niesiona ludziom bez ukrytej myśli. Diagnoza i terapia spoczywają w tych samych rękach, u nauczyciela ludzkości. Kim ten chce być, stało się od dawna jasne. Wojtyła nie przestaje co prawda gadać, jak to stara się "być człowiekiem". Ale wychodzi mu tylko rola mentora.

Stawiane przezeń na nowo, a jednak bardzo stare pytania nie znajdują się w izolacji. Wskazują na coś poza sobą, mianowicie wstecz. Staje się to jasne, jeżeli wziąć pod uwagę końcowe słowa o "epoce najgłębszych trwóg człowieka", które Jan Paweł II wypowiedział w 1979 roku w Puebli, w Meksyku. Jeśli słuchacz przyswoi sobie te słowa Papieża, łatwo przyjmie takie rozwiązanie wszystkich problemów, jakie proponuje Jan Paweł II.

Opisawszy w coraz to nowych ujęciach osamotnienie, beznadziejność, egoizm, drogi ucieczki od prawdy i trwogi bezdomnego w świecie człowieka - jak on to widzi - Papież jako wybawienie od cierpienia proponuje swój własny pogląd: "Papież, który jest świadkiem Chrystusa i szafarzem Dobrej Nowiny, jest przez to samo człowiekiem radości i człowiekiem nadziei, człowiekiem tej podstawowej animacji wartości istnienia, wartości stworzenia i nadziei życia wiecznego" (PPN 37).

Jak dalece radość kiedykolwiek była myślą przewodnią kościelnego czy papieskiego posłannictwa, uczy choćby najbardziej pobieżne spojrzenie na historię i teraźniejszość tej instytucji. Wojtyła jeszcze raz plecie bez pokrycia, mówiąc o swym własnym Kościele. Czy dotąd się nie nauczył, że ludzi już nie można traktować jak głupców? Czy właśnie usiłuje to robić, jak długo się da?

Jan Paweł II (tak brzmi jeden z najpoważniejszych zarzutów stawianych jego urzędowaniu) nie identyfikuje się z ludźmi. Nie zniża się do nich; nawet w teorii nie podziela ich trosk i kłopotów; a także ich prawdziwych nadziei. Pozostaje tam w górze, na Stolicy Apostolskiej, i przemawia na temat ludzi, na temat ich trwóg i nadziei. Brzmi to protekcjonalnie. I tak samo rzecz się ma w jego nowej książce.

"Bóg umiłował świat." Ale "dla umysłowości oświeceniowej światu nie jest potrzebna miłość Boga. Świat jest samowystarczalny" (PPN 58). I dalej: "Ten świat, jaki zastał Syn Boży stając się człowiekiem, zasługiwał na potępienie, a to z racji grzechu, który w nim zdominował dzieje człowieka, poczynając od upadku pierwszych ludzi. Ale to jest z kolei ten punkt, z którym się absolutnie nie godzi

umysłowość poświeceniowa. Nie godzi się mianowicie z rzeczywistością grzechu, w szczególności nie godzi się z grzechem pierworodnym" (PPN 59).

Warto przypominać sobie takie zdanka: świat zasługiwał na potępienie.

Miliony ludzi przed uczłowieczeniem się Chrystusa nie zasługują na nic innego, tylko na potępienie. A ci żyjący "po Oświeceniu" też nie są lepsi. Nie chcą słyszeć o grzechu, w dodatku o grzechu pierworodnym. Ich stanowiska w ogóle nie traktuje się poważnie. Ani jedno zdanie w książce nie oddaje im szacunku. Wojtyła stwierdza po prostu, że wszyscy razem potrzebują Kościoła, który przyniesie im zbawienie w Chrystusie. I znów stoi na gruncie uciechy ze swego stanu posiadania.

Papież nie ma jednak powodów, jeśli się bliżej przyjrzeć, do uciechy ani do przemądrzałej wyższości. Z antropocentrycznych teorii można po części zrezygnować. Prawdy, które głosi Wojtyła, są w nieporównanie większym stopniu skompromitowane historycznie. Tylko zawodowi ślepcy mogą widzieć historię światopoglądu kościelnego tak optymistycznie, jak ten Papież. Większość natomiast wie, co sądzić o tej historycznej babraniu. Radość, wolność, nadzieja nie są akurat szczególnie widoczne w dziejach Kościoła. Tylko że Jan Paweł II ani jednej wzmianki nie poświęca mrocznym aspektom tej historii. Beztrąsko wali na przelaj. Ukrywa złą przeszłość i teraźniejszość. Żywi się prawdami wybiórczymi, a nie "całą prawdą", na którą wciąż się zaklina.

Ta prawda zaś bardzo rzadko się konkretyzuje. Tak daleko papieska nadzieja nie sięga. Od wszelkiej konkretyzacji Papież woli pusty frazes: człowiek "został stworzony, aby w Chrystusie stawać się dla stworzeń kapłanem, prorokiem i królem" (PPN 35). Ani słowa czy w tym miejscu, czy jakimkolwiek innym w całej książce, o niszczycielskich skutkach tej teologii. Jakbyśmy nie widzieli wszyscy, do czego doprowadziła taka definicja człowieka jako "króla wszelkich stworzeń" na ziemi. Ani słowa o zniszczeniu środowiska, o rabunkowej eksploatacji przyrody, ani jednego zdania o cierpieniach zwierząt.

Czy wszystko to są problemy "kościelnej biurokracji" (PPN 14) i nic więcej? Czy środowisko naturalne, ochronę przyrody, opiekę nad zwierzętami Papież uważa za sprawy tak mało istotne, jak dziennikarz Messori, który pytania takie z góry wykluczył? Papieża, "świadka i szafarza Dobrej Nowiny... podstawowe animującego wartość stworzenia" (PPN 37) nie stać ani na jedno słowo o cierpieniu, jakie chrześcijanie ściągnęli i nadal ściągają na to właśnie stworzenie. Znaczące, bardzo znaczące są te świadome pominięcia, to nieangażowanie się Papieża, ta niemota w

obliczu najbardziej palących problemów świata.

Jan Paweł II chciałby uwolnić swych słuchaczy od dręczącej troski, w którą wtrąca ich, przedstawiając to mroczne środowisko. Wyzwolenie dokonuje się za pomocą wzmianki o tym, któremu późniejszy zainteresowany, nawet nie świadek naoczny, włożył w usta, jakoby był "drogą, prawdą i żywotem" (Jan 14, 6). Zwraca uwagę fakt, że Papież może pod koniec XX wieku cytować tego Jana, jakby rzeczywiście "ujrzał własnymi oczami" i dotykał rękoma tego, co autor Pierwszego listu św. Jana mógł przecież znać tylko ze słyszenia (PPN 53). Czy Wojtyła nie orientuje się nawet w najprostszycy wynikach badań biblijnych? Czy też musi świadomie maskować prawdę i kryć ją przed ludźmi, aby pozyskać ich dla swoich wywodów?

Ale Papież trzyma się swego tematu: Jezus Chrystus ma rozwiązać wszystkie problemy człowieka. Jest i pozostanie nawet wybawcą człowieka jako takiego. W powtarzających się bez końca zdaniach, w kółko i w kółko, wyklada Wojtyła swoją doktrynę: "wielki hymn radości... że człowiek został odkupiony przez Chrystusa... jego dusza i ciało" (PPN 54).

Z tego punktu widzenia nie dziwota, że światło prawdy Chrystusowej, mające rozświetlać mroczną teraźniejszość i wszystkie zakątki świata, roznoszone jest po wszystkich miejscach, które Papież odwiedza. Wojtyła w podróżach swoich i w nowej książce czyni się świadkiem takiej prawdy. I wzywa swych czytelników: "Nie lękajcie się być świadkami godności każdej ludzkiej osoby, od chwili poczęcia aż do śmierci" (PPN 31).

A mówi, co dla wielu zwiększa jego wiarygodność, jako rzekomo doświadczony człowiek do ludzi. Fragmenty autobiograficzne, którymi Papież się posługuje, aby wyjaśnić unikalność pozycji Jezusa Chrystusa, usprawiedliwiają też wobec siebie samego i swoich jego wybór zawodu: Karol Wojtyła parał się w młodości aktorstwem i już wtedy - jak stwierdza jego przyjaciel Mieczysław Maliński - domagał się rozumienia sztuki jako "misji, posłannictwa, powołania i kapłaństwa".

W końcu zaniedbał tę wartość, uznawszy ją za przejściową, na rzecz jakoby najwyższego powołania, choć niektórzy z jego kolegów uważali, że Karol mógłby spożytkować całe swoje zdolności tylko jako aktor, a nie jako ksiądz.

Młody Wojtyła wiedział, czego chce. Maliński interpretuje wybór dewizy Totus Tuus, całkowitego oddania się temu, co ostateczne i najwyższe, z pewnością w sensie papieskim, kiedy pisze: "Czyż nie lepiej obrać drogę uświęconego kapłaństwa,

gdzie od samego początku, z definicji, mówi się o Bogu osobistym, o Bogu wcielonym, o duchu Boga?"

Czy jednak ten wybór nie był zacieśnieniem się, jako że rozległość i ogrom świata jako takiego - a nie tylko sztuki i literatury - zredukował on nieodwołalnie i skierował na ciasne tory klerykalne? Wojtyła wytrwał w postanowieniu, że urzeczywistni w swym życiu prawdę o całym człowieku, który uznaje także religijny (a nie kościelny, tym bardziej nie rzymskokatolicki!) składnik swojej istoty. Swoje doświadczenia z Jezusem Chrystusem, wybawcą, miał przekazywać - jako ksiądz, biskup i papież - wszystkim innym ludziom (por. PPN 149). To godne szacunku. Nie musi to być jednak ostatnim słowem, ostateczną wartością życia ludzkiego. Alternatywy są niemniej zaszczytne.

Na bazie wiarygodności, jaką dała mu własna biografia, Jan Paweł II nie ustaje w wygłaszaniu światu ciągle tej samej prawdy o Jezusie Chrystusie. Papież uważa za swój obowiązek, aby nie milczeć, tylko dzielić się tym chlebem z głodnymi.

Ale kiedy bliżej się przyjrzeć, zaraz wychodzi na jaw, jak wielka rozbieżność dzieli te aspiracje od rzeczywistości. Na przykład Afryka podług Wojtyły to kontynent, na którym panuje głód. Kto by teraz nadstawił uszu i nie znał Watykanu, spodziewałby się propozycji, jak rozwiązać ten problem głodu. I od razu wali się, jak z grubej rury: ponieważ nie samym chlebem człowiek żyje, więc głód zaspokoić może jedynie Chrystus poprzez Kościół swój misjonarski (por. PPN 96). Rozwiązania przychodzą Papieżowi aż nazbyt lekko! Tak łatwo się tego nie robi, jeśli mamy go brać poważnie. Przede wszystkim należałoby wyjaśnić kilka założeń: czy rzeczywiście Afryka jest zagłodzona także w sensie duchowym? Skąd Papież to wie? Czym uzasadni to twierdzenie? I czy chodzi o całą Afrykę? Czy cały kontynent czeka na duchowo-duchowne rozwiązanie? I jakie? Czy akurat z Watykanu się wywodzące? Czy naprawdę tym rozwiązaniem jest Chrystus? Czy Mahomet? Albo któryś z innych duchowych nauczycieli tego świata?

Jan Paweł II popełnia wiecznie te same błędy: nie analizuje, tylko poucza. Jego książka nie przynosi żadnej pomocy, chyba że określone fundamentalistycznie myślenie pragnęłoby zasięgnąć rady co do tego, jak żyć w stylu encykliki. Wojtyła sam zadaje sobie odpowiednie pytania, albo pozwala, by Vittorio Messori je przykrawał na miarę, po czym na te i tylko na te pytania udziela słusznych według siebie odpowiedzi. Z premedytacją pomija większość problemów. Takie właśnie cząstkowe, nieraz powierzchowne i tylko pozorne kryteria i miary Wojtyła ciągle

wytyka w swojej książce innym ludziom i ugrupowaniom, zawsze swym światopoglądowym przeciwnikom i konkurentom.

Co się tyczy samego Chrystusa, który jest "życiem wiecznym" (Jan 3, 16): "Każde słowo tej Chrystusowej odpowiedzi w rozmowie z Nikodemem jest właściwie kamieniem obrazy dla umysłowości zrodzonej z przesłanek Oświecenia, i to nie tylko francuskiego, również angielskiego i niemieckiego" (PPN 58).

W roku 1979 w Krakowie Wojtyła tak przeciwstawiał się wszelkim zgłaszanym wątpliwościom co do jego doktryny: "Czy można odrzucić Chrystusa i wszystko to, co on wniósł do historii ludzkości? Czy można to wszystko odrzucić? Czy można zwyczajnie powiedzieć: nie? Oczywiście można. Człowiek jest wolny. Ale oto zasadnicze pytanie: czy wolno? I w którym imieniu wolno? Jaki argument rozumowy, jaką wartość woli i serca możesz przedstawić samemu sobie i bliźniemu, rodakom i narodowi, ażeby odrzucić wszystko to i odpowiedzieć «nie» na wszystko, z czym przeżyliśmy tysiąc lat?" Czy można? Czy wolno? Jako Polak i jako człowiek?

Wojtyła po mistrzowsku dobiera tu sugestywnych słów. Ale ta gra na zastraszenie jest nieuczciwa. Nie przekonuje. Każdy jednak słuchacz musi w obliczu pozornie tak nieodpartego wywodu Wojtyły najpierw zawstydzic się swej oświeconej forma mentis (postawy myślowej), gdy ogarną go wątpliwości, gdy nazbyt doskonale wyda mu się to wszystko, co przedstawia mu się jako nieodpartą doktrynę. Kiedy ogarniają go wątpliwości, czy stanąć po stronie Papieża, którego słowa w tej chwili brzmią przekonująco, czuje się parszywie. I to właśnie miał Wojtyła na celu.

Heinrich Böll nie miał lekko w środowisku tych zawsze przekonanych, gdy w 1981 roku wyraził odmienny pogląd: "Co różni pisarza, jeśli rzeczywiście nim jest ze wszystkimi błędami i potknięciami, jakie popełnia w swym zawodzie i osobiście, od oficjalnych wypowiedzi Kościoła, i również polityków, to fakt, że właściwie zawsze dostarcza on zarazem wątpliwości, w tym również wątpiąc w samego siebie i swoje środki wyrazu. Natomiast - mówiąc w uproszczeniu - publiczne wypowiedzi Kościoła, i również polityków, są w większości wypadków tak gładkie, aż włos się jeży. Nic w nich, ale to nic, nie pozostaje otwarte... Przecież w katechizmie jest odpowiedź na wszystko, nic nie ma poza tym, żadnej wątpliwości. Większe, być może, zaufanie do pisarza i także do malarza - wszak można przenieść to na sztuki plastyczne - bierze się z faktu, że dostarcza on zarazem wątpliwości i najczęściej pozostawia sprawy otwarte, nie zamyka ich, trzask, trzask i koniec, sprawa załatwiona."

Jan Paweł II inaczej widzi sprawę większego, być może, zaufania. On obsługuje wiernych. Wątpliwości traktuje jako zjawisko przejściowe i marginesowe, jako hipotezę nielicznych, którą natychmiast można pokryć rzekomą prawdą. "Człowieku, który sądzisz Boga, który każesz Mu się usprawiedliwić przed twoim trybunałem, pomyśl o sobie, czy to nie ty jesteś odpowiedzialny za śmierć Tego Skazańca (tzn. Jezusa), czy sąd nad Bogiem nie jest ostatecznie sądem nad tobą samym?" (PPN 67). I jeszcze: "To objawienie jest definitywne, można je tylko przyjąć lub odrzucić" (PPN 29).

A równocześnie ten Papież, który niewiernym, inaczej myślącym grozi sądem Bożym, wyznaje pogląd, że wszyscy ludzie jeszcze dzisiaj zgłodniali są prawdy wyzbytej wątpliwości. Ta prawda, gotowe i opłacalne rozwiązanie, a zarazem ogólna teoria tłumacząca sens ludzkiej egzystencji, według niego pochodzić może - ze stanowczo przyobiecana pomocą Boga i "wciąż młodego Chrystusa" (PPN 96) - wyłącznie od jego Kościoła.

"Człowiek zbawia się w Kościele, o ile zostaje wprowadzony w misterium Trynitarne Boga, czyli w misterium wewnętrznego życia Bożego" (PPN 112). "Jest więc prawdą objawioną, że zbawienie jest tylko i wyłącznie w Chrystusie. Kościół zaś jest prostym narzędziem zbawienia, o ile jest Ciałem Chrystusa" (PPN 111). Dalej: "Nie dostępuje jednak zbawienia, choćby był wcielony do Kościoła, ten, kto nie trwając w miłości, pozostaje wprawdzie w łonie Kościoła «ciałem», ale nie «sercem»" (PPN 113). I dalej: "Kościół katolicki cieszy się, kiedy inne wspólnoty chrześcijańskie głoszą z nim Ewangelię, chociaż wie, że pełnia środków zbawienia jemu jest powierzona" (PPN 114). Warto przypominać sobie o tej totalnej pretensji do wyłączności, ilekroć Papież proponuje dialog alternatywnym Kościołom i światopoglądom.

Zaufanie i wiarygodność zdobywa się, podług Wojtyły, dzięki - zakotwiczonej, poświadczonej i wykazanej w życiu nauczającego - pewności prawdy Chrystusowej. Głodujący, jeżeli pójdą za Papieżem, nie nasycą się wątpliwościami. Nie chcą czegoś niegotowego, połowicznego czy choćby otwartego, tylko "całej prawdy o człowieku". Tę zaś można znaleźć, co w kółko się podkreśla, tylko u Chrystusa, którego prawdziwie naucza Kościół rzymski.

Wojtyła ani razu nie potrafi uchronić się przed tym, aby nie przemawiać, trzask, trzask, łup, jak komiwojażer - i nie dojść do wniosku, porównując konkurencyjne proszki do prania, iż ten, który on sam reprezentuje, reklamuje i

sprzedaje, jest właśnie tym, który zawsze pierze najczyściej. Wątpliwości nie są dopuszczalne, porównywanie również. Komiwojażer wszystko to już załatwił. Konkurenci z wielu innych obozów wyznaniowych, religijnych czy światopoglądowych będą myśleli swoje. Czy mogą usiąść z takim człowiekiem do stołu, przyjmując jego propozycje rozmowy? I rozmawiać z Papieżem, chcącym reprezentować Kościół, który widocznie "jeden tylko może przemawiać w imieniu Chrystusa" (PPN 117)?

Wszystkie czysto ludzkie rozwiązania, jakkolwiek by się przedstawiały, pozostają cząstkowe, poucza komiwojażer. Wszystkie pozostałe prawdy są tylko półprawdami. Jedynie wyrób watykański ma szansę na rynku światopoglądów. A każdy człowiek, który by odrzucił prawdę rzeczywistości, który by - posługując się stylem Wojtyły - sam siebie uczynił miarą i wprowadził na miejsce Boga, każdy, który by mniej czy bardziej świadomie uważał, że poradzi sobie bez Boga, stwórcy świata, i bez Jezusa, zbawcy człowieka, który by zamiast szukać Boga uganiał się za bożkami, już ucieka przed zbawczą prawdą. Czy ludzie wierzą Papieżowi? Czy wiążą swe nadzieje z jego produktem? Czy gotowi są zapomnieć wszystkiego, co historycznie i współcześnie wiedzą o produkcie, który zachwala Wojtyła? Wyrzucić za burtę swój rozum, swoją wiedzę, swoje możliwości wyboru?

A co słyszać u konkurencji? Co robią ci, którzy współzawodniczą z Wojtyłą o ludzką przychylność? Jan Paweł II, jak można się było z góry spodziewać, ma gotową odpowiedź na wszystkie alternatywy. Nie ma się nad czym zastanawiać, skoro decyzja już zapadła. Kardynał Ratzinger, alter ego papieża Wojtyły, wyraził to krótko: "Co wybitne duchy rozstrzygnęły, tego już nie trzeba uzasadniać."

A sam Wojtyła: "Jesteśmy Kościołem również jako uczestnicy hierarchicznej struktury, a przede wszystkim jako uczestnicy mesjańskiej misji Chrystusa, która ma troisty charakter: prorocki, kapłański i królewski" (PNN 134). W porównaniu z tym błędną buddyzm, judaizm, islam; deprecjonuje się je bardziej czy mniej delikatnie jako religie, nie mające pełni po Chrystusowemu katolickiej (PPN 73-88). Najwidoczniej nigdy nie będą "cieszyć się absolutną pełnią prawdy" (PPN 69), o której roi Wojtyła.

Orzeczone w diagnozie Papieża ucieczka w warunkach nowoczesnego społeczeństwa, nie uznającego już monopoli na prawdę, może prowadzić do światopoglądów, wcale już nie nacechowanych rzymskim katolicyzmem. Wzajemne kontaktowanie się różnych obrazów świata tylko dopóty nie stwarzało problemów,

dopóki coraz to inne widzenie świata można było traktować jako wiarę cudzoziemców, w sumie nieciekawą i niegroźną. Odkąd jednak wytworzyły się uniwersalistyczne obrazy świata, które ukształtowały jednolite pojęcie ludzkości i swoimi własnymi aspiracjami do prawdy objęły całą ludzkość, narodziła się potrzeba dyskusji nad jednolitością własnego obrazu świata. Jeżeli konkurencyjnej wykładni się nie przeciwstawiać, własna obrasta w wątpliwości.

Tak więc jeden światopogląd przyznaje negatywny status drugiemu i ocenia jego system interpretacji jako półprawdy. Albo wyraża odchylenie w kategoriach własnego obrazu świata, aby je uzasadnić jako element zawsze w nim obecny i nie popadający z nim w żadną sprzeczność.

Papież Wojtyła uderzająco często wygłasza przestrogi wobec wartości nieostatecznych. Cierpią one jakoby na to, że nie wyrażają całej prawdy o człowieku, lecz zatrzymują się w pół drogi i przeciwstawiają się po części indyferentnie, po części wrogo temu Kościołowi, który jest w stanie nakreślić i urzeczywistnić całkowicie prawdziwy obraz człowieka.

Jan Paweł II przypisuje na przykład własną winę "kościółom i wspólnotom, które wyszły z Reformacji" (PPN 118). Różnice dzielące je od katolicyzmu "sięgają daleko głębiej, gdyż dokonano się tutaj naruszenie pewnych podstawowych elementów Chrystusowego ustanowienia", niż choćby w przypadku kościołów prawosławnych. Mocno to powiedziane: protestantom zarzuca się wyraźnie, iż naruszył fundamentalne, przez samego Chrystusa ustanowione znamiona Kościoła i wiary. Zakładam, że Papież ma między innymi na myśli swój własny urząd.

Podkreślanie dystynkcji znaczeniowych, jakie przeprowadza Jan Paweł II, świadczy o postawie nadzwyczaj defensywnej. Jest ona objawem bardzo trwoźnie przeżywanego zagrożenia własnego systemu, operującego przeważnie (zbawiennymi) dobrami niematerialnymi, przez konkurencyjne światy znaczeń konkurencyjnych. Podkreślanie to nie przekracza progu nadziei. Pozostaje uwikłane w lęk. Papież przekazuje dalej ten lęk, a nie nadzieję.

Prądom i systemom, o które Papież nie dba, człowiek musi dla własnego dobra sam się przeciwstawiać, bo "straszny jest obraz życia w ustrojach totalitarnych, gdzie człowieka ograbiono z podstawowego celu jego egzystencji, bycia człowiekiem: ze swobody własnej oceny i własnego działania". W jakiej mierze Papież sam siebie osądza? Pozostawiam to nie rozstrzygnięte. Zdania jego łatwo byłoby odnieść do Kościoła. Nie całkiem bezpodstawne jest podejrzenie, że stanowi on ustrój



zbudowany totalitarnie i po dyktatorsku...

Oceny tej, zdaniem wielu, nie da się przenieść na uwielbianego przez Wojtyłę Jezusa z Nazaretu. Jezus jako myśliciel totalitarny? Prorok opętany władzą? Chyba nie. Gdzie indziej zająłem się dokładniej osobą Jezusa. Tu daruję sobie pytanie, jak dalece wybroniłby się on w odniesieniu do słów, przypisywanych mu w Ewangeliach. Do samego "Jezusa", jakim go kształtowano od początku do dnia dzisiejszego, należałoby podchodzić nader sceptycznie: ponieważ o nim samym przekazano tyle co nic, musiał od początku służyć za pewnego rodzaju wieszak, na którym dało się zawieszać najróżniejsze rzeczy, jakie były w czyimś interesie. Jan Paweł II umiejętnie włącza się do szeregu tych zainteresowanych. Jego "Jezus Chrystus" jest odpowiednio przykrojony. Pasuje wręcz idealnie do stanu interesów Watykanu. Chrystus tego Papieża, jako żywo nie "cały", wspiera tylko określony rodzaj nadziei. Jest ona zawężona do spraw kościelnych i politycznych. Odpędza szczególnego pokroju trwogi.

Jeden przykład: Syn Człowieczy jest według Jana Pawła II wszystkim, tylko nie "politykiem, rewolucjonistą i wywrotowcem z Nazaretu", jak oznajmił Papież w 1979 roku w Puebli. Istnieje wprawdzie niebezpieczeństwo, że ktoś zechce z Syna Bożego zrobić buntownika i heretyka, który przewodzi walce, jednak nie jest to poważne zagrożenie w skali światowej. Zniekształcenia postaci i prawdy Nazarejczyka pojawiają się co najwyżej u niektórych teologów Ameryki Łacińskiej. Ale te Watykan, jak wiadomo, potrafi zdyscyplinować. Papież wnioskuje z tego, że rewolucyjny Chrystus nie jest źródłem nadziei.

Innym ciągle zdarza się to widzieć inaczej. Wojtyła interpretuje Chrystusa jako uwznioślający, darzący błogosławieństwem element przede wszystkim kultury zachodniej. "Chrystologia Nowego Testamentu jest zdumiewająca" [w oryginale *dirompente*: może raczej "przełomowa". Przyp. tłum.] (PPN 53), powiada Papież. Ale przełom ten następuje po linii watykańskiej... albo wcale.

Wojtyła dobywa z orzeczonego przez siebie kryzysu ludzkości swoją doktrynalną energię, by przeprowadzać zadanie Kościoła, rozumiane jako prawo do całej ludzkości. W tym też uwidacznia się jego z gruntu konserwatywna mentalność.

Na bazie ciągłego dodawania sobie odwagi Papież zabiera się do nakreślenia form i treści nowego-starego życia w Chrystusie, z których pomocą chrześcijanie mieliby rozświetlać mroki swojego bezbożnego otoczenia. Mrok chrześcijańskiej przeszłości w praktyce się nie pojawia. Natomiast jeszcze raz przeprowadza się

rozdzielenie dobra i zła w sensie konserwatywnym: świat i jego ideologie są w błędzie, Kościół rzymski i jego prawda są po słusznej stronie, wierni chrześcijanie zaś mają tylko jedno zadanie: rządzić według tego swój świat. Wspomniałem, jak to przeobrażenie świata w szczegółach powiodło się Wojtyśle już w Watykanie. Wprawdzie to bezkrwista oferta pod względem chrystologicznym, jak i eklezjologicznym. Ale tylko taka utrzyma się w katalogu Wojtyły. Wszystko, cokolwiek by się dalej posuwało, jego strach już z góry odrzuci.

Gdyby go nie złapać za słowo, Papież mógłby, mając za plecami swego Chrystusa, występować na przykład jako nauczyciel w zakresie praw ludzkich i wygłaszać kazania o wolności, sumieniu, godności człowieka. Ale czy rzeczywiście może? Ażeby ktoś mu nie wypomniał, jak to było i jest z prawami ludzkimi w Kościele? Ażeby ktoś mu nie powiedział, że prawa ludzkie trzeba było przeprowadzać wbrew stanowczemu oporowi jego poprzedników; żeby mu nie podetknięto pod nos odpowiednich dokumentów poprzednich papieży, którzy potępiali te same prawa, w imię których on teraz głosi nadzieję, jako szaleństwo i bluźnierstwo; żeby go ktoś nie upomniał, iż lepiej byłoby trzymać się prawdy i zatroszczyć się najpierw we własnej organizacji o ważne i podstawowe prawa człowieka, na przykład o wolność przekonań i wolność nauki.

Większość ludzi nie jest już tak naiwna, jak to zakłada Wojtyła, gdy pisze książki. Papieżowi powinien dać do myślenia chociażby fakt, że ostatnio 89% Francuzów zadeklarowało, iż niepotrzebna jest im żadna religia, aby żyć odpowiedzialnie pod względem etycznym.

Skąd mają ludzie brać nadzieję, skoro ich kaznodzieja niewątpliwie nie stwarza po temu lepszych podstaw i świadomie każe swej trzodzie dreptać daleko z tym za tym, co współczesność już osiągnęła w zakresie świadomości praw ludzkich? Czy Papież chce najcięższe zaniedbania swych poprzedników i swoje własne zwalić na "całego Jezusa Chrystusa"? Jakby to Chrystus był odpowiedzialny za to, że w Kościele katolickim przestrzega się uderzająco niewielu praw ludzkich, nie mówiąc już o demokracji?

A może Wojtyła tylko tak gada, nadzwyczaj wybiórczo traktując historię i teraźniejszość swego Kościoła? Tak sobie, za cenę skrótów w posłannictwie Chrystusa? Czyżby więc oferta nadziei Jana Pawła II była oszukańczym opakowaniem i niczym więcej? Czyżby na jego produkcie widniała fałszywa etykieta? Na to oko

Jan Paweł II jest ślepy. Cofnięcie się we własne proprium, w Chrystusowe

misterium, ustrzec ma jego Kościół przed niepohamowanym zagubieniem się w świecie. Kościół ten nie potrzebuje obcych światopoglądów, gdyż jego własne objawienie zawiera całą prawdę o człowieku (PPN 29, 53 i nast.). Uzupełnianie własnego stanowiska nie wchodzi w grę. Prawda Chrystusowa, przekazywana i nauczana bez skrótów, wystarczy, aby rozwiązać wszystkie problemy ludzkie i wybawić cały świat. Uwaga! Im częściej Papież rezerwuje dla własnej prawdy określenia "cała" i "nie skrócona", tym bardziej odczuwa konieczność deprecjonowania swych konkurentów na światowym rynku prawd. Ma to odwracać uwagę od własnej słabości, nie przedstawia bowiem dowodów, które zachowałyby ważność poza jego własną doktryną, na powtarzane ciągle twierdzenie, że tylko jego Kościół jest posiadaczem całej prawdy. Gdyby miał choć trochę pojęcia o nowoczesnej teorii nauk, zamiast o przedpotopowej teologii, wiedziałby, że argumenty muszą przedstawiać nie ci, którzy kwestionują, tylko ci, którzy coś twierdzą.

Tymczasem on potwierdza swoją rzekomą siłę. Jego zdaniem nie można zrezygnować z troskliwego zachowywania prawdy i chronienia jej przed świeckimi wpływami. Mowy być nie może o adaptacji czy przyswajaniu. Pasterze jako strażnicy przekazanej nauki wzywani są do tego, aby pozostawali wierni swojemu - wciąż uznawanemu za apolityczne! - powołaniu i ludowi dawali przykład wiary, lecz nie jakiegokolwiek aktywności politycznej. Te samopotwierdzenia uważam nie tylko za oznakę słabości. Są one także naiwne. Ignorują pytania, które stawia rosnąca liczba ludzi. Parę z nich wymienię.

Wcześniejsze przyswojenia? Adaptacja Kościoła do minionych epok i ducha ich czasów? Czy na przykład hierarchiczna organizacja Kościoła spadła z nieba? Czy nie została szczegółowo dopasowana do bizantyjskich i średniowiecznych wyobrażeń i form sprawowania władzy? Czy stworzyli ją aniołowie, czy po prostu łapczywi na władzę szubrawcy? Czy obecnie pasterzom trzeba zabronić działalności politycznej, chociaż nie klóciła się ona z koncepcją przez lat niemalże dwa tysiące? A cóż wobec tego z polityczną działalnością Papieża? Czy to, co działo się w Watykanie od kilku stuleci, a nawet w ostatnich latach, jest zgodne z aspiracjami naszego kaznodziei, aby stanowiło przykład dla ludu? Przykład wiary Chrystusowej? Przekraczającej próg nadziei dla wszystkich ludzi? A to przykrojenie Chrystusa, pasujące tylko do katolicyzmu? Usuwające poza nawias i potępiające jako półprawdy wszystko, co wybiega na teren niekatolicki, niewyznaniowy, niereligijny (PPN 68-91)?

W każdym miejscu, gdzie ludzie się dopytują, budowla nauk Wojtyły się kruszy. Budowanie nadziei na tak chwiejnej podstawie jest samobójcze. Próba zaś opierania nadziei ludzkiej na takich fundamentach jest nieuczciwa. A co z tą rzekomą pomocą w życiu, którą Wojtyła oferuje? Co on właściwie ma do zaproponowania w życiu codziennym jako podstawę wiary? Jak przedstawiają się konkretnie jego propozycje?

W sprawach ekumenicznych Jan Paweł II radzi głównie "wiele się modlić" (PPN 119). Twierdzi co prawda, że jego Kościół przyswoił sobie myśl o jedności w wierze "z entuzjazmem" i że jest ona dzień w dzień "bardzo gruntownie realizowana" (PPN 120). Kto zna sprawy dnia powszedniego, uzna to za nieprawdę.

Papież umacnia swoich wiernych w przestrzeganiu szczególnie, i wyłącznie, konwencjonalnych form pobożności. Na przykład takich jak indywidualna spowiedź, jak odmawianie różańca. Kiedy spogląda w przyszłość, stawia na pielgrzymki i podróże pielgrzymujące (PPN 98 i nast.). "Ponowne odkrycie autentycznych wartości tak zwanej religijności ludowej" jest co prawda ubożuchną bazą dla przyszłości młodzieży i świata. Wojtyła wyczuwa to, kiedy mówi, że Kościół nie potrzebuje nastawiać się na "łatwe sukcesy" (PPN 90).

Nawet i wzmożone budowanie kościołów ma swoje dziedziczne miejsce w zawężonym, papieskim widzeniu świata. W roku 1980 w Brazylii Jan Paweł II wyświęcił w samym środku najgorszych slumsów kosztowną kaplicę, za którą można było zbudować co najmniej pięćset mieszkań dla biednych. Jeszcze raz przypomnijmy sobie w tym kontekście afrykańską Katedrę św. Piotra, którą Wojtyła przyjął w podarku: jedną z utrwalonych w kamieniu haniebnych plam jego pontyfikatu. Nadzieja dla wszystkich? Droga wiodąca w następne tysiąclecie?

Papież dobrze wie, dlaczego musi wskazywać na potrzebę prawdziwej katechezy. Co o tym konkretnie sądzić, aż nadto pokazał jego światowy katechizm. Wprawdzie upłynął rok z okładem i dzieło to jest już niemalże zapomniane, mimo że Papież wręcz zaklina się na coś odwrotnego (PPN 128). Wobec tradycyjnych form i argumentów kościelnej religijności napomknięcia Wojtyły o nowym - czy też zorientowanym po Chrystusowemu? - stylu życia wyglądają bardzo rachitycznie. Cierpią na galopujące suchoty.

Choćby na temat pracy ludzkiej Jan Paweł II nie przytacza właściwie ani słowa Pańskiego; jego nowa książka w ogóle nie wspomina o tej kwestii. Przecież i Jezus z Nazaretu na ten temat wiele nie powiedział. Syn robotnika nie odwoływał się

do własnego doświadczenia. Praca nie była tematem dla Jezusa. Na odwrót. Także i w tym względzie Nazarejczyka cechowała raczej nonszalancka bez troska: "Ptaki niebieskie nie sieją ani zna, a Ojciec niebieski żywi je" (Mat. 6, 26).

Tym wymowniej argumentował w 1981 roku Wojtyła w encyklice na ten temat. Na stu stronach z okładem (których zapewne nie przeczytał ani jeden robotnik) rozprawiał o pracy. Przy tym jego program brzmiał: "owszem... ale". Na przykład wypowiedział się za strajkiem, ale tylko ograniczonym. Uznał związki zawodowe, ale nie chciał widzieć w nich partii politycznej. Do tego Wojtyła by się nie posunął. Jeszcze podaje się za tego, co ratuje świat, a nie za dziedzica nieszczęsnej przeszłości, która na przykład okaleczyła duchowo Europę, jak żadna inna wspólnota światopoglądowa. Jeszcze wypowiada się Papież, jak w 1991 roku w Częstochowie, o nauce społecznej swego Kościoła jako programie budowy "cywilizacji miłości". Jeszcze broni tej historycznej biedy w swej książce (PPN 108 i nast.). Jeszcze chce zobowiązać młodzież Europy w "historycznej walce dobra ze złem" do przestrzegania tradycyjnych wartości (PPN 100 i nast.). Jeszcze proponuje swoją "nową ewangelizację" jako namiastkę ideologii (PPN 129-131). Czy jego nadzieja ma jakieś podstawy?

O "nauce społecznej" Kościoła nie będę się tu wypowiadał. Była nie czym innym, tylko reakcją na cudze przewidywania; sam Wojtyła musiał to przyznać (PPN 108 i nast.). I nie przyniosła, na przykład w Ameryce Łacińskiej, na tym "katolickim kontynencie", w praktyce żadnych efektów. Ta encyklika Wojtyły przemilczała też problem eksploatacji naszej planety przez państwa przemysłowe XX wieku, natomiast powołała się z aprobatą na formułę "uczynicie sobie ziemię poddaną", która zakreśliła w postawę myślową "panowania nad ziemią" (PPN 34, 38). Pamiętajmy, że było to zaledwie parę lat temu. W międzyczasie aktywni byli także inni, którzy już myśleli i działali, kiedy Wojtyła jeszcze milczał. Tymczasem już i Papież odkrył istnienie środowiska naturalnego. Nikogo w tym nie wyprzedził, tak samo jak w sprawie zagrożenia atomowego, o którym jego książka w ogóle (!) nie wspomina. Jeszcze w 1982 roku Jan Paweł II wobec Organizacji Narodów Zjednoczonych występował w obronie zbrojeń atomowych jako moralnych: w czasach, gdy dzielna i przewidująca młodzież już dawno wyszła w świecie na ulice, aby położyć kres obłudowi zbrojeń. I od niego ma przyjść nadzieja dla świata?

Za mało znany jako krytyk religii Mark Twain opisuje tę zasadę: "Kiedy nauka pokona chorobę, która czyniła dzieło Boże, dziękuje się za to Bogu i ze wszystkich

ambon rozbrzmiewa chwała jego dobroci. Tak, to on, on tego dokonał. Może tylko czekał z tym tysiąc lat. I to jeszcze nic: kaznodzieje zapewniają, że przez cały czas o tym rozmyślał. Kiedy wzburzone masy powstaną, obalą tyrana i wyzwolą naród, natchniony kapłan przede wszystkim pochwali to jako dzieło Boga i napomni, aby naród dziękował mu za to na kolanach... Zapominają przy tym, że Bóg najpowolniej w całym wszechświecie przejawia swą potęgę i że oko jego, które nigdy nie śpi, słusznie to robi, gdyż potrzeba mu stulecia, by dojrzeć to, co każdy inny wypatrzy w tydzień; że nie ma w historii świata przykładu, aby dostrzegł jakiś szlachetny czyn jako pierwszy, ale zawsze go zauważa dopiero wówczas, kiedy już ktoś inny go dostrzegł i zadziałał. Wtedy on wyciąga rękę i zgarnia swój udział."

Katolicki dziennikarz Franz Alt ostro wtedy skrytykował Papieża: "My, ludzie dzisiejsi, nie potrzebujemy zachęty do panowania nad przyrodą, tylko do jej chronienia. Szkoda, że Papież przeoczył «błogosławieństwo łagodnych» z Nowego Testamentu." Przeoczył? Wojtyła wykluczył to, co mu z Nowego Testamentu nie pasowało do kierującej się interesami argumentacji. Cały Chrystus? Cały człowiek? Cała ziemia?

Tak się to w zawężeniu toczy, gdziekolwiek Papież zabiera głos i działa. Jeżeli go złapać za słowo, Jan Paweł II oparł swoją encyklikę o pracy na europocentrycznie zawężonym pojęciu pracy, w żadnym razie nie odnoszącym się do całego świata. Czy to zawężenie pochodzące z Zachodu, nie odpowiadające zaś całej prawdzie o człowieku, przyczyniło się do wyjaśnienia kwestii?

Czy praca musi być synonimem samourzeczywistnienia? Czy europejska etyka pracy ma się przyjąć na całym świecie z pomocą Wojtyły? Czy połączenie ascetycznego trybu życia z ostateczną industrializacją, typowe dla świata zachodniego, ma za treść całkowitą prawdę? Czy w religii Zachodu raczej nie bije wciąż kapitalistyczne serce? I to ma być dla wszystkich ludzi? Doprawdy wątpliwa nadzieja, panie Wojtyła!

W papieskich wypowiedziach zwraca także uwagę brak pojęcia wolnego czasu. Wzmaga się przez to wrażenie, jak gdyby pomocniczo wzmiankowany "spoczynek" rozumiano jako stan przygotowania do nowej pracy. To również objaw mieszczańskiego zawężenia duchowości pracowniczej do etyki wydajności, a nie zapowiedź nowego stylu życia. TU na pewno nie przekroczono żadnego progu!

Nie okazał się też nazbyt brzemienny nadzieją większy nacisk, jaki Papież położył na rolę kobiety. Patriarchalnie zabarwione u Wojtyły pojęcie pracy nadal

przestrzega podziału zajęć, który jest rzekomo ponadczasowy. Nikt nie powinien tego zmieniać, gdyż naraziłby się na odstępstwo od prawdy. Mężczyzna pracuje poza domem, a kobieta, niezastąpiona jako matka, w domu. Siła robocza męska przywiązana jest do kapitału, a kobieca do dbałości o dom i o rodzinę. Nic nowego! Najczystsze myślenie w kategoriach patriarchy. Większa część ludności świata już od dawna w myśleniu i działaniu posunęła się dalej. Któregoś dnia jakiś papież także to zauważy i zmieni.

"Kościół, jako Ciało mistyczne Chrystusa, przenika nas wszystkich i wszystkich ogarnia. Jego duchowa, mistyczna pojemność jest o wiele większa, aniżeli potrafią to ukazać jakiegokolwiek socjologiczne statystyki" (PPN 115). Takie puste frazesy i zaklęcia, kierowane do samego siebie, niczego nie ułatwią. Czy dadzą się na przykład zweryfikować słowa Wojtyły, w których brzmi pewność zwycięstwa, o "silniejszym ukochaniu Chrystusa" w przeszłości, jak i w teraźniejszości rzymskokatolickiego chrześcijaństwa? To nie jest już nawet dyskusyjne. Historia kryminalna chrześcijaństwa krwawo świadczy przeciwko temu.

Ale także w dziedzinie sztuki i literatury nic nie przemawia za twierdzeniami Papieża. Katolicy świecą tu nieobecnością: jedyni katoliccy pisarze rangi światowej, Heinrich Böll i Günter Grass, wystąpili z Kościoła i nie są jego członkami. Czyż to nie objaw rzeczywistej sytuacji, w której nic nie da się zmienić, choćby nawet intencje - w co można wątpić - były jak najlepsze?

Jan Paweł II zbyt sobie ułatwia sprawę, gdy w coraz to nowych podejściach wmawia ludzkości wciąż tę samą prawdę, tak jak on ją rozumie, o zbawcy i wybawcy Jezusie Chrystusie. Już nie sposób twierdzić, że katolicy, uważani za nosicieli duchowo-duchownego postępu, przyczynią się do powstania nowego świata, naznaczonego doktryną Wojtyły: abstrahując od pozaeuropejskich wyjątków, które Papież traktuje podejrzliwie. Nie widać tu postępów nadziei, zwłaszcza dla wszystkich ludzi.

Byłe rzut oka świadczy przeciwko temu. Nowe formy życia i załączki myślenia, niosącego nadzieję, pochodzą od niekatolików albo od takich, którzy dawno już pokazali plecy Kościołowi rzymskiemu.

Pozorna siła tego rodzaju chrześcijaństwa, który reprezentuje Wojtyła, polega na podkreślaniu utartych postaw i wartości. Papieskiego pojęcia prawdy nie sposób uznać za nowe i wybiegające w przyszłość; jego nauka o Chrystusie też dźwiga na sobie piętno tradycji. Jan Paweł II ciągle jeszcze posługuje się obiektywizującym - i

całkiem oderwanym od rzeczywistego życia ludzkiego - wyobrażeniem o Chrystusowej prawdzie. Opiera się ona na ustaleniu i zabezpieczeniu określonych dogmatów.

Chrystus Wojtyły z pewnością reguluje życie człowieka. Czyni to jednak za pomocą formalnego autorytetu, który nie dopuszcza sprzeciwu ani wątpliwości. Syn Boży, o jakim naucza bez żadnych skreśleń Kościół rzymski, musi przypisywać sobie bezwarunkową wiarygodność, przy czym o prawdzie tej współdecyduje prawdziwy Kościół. Człowiek, do którego ten Kościół się zwraca, może mu jedynie przytaknąć, jeżeli chce - w pojęciu Wojtyły - być lub stać się prawdziwym człowiekiem:

"Ponieważ Chrystus tak powiedział, a Kościół poświadcza słowo Syna Bożego, wierzę w to dla mego własnego dobra jako człowiek i jako chrześcijanin."

Autorytet Chrystusa ręczy więc za prawdę ludzkiej wiary. Takiego autorytetu nie można zakwestionować. Jest to definitywne. Wszelką niepewność osobistej wiary tłumi wciąż widoczna obecność Kościoła, który mówi człowiekowi - ustami Papieża - co jest prawdą, a co nieprawdą.

Po Janie Pawle II nie sposób poznać, czy Jezus mógłby też mieć dla człowieka jakieś znaczenie oparte nie na formalnym autorytecie zatwierdzonego przez dogmaty synostwa Bożego, lecz na jego praktyce, rozumianej po ludzku i rzeczowo.

W swojej nauce o Chrystusie, umotywowanej na pozór po ludzku, Papież zachowuje resztki prawdy zobiektywizowanej. Rozumie się ją, świadomie lub nieświadomie, jako asekurację dla ubezpieczającego myślenia.

Dzięki temu wierzący dostaje prawdę i może na tej podstawie wszystko ocenić i zobiektywizować. Owszem, może mieć w ten sposób nawet Chrystusa, dokładnie, a może zbyt dokładnie wiedząc, co ma uczynić, aby Chrystus uzasadniał jego ludzkie życie i nadawał mu sens. Erich Fromm tak to wyraża: "W trybie posiadania wiara jest szcudłem dla wszystkich, którzy pragną pewności, którzy chcą doszukać się w życiu sensu, nie mając odwagi, aby go poszukać o własnych siłach." Wojtyła przybliży Chrystusa, zbawcę i wybawcę, ludziom nastawionym na posiadanie i tylko takim. Mają poczucie, że ten Papież i jego nauka zwracają się do nich osobiście. Prawdy szukają tylko do pewnego punktu. Gdy ją znaleźli - a ściślej: gdy jakiś autorytet im oznajmił, że leży ona tu czy tam, gotowa do wzięcia i uwierzenia - ich poszukiwanie nagle się kończy.

Fundamentaliści szybko zmienili się w posiadaczy. Odtąd już wiedzą dokładnie, co jest prawdą, a co nieprawdą, co wolno, a czego nie wolno, co dobre, a



co złe. Nie są chrześcijanami, pielgrzymami, szukającymi. Mają to swoje chrześcijaństwo. I tego stanu posiadania będą bronić aż do przelewu krwi przed wszystkimi, którzy mają inne doświadczenia ze sobą i ze światem. Potwierdza to historia i teraźniejszość Kościoła.

Wojtyła, ich rzecznik, dba o bezpieczeństwo. Jego doktryna o zbawcy zaspokaja szczególne potrzeby tych, co czują się niepewni i zatroskani o to, czy przeżyją. Nie przypadkiem tak wielu zdaje się wręcz potrzebować do życia Jana Pawła II i jego nauk. Ich autorytarne oczekiwania spełniają się dzięki niemu i temu, jak on sprawuje swój urząd. Kościół bez papieża, jakich od dawna już nie brakuje na świecie, byłby dla takich ludzi czymś niepojętym. Nie wiedzieliby, jak żyć sprawiedliwie po ludzku, to znaczy w sposób obyczajowo dozwolony.

Jezus z Nazaretu za mało im dał. Ci fundamentalistycznie wierni nie wiedzieliby, co z nim począć. Na przykład w sprawach moralności, które im najbardziej doskwierają, on niczego nie zadekretował. Jego główny nakaz, czyli miłość, pozostał dość abstrakcyjny. Szczegółowych przepisów raczej unikał. W dodatku chciał być siewcą niepokoju i sprowadzić na ziemię ogień (Mat. 10, 34). Właśnie tego Jezusa nie ceni większość chrześcijan pokroju tradycyjnie katolickiego. Tęsknią do prawdziwego wodza w sprawach duchowych. Chcą takiego, który ma ostatnie słowo i ruguje wszelką niepewność myślenia, wiedzy i wiary. Nie rewolucja i różne tam błazeństwa, tylko ciągłość, spokój, pewność i porządek, prawda, straż wiary i urząd czynią życie bezpiecznym. Niezgłębiony lęk przed niesystematycznym i niepewnym, a nawet wygłupiającym się Jezusem z Nazaretu domaga się więc nieodzownie systemu, który na tym i na tamym świecie wszystko uporządkuje.

Na lęk prawdziwy chrześcijanin sobie nie może pozwolić: lęk przed ponownym przyjściem Chrystusa, lęk przed sądem ostatecznym i jego konsekwencjami, lęk przed innością, lęk przed nieciągłością, lęk przed odstępstwem i przed nieodpartymi wątpliwościami, lęk przed utratą wiary i wiedzy. Te lęki stają się znośne dopiero wtedy, gdy w Kościele znalazł się jakiś człowiek mocny, a ściślej mówiąc: człowiek ze skłonnością do mocnych słów. Tu i tylko tu Wojtyła ma swoją publiczność. Tutaj on, propagator najprostszej wiary, może dawać nadzieję. Bez porównania większej reszcie świata mógłby tego oszczędzić.

Zawężony, interesowny wizerunek Jezusa, nakreślony przez tego Papieża, odpowiada tylko jego wiernym. Nie przekonał natomiast jeszcze żadnego z tych, co myślą i czują fundamentalistycznie, taki Jezus, który nie pozwala się człowiekowi

wygodnie urządzić. Gotthold Hasenhütti opisał tę postawę, która czyni z papieżstwa fetysz dla ludu pragnącego pewności: "Magicznie zafascynowany tłum wrzeszczy z zachwytem na Placu św. Piotra w Rzymie, uścisk dłoni zaś czy inne dotknięcie uchodzą za wielką łaskę. Królowie i władcy wszystkich czasów uchodzili za podobne idole, koncentrując w sobie ludzki entuzjazm. Jakby spotykało się tu z czymś więcej niż ze zwykłym człowiekiem, który doszedł do władzy nad ludźmi... Wyniosła stylizacja władców jest proporcjonalna do zniewolenia poddanych i nieraz całkowicie uciśnionych. Jest więc papieżstwo punktem węzłowym sił reakcyjnych."

A socjolog z Frankfurtu Alfred Lorenzer stwierdza: "Idea światopoglądowa (która może stopić się z osobą przywódcy) wyzwala napięcia w osobowości, obiecuje rozwiązanie aktualnych konfliktów i fatalnie likwiduje odosobnienie jednostki. Dostarcza kulturalnych wykładni, równie nieprzejrzystych jak nietykalnych, gdyż popędy i przepis na postępowanie społeczne łączą się w niedobłą, jakkolwiek stabilną jedność. Im dotkliwsze jest podrażnienie sytuacji społecznej, tym gwałtowniejsze staje się pragnienie narkotyku, jakim jest «światopogląd»." Karol Wojtyła go dostarcza. A nawet jest przekonany, że człowiekowi o to jedynie chodzi. Będzie mu za to wdzięczny ten, komu taka pomoc w życiu jest potrzebna.

Wojtyła szczególnie demaskuje swoją teorię o "miłości i pełni życia" (PPN 71), gdy porusza takie tematy jak grzech, zbawienie, sąd, niebo i piekło. Może wtedy przemawiać do duchów podobnie lękliwych, jak on sam, ale do nikogo innego.

"Istnieje także przeznaczenie na mękę wieczną - naucza ten Papież, pełen nadziei - a męka ta to nic innego, jak definitywne odrzucenie od Boga, definitywne zerwanie komunii z Ojcem i Synem, i Duchem Świętym. To nie tyle Bóg odrzuca człowieka, ile człowiek odrzuca Boga" (PPN 70). Godna zastanowienia i tchnąca nadzieją teologia o Bogu, który odrzuca człowieka, choć "nie tyle" i nie tak bardzo...

Jako że "potępienie wieczne jest z pewnością zapowiedziane w Ewangelii" (PPN 70), Wojtyła musi wskazać drogę do uniknięcia tej kary. Tak jak można się było spodziewać, zaczyna od wychwalania przeszłości Kościoła: "Iluż ludzi te kazania i nauki o sprawach ostatecznych skłoniły do nawrócenia, do spowiedzi!... Można powiedzieć, że te kazania, całkowicie odpowiadające treści Objawienia w Starym i Nowym Testamencie, penetrowały głęboko świat wewnętrzny człowieka. Wstrząsały jego sumieniem, rzucały go na kolana, przyprowadzały do krzeseł konfesjonału, miały swoje potężne oddziaływanie zbawcze" (PPN 136).

Otóż i groźbę niosące posłannictwo Papieża, który nie tylko uważa za

uzasadnione w Nowym Testamencie kazania wygrażające piekłem, co wydawało się już przewyciężone, ale nawet cieszy się z tego, jak to zastraszanie "rzucało na kolana" przestraszonych ludzi i "przyprawiało ich do kratek konfesjonału".

Ten ustęp, jeden z najpodlejszych i najbardziej demaskujących w całej książce, na pewno nie przynoszącej nadziei, pokazuje, o co faktycznie chodzi Janowi Pawłowi II. Jego rzekomo radosne posłannictwo, jego entuzjazm dla pokoju i radości Ewangelii sprowadzają się raptem do najwredniejszego zastraszania. Trwoga bowiem, trwoga przed piekłem, ma "potężne oddziaływanie zbawcze". Wojtyła nie wstydzi się tego oznajmić. Choćby używane tu superlatywy dyskredytują całą resztę jego świątobliwej gadaniny jako pustosłowie.

Mało tego. Papież spogląda w niedawną przeszłość i w terażniejszość: "człowiek się zgubił, kaznodzieje się zgubili, katecheci się zgubili, wychowawcy się zgubili. Nie mają już odwagi «straszyć piekłem». Może nawet słuchacze przestali się go lękać" (PPN 138 i nast.). To się musi zmienić. Ci "zgubieni" mają na przyszłość znów sami odczuwać strach i straszyć innych. Albowiem piekło to fakt, w który mocno wierzy głosiciel strachu i nadziei Wojtyła. Gdyby jeszcze było trzeba dowodu, jak marną klientelę ten Papież wyłącznie obsługuje, otóż i on. Żal mi wielu innych katolików, mających takiego Papieża za pasterza. Czas by nareszcie wstać i powiedzieć coś panu Wojtyśle.

Czy Jan Paweł II ze swoją nauką "dorósł do wszystkich ludzi"? Coraz większa ich liczba słusznie uważa, że Wojtyła w ogóle nie dotyka prawdy o człowieku, a nawet nie może jej dosięgnąć, gdyż występuje u niego tylko mistyfikacyjnie-ideologiczna forma wyrazu, w której jawi mu się istota człowieka, nie on sam.

W epoce, gdy nauki humanistyczne coraz częściej, we właściwy im sposób, dochodzą do uświadomienia, że właściwości, tradycyjnie przypisywane człowiekowi, w istocie są złudzeniami, Papieżowi jest trudniej, niż sam się domyśla, wiarygodnie zaprezentować istotę całego człowieka.

Również i wyobrażenie Wojtyły o Chrystusie, który to wszystko rozwiąże, jest nazbyt jednostronnie przykrojone na miarę tych spośród słuchaczy Papieża, którzy potrzebują takiej pomocy. Nie odpowiadają mu ani w terażniejszości, ani w przyszłości, realia tego świata i jego ludzi.

Większość ludzi - czyżby przez to już byli złej woli? - w ogóle potrafi się obejść bez takiego autorytetu Syna Bożego, nie ponosząc przez to uszczerbku na swoim człowieczeństwie ani na duszy. Papież się do nich nie zwraca. Mają oni inne

wyobrażenie o prawdzie niż Jan Paweł II. Nikt nie śmie dyskredytować ich jako ludzi, którzy zatrzymali się w połowie drogi; także i Papież. Kto wie, czy nie bliżej im do Jezusa, niż lęk Wojtyły mógłby się z tym pogodzić.

## X

### W BITWACH BOŻYCH ONA ZAWSZE ZWYCIĘŻA

#### Co robi Matka Boska w herbie i w klapie?

W nauce papieża Jana Pawła II rzucają się w oczy kult Matki Boskiej i miłość do niej. Od czasu Piusa XII nie spotykało się już u papieży takiego podejścia. Wspominali często imię Maryi, lecz nie daliby się określić jako jej szczególnie czciciele. Natomiast papież Wojtyła mówi o niej raz po raz i czyni to z przejęciem, świadczącym o zażyłości całego życia (PPN 157).

Niesłusznie byłoby jednak tłumaczyć tę pobożność tylko względami emocjonalnymi. Nauczyciel Wojtyła wcale nie czuje się swojsko wyłącznie w pewnego rodzaju polskim niebie, mimo że jego kult Maryi w innym środowisku, niż polskie, raczej nie dojrzałby do takiej intensywności. Miłość ta jest nie tylko marzycielsko zwrócona ku zaświatom. Nie polega jedynie na mglistych uczuciach z lat dziecięcych dla Wielkiej Matki. U kogoś takiego jak Jan Paweł II jest również mocno zakorzeniona w dogmatycznych tradycjach Kościoła katolickiego. I zawiera też, co często bywa przeoczone, element polityczny.

Zasadniczo maryjne nastawienie tej duchowości wywodzi się z wiary Kościoła, w którym Maryi nie czci się po prostu z ludowej pobożności, gdzie natomiast osoba Matki Boskiej postrzegana jest nie bez związku z dziełem zbawicielskim Chrystusa. Zbyt powierzchowne byłoby traktowanie Karola Wojtyły jako maryjnego maksymalisty, który we wszystkim i zawsze ucieka się marzycielsko do tej Jedynej. Wojtyła za dużo wie rozumowo o swojej uwielbianej, aby jej - bez zastanowienia - oddać tylko swe serce.

Papież uderzająco często mówi w swej książce o Chrystusowych powiązaniach swojej postawy; może zbyt często wysłuchiwał w ubiegłych latach krytyki na ten temat: "Maryjność i mariologia Kościoła jest tylko innym aspektem wspomnianej koncentracji chrystologicznej" (PPN 52). I: "zrozumiałem, że prawdziwe nabożeństwo do Matki Bożej jest właśnie chrystocentryczne, co więcej, jest najgłębiej zakorzenione w Trynitarnej tajemnicy Boga, związane z misterium Wcielenia i Odkupienia. Tak więc nauczyłem się na nowo Maryjności i ten dojrzały kształt nabożeństwa do Matki Bożej idzie za mną od lat..." (PPN 157). I: "Od najmłodszych lat maryjność wiązała się więc dla mnie ściśle z wątkiem

chrystologicznym" (PPN 158).

Umiarkowanie katolickie zdania, przestrzegające granic i nie nadające się do poparcia tych maksymalnych aspiracji, które bywają niekiedy zgłaszane - na przykład przez Lefebvre'a w związku z dyskusją o ewentualnym wstawiennictwie Maryi - jednak dotychczas nie spowodowały wiążącego spełnienia tych życzeń ze strony Watykanu.

Na tle stanowczego wyznania Chrystusowego tym uporczywiej wypada milczenie, jakim obecna teologia otacza maryjne nastawienie papieża Wojtyły. W kręgach fachowych znowu prawie się nie wspomina o sile, z jaką wypowiada się ten kult maryjny. Zaopatrzony w przedmowę kardynała Königa niemiecki wybór dzieł Karola Wojtyły, pod niewątpliwie interesującym także z mariologicznego punktu widzenia tytułem "O godności królewskiej człowieka", zawiera wśród 41 obszernych tekstów tylko jeden jedyny, odnoszący się - też tylko ubocznie - do Maryi.

W dostępnych komentarzach o Papieżu nie zwraca się nawet uwagi na tak zewnętrzny symbol jak wybrany przez Jana Pawła II herb. Nie nawiązuje on już, mimo że otoczony nieodzownymi, jak widać, insygniami papieskiej wszechwładzy, jak tiara i klucze, do wątpliwej tradycji, wyrażającej się w nieraz pseudoszlacheckich godłach poprzednich papieży. Zawiera tylko pod dłuższym ramieniem krzyża wielką literę M.

Najnowsza książka Wojtyły z rozmysłem ukazuje ten herb na obwolucie. Nie byłoby źle, gdyby do tej manifestacji znalazł się też komentarz. Nie jest ona pozbawiona znaczenia. Mówi bardzo wiele o człowieku, który wybrał sobie właśnie ten herb. Uważam, że to za mało, jeśli książka przyozdabia się tylko herbem papieskim, nie pytając się, co on właściwie znaczy.

To M, w formie graficznej, która na Jasnej Górze daje znać, że Madonna jest w klasztorze obecna, zinterpretowane zostało poniekąd oficjalnie w Osservatore Romano z 12 listopada 1978 roku: ma przypominać o obecności Maryi pod krzyżem Jezusa i o jej niezwykłym udziale w wybawieniu ludzkości.

Czy ten emblemat spełnia wymagania heraldyki, mniej nas tu interesuje, niż treść papieskiego herbu. Domaga się ona wykładni teologicznej, mimo że w przypadku Wojtyły nie wolno też przeoczyć narodowego składnika kultu maryjnego.

Interpretację ułatwia wybrana jeszcze przez biskupa Wojtyłę i przejęta przezeń jako papieża dewiza herbowa Totus Tuus, "cały Twój", najwidoczniej zwrócona do Maryi. 4 czerwca 1979 na Jasnej Górze Papież ustosunkował się do tego

przewodniego hasła swojego pontyfikatu w następującym sensie: "Powołanie syna polskiego narodu na Stolicę Piotrową mieści w sobie wszak oczywiste odniesienie do tego świętego miejsca, do tego przybytku ogromnej nadziei: Totus Tuus..." A teraz Papież: "Totus Tuus... Formuła ta nie ma tylko charakteru pobożnościowego, nie jest wyrazem tylko dewocji, lecz jest czymś więcej" (PPN 157).

Jan Paweł II już wcześniej przekroczył wykładnię ściśle teologiczną i opisał w 1979 roku historyczne środowisko swej ojczyzny, które przyczyniło się do wyboru tej dewizy: "Przychodziliśmy tu wiele razy. Stawaliśmy na tym miejscu, jak gdyby nastawiając czujnego ucha pasterskiego, ażeby nasłuchiwać, jak w sercu Matki bije serce Kościoła i Ojczyzny... Historię Polski można pisać rozmaicie, zwłaszcza ostatnich stuleci, można ją interpretować przy użyciu klucza uniwersalnego. Ale jeżeli chcemy wiedzieć, jak ta historia tętni w sercach Polaków, musimy przybyć tutaj. I przyłożyć ucho do tego świętego miejsca. A potem musimy się wsłuchać w echo zbiorowego życia narodu w sercu Matki naszej i Królowej!"

Również tak zwany Cud nad Wisłą w 1920 roku, kiedy to Polacy odparli Armię Czerwoną, były biskup Regensburga, Rudolf Graber, tłumaczy jako zwycięstwo Maryi oraz "ocalenie Europy przed bolszewizmem".

Watykan sam podchwytował takie interpretacje i zezwalał biskupstwu polskiemu na ich własne święto kościelne, objaśniające to zwycięstwo nad Rosją Sowiecką w następujących słowach: "W dniu jej wniebowstąpienia, kiedy w Częstochowie tłumy ludzi z wiarą w sercu wzywały na klęczkach Matkę Boską, przełamano potężny front nieprzyjacielski." A na dzień 3 maja zapisano w polskim brewiarzu: "Ledwie Polska zdążyła odzyskać wolność, już wróg imienia chrześcijańskiego stanął u bram Warszawy. W tym strasznym niebezpieczeństwie Maryja Panna okazała się jedynym ratunkiem. To ona w dniu swego Wniebowstąpienia skruszyła potężny front wroga."

Teraz sam Wojtyła: "Dziewica Jasnogórska czczona jest od wieków jako Królowa Polski. Jest to sanktuarium całego Narodu. U swej Pani i Królowej Naród polski szukał przez wieki i szuka nadal oparcia i siły duchowego odrodzenia. Jest to miejsce szczególnej ewangelizacji. Wielkie wydarzenia w życiu Polski są zawsze jakoś z tym miejscem związane. Dawna i współczesna historia mojego Narodu właśnie tam, na Jasnej Górze, znajduje punkt swej szczególnej koncentracji" (PPN 158).

Wielu Polaków słusznie uznałoby to podciągnięcie "całego narodu" za błędne.

Co prawda warto przyjrzeć się bliżej temu pobożnie wojownicznemu środowisku. Religia chrześcijańska i wojna są przeciw, mimo że obecnie w kazaniach niedzielnych może to się nazywać inaczej, pojęciami z góry i w pełni bynajmniej się nie wykluczającymi. Historia Kościoła przez stulecia dowodzi czegoś wręcz odwrotnego. Między deklaracjami pokoju a rzeczywistością wojny akurat w chrześcijaństwie zieleje przepaść.

To nie donos: potwierdzeniem są dwa tysiąclecia historii. Zgodzi się ze mną każdy, kto nie ma tak niewinnych ocząt jak trzoda wpatrująca się w pasterza. Chrześcijanie co prawda uwielbiają zamykać oczy i skwapliwie zacierać setki krwawych konfliktów religijnych, jak również miliony krwawych ofiar. Ale pamięć ludzkości sprawia, że już nie tak łatwo to uczynić, jak dawniej.

Jan Paweł II w swojej obecnej książce jeszcze raz usiłuje przemilczeć tę krwawą historię. Kto go złapie ze słowo, nie da mu się wykręcić milczeniem. Nic nie przyjdzie z frazesów pojednania i pokoju: raczej na odwrót. Są one kolejną obelgą dla niezliczonych ofiar.

Nie musimy tutaj dociekać, czy specyficznie religijny potencjał agresji, kryjący w sobie gotowość do porachunków z inaczej myślącymi, da się zmobilizować jeszcze i do następnej wojny religijnej. Ale jakaż wojna, wedle doktryny Kościoła, byłaby sprawiedliwa, jeśli nie ta, którą prowadziło się i prowadzi w trosce o istnienie albo nieistnienie, o słuszność albo niesłuszność i na polecenie samego Boga?

Nie tylko biskupi podczas wojny w Zatoce i nie tylko RFN-owski biskup połowy Johannes Dyba wypowiadali się aż nadto wyraźnie. Po prostu domagali się interwencji zbrojnej, jako że chodziło znowu o "sprawiedliwą wojnę". Trzeba to było przeżyć: studenci, którzy na moim odczycie mieli łzy w oczach, gdy "wybuchła" ta wojna z towarzyszeniem pocieszających słów arcy-pasterza...

W tym kontekście pojawia się funkcjonalizacja Matki Boskiej jako prawdziwej bogini wojny. Większość zbrodni, jakie popełniano w imię chrześcijaństwa, była z pewnością dziełem mężczyzn, co jest typowe dla stosunków patriarchalnych i tym samym rdzennie chrześcijańskich. Ale i tak zwana "żeńska" strona religii nie jest tak po prostu apolityczna, a już na pewno nie bezkrwawa i nie pozbawiona wojowniczości.

Maryja uchodzi wprawdzie za "pannę czystą" i "przenajświętszą panienkę", do której wciąż jeszcze pielgrzymują tłumy modlących się płci obojga. Ale i Matka Boska nie była i nie jest bynajmniej zbyt pokojowo nastawiona: jak jej poprzedniczki



- bogini miłości i wojny Isztar lub dziewicza bogini wojny Atena - ona też stała się wielką boginią zemsty. Nazywa się ją "nasza pani bitewna" lub "zwycięzcy we wszystkich bitwach Bożych". Zabijać wykrzykując imię Maryi to pradawny obyczaj; łatwo udowodnić, że bojownicy Kościoła na każdą wojnę religijną wyruszali z imieniem Maryi na ustach.

To "zawołanie bojowe chrześcijan" rozlegało się wszędzie: w krucjatach u panów rycerskich, w polowaniach na heretyków u panów zakonnych, w wojnach tureckich u panów zachodnich, w walkach dobra z bezbożnymi, bolszewickimi podludźmi w niedawnej przeszłości. Matka Boska zawsze przynosi swoim zwycięstwo, bo "kto służy Maryi, nigdy nie zginie". Choćby padł na katolickim polu chwały, nie będzie zapomniany: Maryja się o to zatroszczy.

Na czoło kultu Maryi wysuwają się takie rysy charakteru, z którymi pani z Nazaretu nie miała nic wspólnego: Maryja zwyciężająca wszelkie herezje, panująca nad bitwami, zwycięska. Do tego wyrażenie politycznego zjawiska należy w XX wieku zwrot ku Maryi, która ukazuje się raz po raz, pozwala zajrzeć w otchłań piekielną, domaga się modlitw i ofiar, jest gotowa powstrzymać gniew Boży... albo też go nie powstrzymywać.

Ten fenotyp mariologiczny odnajduje się w maryjnej apokaliptyce, związanej z imieniem Fatimy i pokrewnymi jej osobistymi objawieniami wobec pastuszków. Relacje o Fatimie i szczególnie wciąż ulepszane wspomnienia pozostałej przy życiu wizjonerki jasno ukazują ten klimat: religijność rozpalona aż do hysterii, nieustanna indoktrynacja, masochistyczne samoudręczenie, psychotyczna obawa grzechu, świętoszkowata pokuta, niedostateczne odżywianie się, wielogodzinne klęczenie, wzajemne wpływanie na siebie i podżeganie się.

Jednakże nie tylko kardynał z Kolonii Meisner dał się porwać. Papież także popiera tę subkulturę i podnosi ją do urzędowej rangi kościelnej. Apostolki wiedzą swoje: Maryja, ta z Fatimy czy jakaś inna, odniosła jeszcze jedno świeże zwycięstwo i tylko patrzeć, jak Rosja się nawróci.

Jan Paweł II podziękował Niepokalanej 13 maja 1991 w portugalskiej Fatimie nie tylko za szczęśliwe ocalenie od zamachu na swoje życie w 1981 roku, ale i za spowodowane przez nią "wyzwolenie Europy Wschodniej". Dla ludzi, którzy faktycznie spowodowali to wyzwolenie, nie miał ani jednego słowa. Nic dziwnego: wszak tylko nieznaczna ich część była katolikami; a tym bardziej nie wierzyli w Fatimę.

Wściekle ruchy teologiczne akurat za Wojtyły znów zyskały podstawy, ażeby w koszmarnych wizjach piekielnych uzależnić szczęście i nieszczęście ludzkości od tego, czy świat i jego poszczególne rejony poświęcone zostaną Maryi. Dotyczące tego wskazania zapożycza się z jawnie i na bieżąco rozgłaszanych wizji, ukazujących krwawe ofiary, jakie miewają współcześni nawiedzeni, a mordercza wojna w Bośni sprowadza się do tego, że odpowiedzialni za to biskupi tego rejonu dotychczas nie oddali swego kraju w opiekę Niepokalanemu Sercu Maryi.

Swoje wizyty, składane w kolejnych miejscach pielgrzymek w krajach, które odwiedza, Jan Paweł II uważa za kulminacyjne punkty wszystkich podróży papieskich. Tu najłatwiej uzmysłowić, specjalnie to urządziwszy, sens jego nauki. Tu właśnie "przygotowana jest widownia" - jak mówi św. Ignacy Loyola - i tu deficyt świadomości ludzkiej daje się naocznie podbechtać i zarazem przeobrazić w orędownictwo Maryi.

Bo ten Papież wszędzie czuje się jak w domu. Maryja wiąże jego urząd i jego osobę z tymi, co idą wiernie w jego ślady. Dzięki Maryi stwarza się ważną dla strategii Kościoła platformę porozumienia pomiędzy intelektualnym, teologicznym i kapłańskim wytwórcą treści z jednej strony, a wierzącym świeckim odbiorcą.

Przetwarza ona w dogmatach dla mas elitarne sposoby myślenia religijnego w celu ustabilizowania świadomości kościelnej zwolenników; jest to skuteczna dla psychologii masowej, swoista manifestacja tamtego świata na tym świecie.

W porównaniu do wszechogarniającej miłości, jaka łączy Maryję i człowieka, której naucza Jan Paweł II, trudno się połapać w tym, jak rozłożone są u Wojtyły akcenty kultu maryjnego, tym bardziej zaś jego preferencje dla określonej tytulatury i treści mariologicznych. A jednak istnieją takie priorytety, jakkolwiek trudno je wyłowić z mnóstwa podobnie brzmiących tytułów.

Oczywiście często wtrącane wezwania typu orędowniczego, niemal stereotypowo pojawiające się zwłaszcza pod koniec papieskich wystąpień, są nie dość wyakcentowane, aby dało się wyciągać z nich daleko idące wnioski. Także i rozmaite określenia Maryi, jakie przytacza na przykład oficjalny indeks do papieskich oświadczeń w podróży do Azji 1981 roku, nie są w tej analizie pomocne: "Matka Boża; Matka Nieustającej Pomocy; Królowa Męczenników i Matka Kościoła; Matka naszego Zbawiciela; pod Krzyżem na Kalwarii uczyniona Matką dla wszystkich; gotowa do wszelkiej pomocy; wzór dla chrześcijan; wzór dla prowadzących życie poświęcone Bogu; Matka i wzór wszystkich ludzi zakonnych; nieustanna

Przywódczyni; kochająca i troskliwa Matka Narodu; Matka Jezusa; Królowa Apostołów; Matka i wzór dla wszystkich katechetów; nasza Matka; nasza Nauczycielka; ukochana Pani Pokoju i Dobrej Podróży; Królowa Różańca świętego; Królowa Chin; Królowa kleru; Matka kapłanów i seminarzystów; Matka Miłosierdzia i pięknej miłości; Matka wszystkich chrześcijan..."

O ile w takich i podobnych wypowiedziach odbija się na ogół pobożność ludowa, jak i w tak zwanej Litani Loretąńskiej z XVI wieku - powszechnie używanej modlitwie naprzemiennej ku czci Matki Boskiej z Loreto - o tyle niektóre z typowo lokalnych określeń Maryi, wypowiedzianych przez Wojtyłę, są już ciekawsze. Nie przypadkiem więc Jan Paweł II w Irlandii mówił o "Królowej Pokoju", w Afryce podobnie aktualizujące o misjonarskim nastawieniu Matki Bożej, w Brazylii o Maryi jako "Gwieździe Ewangelizacji", a w Republice Federalnej Niemiec o "potężnym świadectwie wiary" kobiety, do której powiedziano: "błogosławiona, która uwierzyła (por. Łk. 1, 45)".

Lecz i te określenia, odnoszące się do szczególnych sytuacji, nie dotyczą właściwie prawd uchwytnych dogmatycznie. Wyrażają się w nich, mniej czy bardziej, wezwania swoiście zależne od miejsca i z tego punktu widzenia są one wymienne. Troska Maryi, Matki Nieustającej Pomocy, której miłość ogarnia wszelkie problemy ludzkie, jest tutaj po prostu od wypadku do wypadku przykrawana do odnośnej specyfiki, lecz bez dostatecznej konkretyzacji.

Nieco inaczej rzecz się ma z tymi wezwaniami, które Wojtyła raz po raz chętnie stosuje do Maryi, gdy nazywa ją "Matką Kościoła". Na świętej górze w Polsce powiedział o tym 4 czerwca 1979 roku: "Tytuł ten pozwala nam wniknąć w całą tajemnicę Maryi, od chwili Niepokalanego Poczęcia przez Zwiastowanie, Nawiedzenie i przez Betlejem aż do Kalwarii. Tytuł ten pozwala nam wszystkim odnaleźć się w sali Ostatniej Wieczery, gdzie apostołowie wraz z Maryją, Matką Chrystusa, trwają w modlitwie i po Wniebowzięciu Pańskim oczekują spełnienia obietnicy: zejścia Ducha Świętego, ażeby narodził się Kościół! W narodzinach Kościoła ma szczególny udział ta, której zawdzięczamy narodziny Chrystusa."

Wzniosły tytuł "Matki Kościoła" nie tylko ogniskuje w sobie według Jana Pawła II cały żywot Maryi, ale i poza tym wskazuje na prawdziwe miejsce tej niewiasty w Boskim planie wybawienia przez Kościół.

Ażeby zapobiec wszelkim nieporozumieniom, które by eksponowały postać Maryi kosztem Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, Papież nie pozostawia wątpliwości co

do słusznej hierarchii w ekonomii zbawienia: Maryja przedstawiana jest raz po raz jako ta, która jedynie i wyłącznie wskazuje na Chrystusa i wiedzie ku niemu.

Powierzenie całego świata Maryi, "poświęcenie" go przez rzymskiego papieża odbywa się u Jana Pawła II nie tylko w sensie tradycji, która interpretuje Maryję raczej jako przyjmującą, lecz właściwie nieaktywną. Karol Wojtyła przejął dalej idący obraz Maryi, znany Kościołowi głównie od Piusa XII. Maryja, której Jan Paweł II poświęca i tym samym całkowicie powierza siebie i całą ziemię, ma się nie ograniczać do miejsca "w sercu". Zostaje ona w wypowiedziach Wojtyły, ustawionych całkiem doktrynalnie, wyposażona także w moce, dotychczas uważane za typowo męskie: jest zwyciężczynią.

Podobnie sformułował to Pius XII w swej modlitwie z 1942 roku, poświęcając świat Niepokalanemu Sercu Maryi, nazywając ją "zwyciężczynią we wszystkich bitwach Bożych". Data nie jest tu pozbawiona znaczenia: w środku II wojny światowej, w środku ataku Hitlera na Związek Radziecki. Czyżże to oręż zwyciężczyni miała podówczas wesprzeć?

Maryja to nie tylko orędowniczka, która wymodliła program odnowy, widzenie, poznanie i całą autentyczną prawdę. Ona sama się zaktywizowała.

Tym samym zamykać się nam zaczyna krąg papieskiej interpretacji świata: konieczna dla zbawienia wszystkich ludzi prawda o Chrystusie, wybawcy i zbawicielu, prezentowana jest zagrożonemu intelektualnie światu przez Maryję, jego matkę. Jeśli człowiek powierzył się Maryi - najlepiej poświęciwszy się jej na sposób Totus Tuus - to przyjął tę ofertę i dokonał właściwego wyboru. Odtąd już stoi po stronie zwycięskiej prawdy. Niektórych pokrzepia to niezmiernie w nadziei.

Słowa Boże, wcielone w Maryi, nie tylko były w stanie przemówić do naiwnie wierzących pasterzy w Betlejem i przekonać ich, ale zwracają się też - za pośrednictwem Maryi - do intelektualistów tej ziemi. Dotyczą nie tylko skrytych uczuć wiary, lecz także intelektu.

Nie jest wykluczony z tego żaden człowiek dobrej woli, poświęcenie się zaś Maryi nie pozostaje bez uchwytnych racjonalnie konsekwencji. Całkowite oddanie nie tylko woli, ale i rozumu prawdzie Zbawiciela - w Maryi i przez nią przedstawionej światu - stanowi najgłębszą treść każdego poświęcenia Matce Bożej, przede wszystkim w formie Totus Tuus Karola Wojtyły.

Ale przeczuwamy już, co nastąpi: wedle nauki obydwu maryjnych papieży, Piusa XII i Jana Pawła II, poświęcenie Maryi wcale nie ogranicza się do wnętrza

jednostki, do serca i intelektu. Nie spełnia się ono prywatnie, lecz działa na społeczeństwo. Jest wyrazem pewnej teologii politycznej.

W związku z poświęceniem swojego kraju Matce Boskiej Częstochowskiej, podjętym w 1966 roku przez polski episkopat, Jan Paweł II mówił o "języku polskich doświadczeń historycznych, polskich cierpień, ale także i polskich zwycięstw".

Widać nie zapomniał Papież o historycznych "cudach częstochowskich": w jego wykładni Maryja pozostaje zwycięska i człowiek może się jej powierzyć w potrzebie, aby uwolniła go od wszelkiego cierpienia. Prastare doświadczenie co najmniej katolickiej części narodu okazuje się nieprzerwane.

Nie dziwi w tych okolicznościach, iż - aby ograniczyć się do jednego przykładu - najmłodsza córka obecnego prezydenta Wałęsy, który nosi w klapie wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, otrzymała na chrzcie w 1982 roku imię Maria Wiktoria, czyli Maryi zwycięskiej, kiedy w kraju panował stan wojenny.

Maryi przypisuje się wiele walk i zwycięstw. Jan Paweł II sięgnął do legendarnej tradycji, mówiąc w 1979 roku w Częstochowie o tym, że Matka Boska "na swój sposób uczestniczy w kształtowaniu procesów historycznych w Polsce". Papież zna prawdę, swoją prawdę. Obecnie, "po upadku komunistycznego imperium" (PPN 162), pisze: "W jaki sposób Maryja uczestniczy w tym Chrystusowym zwycięstwie, o tym wiedziałem przede wszystkim z doświadczeń mego Narodu" (PPN 161). I dalej: "Wchodząc w sprawy Kościoła powszechnego, wraz z wyborem na Papieża, przynosiłem z sobą to przeświadczenie, że również w tym uniwersalnym wymiarze zwycięstwo, jeśli przyjdzie, będzie odniesione przez Maryję. Chrystus przez Nią zwycięży, bo chce, aby zwycięstwa Kościoła w świecie współczesnym i przyszłym łączyły się z Nią."

Całkowite albo częściowe przeoczenie faktu, że w obliczu tak maryjno-mesjanistycznie zabarwionego katolicyzmu realia polityczne Polski i świata znowu narażone są na niebezpieczeństwo, może zadziwiać u papieża, którego aktywność jest tak światowo ukierunkowana, jak u Wojtyły.

Ale jedynie ten, kto nie bierze Wojtyły dosłownie i poważnie, dziwiłby się, że Jan Paweł II wiąże ze swoim wizerunkiem Maryi tylko te wyselekcjonowane prawdy, które odpowiadają pewnej części tradycji: zachowanie lub odzyskanie wierności i posłuszeństwa religii, ewangelizacja wyłącznie przez prawdziwą naukę, zwycięstwo słuszności i wysoka ocena tradycyjnego porządku.

"Jasna Góra została wpisana w dzieje mojej Ojczyzny w XVII wieku jako

swoiste: «Nie lękajcie się!» wypowiedziane przez Chrystusa ustami Jego Matki. Kiedy w dniu 22 października 1978 r. przejmowałem rzymskie dziedzictwo posługi Piotrowej, miałem z pewnością głęboko w pamięci przede wszystkim to polskie doświadczenie Maryjne" (PPN 161).

Także i polityka wewnętrzna Wojtyły bazuje na specyficznym zmaistrowanej, odpowiednio do potrzeb, prawdzie o Maryi. Stwierdzenie to ma swoją wagę. Jan Paweł II także i w tym wypadku naucza nie całej prawdy, jaką głosi, tylko jednego z jej cząstkowych aspektów. Dlatego wcale nie uważam Wojtyły - wbrew pozorom - za "maryjnego Papieża".

Papież powołuje się mianowicie także na Matkę Bożą, aby siłą swej nauki odwracać choćby najskromniejsze załączki reformatorskie. Kiedy w roku 1979 w USA z okazji wizyty papieskiej rozległy się głosy, wskazujące na upośledzenie kobiet w Kościele rzymskokatolickim, Papież odpowiedział w duchu najściślej tradycyjnym: "Maryja czczona jest jako Królowa Apostołów, nie będąc włączona do hierarchii kościelnej. Ewangelia jej nie wymienia wśród uczestników Ostatniej Wieczerzy."

Święcenia kapłańskie dla kobiet, ostatnio znów "definitywnie" odrzucone przez Wojtyłę żądanie wielu w Kościele, załatwiono odmownie z powołaniem się na słowo Pisma Świętego, interpretowane jako niewątpliwe: zgodnie z tradycją pobożności ludowej Maryja jest co prawda Królową Apostołów. Również i Jan Paweł II nazywa ją "Królową Kościoła". Jednak w żadnym wypadku nie uczestniczy ona w szczególnym kapłaństwie tegoż Kościoła. Hierarchicznego urzędu ciągle się jej odmawia.

W takich kontekstach Maryja wspomniana bywa tylko na marginesie: nie jest kapłanką z urzędu. Zajmuje kobiecą pozycję orędowniczki. W sprawach kapłaństwa żadna kobieta w Kościele czy poza Kościołem nie może się na nią powołać.

Kto chce tutaj przekroczyć próg nadziei, wkracza w Kościele Wojtyły na grunt beznadziejności. Maryja jest dla Papieża jak najbardziej "symbolem kobiecej odwagi wszystkich czasów". Lecz odwaga ta nie zwraca się do przodu, tylko wyczerpuje się w milczącej wierności.

"I tutaj musimy wrócić do postaci Maryi. Zarówno postać Maryi, jak i nabożeństwo do Niej, jeśli jest przeżywane w całej pełni, staje się wielkim i twórczym natchnieniem również i na tej drodze" (PPN 159). Papież mówi to w związku z upragnionym "odrodzeniem się autentycznej teologii kobiety", której wątplą treść już omawiałem.

Jakkolwiek mocno angażuje się Maryja Wojtyła na obszarze polskiego chciejstwa narodowego, tak też bierna pozostaje, ilekroć chodzi o działalność reformatorską, nie odpowiadającą tradycyjnej, konserwatywnie rozumianej zawartości radosnego posłannictwa i odstępującą od doktryny praojców.

Dziennikarka Hildegard Lünig tak podsumowała swoje wrażenia z Meksyku z okazji III Konferencji Biskupów Ameryki Łacińskiej w 1979 roku: "W ciągu tych pierwszych dni w Meksyku Papież o niczym nie mówił tak często, serdecznie i uporczywie, jak o Maryi, matce Jezusa. Moi koledzy z Europy Środkowej odebrali to jako dość odstręczające, szczególnie protestanci. Mogę ich zrozumieć, mimo że jestem katoliczką. Prawdopodobnie kościelne pochodzenie i szkolna dyscyplina za lat dziewczęcych jeszcze bardziej nadwyreżyły moją maryjność niż u tych mężczyzn, dziennikarzy niemieckich, holenderskich, francuskich i szwajcarskich, jak ja towarzyszących w roli sprawozdawców Papieżowi i III Konferencji Biskupów Ameryki Łacińskiej. Wyrosłam w niemieckim katolicyzmie. Siostry szarytki, nauczycielki z czasów mej szkoły wyznaniowej, z maryjną dobrotliwością i na odstrasającym przykładzie grzesznej Ewy wpajały nam naszą rolę kobiecą: pokorę, czystość, posłuszeństwo, uległość. Komu? Mężczyźnie. Ojcu, księdzu, mężowi, Bogu. Kiedy później odrzucałyśmy ten ciasny ideał kobiecości, Maryja też odsunięta została na bok. Była symbolem całego wpojonego nam samozaparcia się i pogardy dla samej siebie."

Tak też zacie widzi Jan Paweł II swoją Maryję. Jego Wielka Matka nie śmie wychylić się poza dyspozycyjność, bycie pustym naczyniem, wierność i milczące gotowanie ścieżek.

Akurat w Ameryce Łacińskiej Maryja Wojtyła nie daje po sobie poznać niczego z tej siły rewolucyjnej, jaką niektóre drobne ugrupowania wiążą z postacią Maryi. Zacytował wprawdzie Jan Paweł II swego poprzednika Pawła VI i podkreślił fakt, że "Maryja w wiernym spełnianiu woli Bożej stanowi wzór także i dla tych, którzy nie godzą się biernie z nieznośnymi warunkami życia własnego i społecznego, nie ulegają też «samozniechęceniu», jak się to dzisiaj określa, którzy natomiast głoszą razem z nią, że Bóg jest «obrońcą małych i uciśnionych», że czasem również i «władców strąca z tronu», jak powiedziano w Magnificat" (Por. Łk. 1, 51-53).

Skończyło się jednak na cytacie. Wojtyła ani się zbyt nie troszczył o położenie biednych i uciśnionych, ani też, w przeciwieństwie do innych tematów, powtarzających się ciągle w jego przemówieniach maryjnych, nie zajmował się już

tym wywrotowym Magnificat. Wprost przeciwnie: nad Magnificat przeszedł zwyczajnie do porządku na rzecz oklepanego: "Co on wam powiada, to czyńcie!" Nie ma to prawdziwej wartości jako cytatu w nauce Wojtyły. Papież maryjny? Nauczyciel całej prawdy?

A przecież dla wielu w Ameryce Łacińskiej radosne, bo rewolucjonizujące wszystkie moce i potęgi posłannictwo Maryi niesie uzasadnioną nadzieję, że pewnego dnia bogacze dostaną za swoje, kiedy Pan się tym zajmie. Nie bez powodu nadają sobie od historycznej Maryi nazwanie Maria, te porzucone matki, które same wychowują dzieci, te żony robotnicze, które muszą ze swymi dziećmi porzucać rodzinne wioski, aby przeżyć. Te "Marie naszych dni" nadały wydawanemu przez siebie czasopismu tytuł: Maria, Wyzwolenie Ludu.

Natomiast Maryja Wojtyły nigdy nie waży się przekroczyć surowych granic własnego Kościoła lub własnego narodu. Pozostaje zadomowiona w przebrzmiałym porządku wiary. Spoczywa na łonie prawdy, broniąc jej przed tymi dogmatycznymi odstępami, którzy wolą nieraz wypowiedzi jeszcze bardziej hymniczne, chociaż z drugiej strony nie tak świętoszkowate.

Papieskiej Matce Bożej nie przyszłyby do głowy rewolucyjne myśli, które w Kościele - a tym bardziej poza nim - niosą ze sobą coś nowego. Tak daleko nie sięga intelektualna atrakcyjność Maryi. Wojtyła zadowala się raczej tym, że w kontemplacjach swych krąży wokół przedziwnego cudu tyleż ziemskiego, co i boskiego macierzyństwa Maryi. Okazuje się przy tym zdefiniowany w kategoriach tego zbożnego kultu, niosącego w sobie wiarygodność, i modli się z doświadczenia zwycięskich cierpień swej własnej ojczyzny do Maryi, swej Matki.

Ale kiedy bliżej się przyjrzeć, treść owych rdzennie polskich implikacji stanowiło tylko wyzwolenie tradycyjnego Kościoła z pęt ateizmu państwowego. Nigdzie w doktrynie Wojtyły, a tym bardziej w jego nowej książce (PPN 157-159), nie da się tego przenieść na inny układ sytuacji: żaden ruch wyzwoleńczy nie będzie się mógł powoływać na polską Matkę Boską, jaką przedstawia Jan Paweł II. Co słuszne dla Polski, to długo jeszcze nie będzie stosowne dla Ameryki Łacińskiej. Nadzwyczaj zawężony to punkt widzenia. Po prostu beznadziejnie zawężony.

Odniesień socjalnych, wychodzących poza specyficzny układ sytuacji w ojczystym środowisku Wojtyły, Papież w praktyce w ogóle nie uwzględnia. Ludzki świat zewnętrzny ze swymi "napięciami społecznymi, gospodarczymi i politycznymi, w odniesieniu do Maryi poza Polską, występuje tylko w ogólnikowym haśle



"orędownictwa". Nic bardziej szczegółowego się nie mówi.

Umacnia się przez to wrażenie, jakie narzucało się przy analizowaniu języka Wojtyły, jak gdyby w dobitnie medytacyjnym i pouczającym wnętrzu poglądów papieskich wszelkie konkretyzacje, dotyczące bliźnich, tylko zawadzały, jak gdyby wszystkie one naruszały pobożne środowisko, w jakim ten Papież demonstruje swą mariologię.

Maryja jest najchętniej usuwana w coś na kształt miłosnego wpatrywania się. Jej postać przybiera charakter osobliwie wyodrębnionych cytatów. Maryja wycofuje się na miejsce w ekonomii zbawienia, dobrze zabezpieczone dogmatycznie i chronione przed wszelkimi odchyleniami z lewej czy z prawej, którego nie wolno jej opuścić. Dzieli z ludźmi ich egzystencję nie tyle jako postać historyczna, ile jako królowa tych, którzy zostali jej poświęceni.

Maryja: matka wszystkich ludzi? Czy tylko niektórych ulubieńców? Na pytanie to łatwo odpowiedzieć. Maryja, Matka Nieustającej Pomocy, wykazująca największą, jaka może być, siłę ducha i wciąż obecna jako rzeczywiście pomocna, wciągnięta została przez Wojtyłę w aktualne kłopoty przede wszystkim Kościoła rzymskiego. O ile jeszcze w Polsce - i może w całym ówczesnym zasięgu wpływów komunistycznych - Maryja była powołana do tego, aby uzyskać dla Kościoła rzymskiego konkretnie sformułowane swobody, o tyle teraz już króluje, jako orędowniczka, nad całym światem i jego bliżej nieokreślonymi problemami. Wyraźnej stronnictwa nie wolno jej okazywać. Nie ma nic do roboty w szczegółach, które by nie pasowały do aktualnej polityki Papieża.

Jan Paweł II odmawia sobie i swym słuchaczom jakiegokolwiek wyraźnie emancypacyjnego lub feministycznego spojrzenia na kobietę, której poświęcone Magnificat zawiera w swym tekście szereg formuł wyraźnie rewolucyjnych, która jednak - podobnie jak jej syn Jezus, któremu nie wolno uchodzić za wywrotowca z Nazaretu - nie powinna w tych kwestiach dojść do głosu.

Tak łagodnie i apolitycznie wyglądające poza Polską interpretacje maryjne Wojtyły pomijają, w sposób jak gdyby oczywisty, bolesne doświadczenia żydowskiej kobiety imieniem Maria z potęgami, które manifestowały swą moc i władzę od narodzin Jezusa do jego śmierci. Ten Papież - czyżby tak całkiem maryjny? - całkowicie przemilcza potęgę Rzymian, jak również władzę panującego wtedy stronnictwa religijnego i twardość serca u posiadających, jakie przejawiały się w historycznie uchwytnym żywocie Marii. Jego Maryja, kiedy mówi o niej Jan Paweł II,

nie pozostaje w żadnym stosunku do tych potęg i władz. A tym bardziej mowy nie ma o konsekwencjach. A przecież jakieś nawiązania do przeszłości i do teraźniejszości takich stosunków w świecie, opartych na przemocy, z pewnością nie uczyniłyby mniej ciekawą historycznej i dzisiejszej postaci Matki Boskiej.

Natomiast zaklinanie się na "Królową Pokoju" wypada na tym tle nadzwyczaj błado. Jest mało prawdopodobne aby tak jednostronne i z premedytacją skrótowe wyobrażenie Maryi oraz jej kultu trafiło do wszystkich ludzi i pobudzało ich do czynu, jak tego pragnął Wojtyła, mówiąc o "całej prawdzie człowieka". Może i pod tym względem tylko grupy tradycjonalistów mają poczucie, że Jan Paweł II je aprobuje: kto wie?

## XI

### NAJGŁĘBSZA Z PIOTROWYCH TRWÓG

#### Dlaczego Papież nigdy się nie wychyli?

Najściślej tradycyjne i bynajmniej nie przez wszystkich katolików podzielane nastawienie Wojtyły na prawdę, która nie dopuszcza żadnych wątpliwości, staje się szczególnie wyraźne w wypowiedziach tego Papieża o Kościele.

Jego podsuwacz nagłówków zapytuje ze szczerością w oczach: "Również liczni chrześcijanie, a nawet katolicy zadają pytanie: dlaczego pośród wszystkich Kościołów chrześcijańskich tylko Kościół katolicki miałby posiadać i tylko on miałby nauczać całej prawdy Ewangelii?" (PPN 111). No właśnie, dlaczego? O to wprawdzie pytają miliony, a nie tylko czasami "nawet katolicy". Odpowiedź na to pytanie już od dawna stała się problemem, który będzie współdecydował o dających się ująć społecznie losach tego właśnie Kościoła.

Jan Paweł II znowu sobie ułatwia sprawę, występując wręcz jako nauczyciel świadomości, która - związana z postawą na wskroś autorytarną - uważa Kościół, mający zapewnioną sobie jedyną prawdę, za niewzruszoną i wręcz nieomylną podstawę wszelkich ludzkich nadziei. Wprawdzie takie pojmowanie papieskie nie odpowiada najnowszym osiągnięciom wiedzy, niemniej Jan Paweł II ze swoją teologią "apostolskich podstaw" (PPN 29 i nast.) Kościoła nie jest odosobniony.

Już Sobór Trydencki w roku 1563 utrwalił dogmatycznie zasady tego poglądu: w Kościele katolickim i tylko w nim istnieje - na bazie rozporządzenia Boskiego i praktyki apostolskiej - tak zwana hierarchia, składająca się z biskupów, księży i diakonów, ustalona przez samego Chrystusa. Syn Boży, Chrystus, jest podstawą tej hierarchii i dopiero przez nią zawiaduje Kościołem. Tak więc Kościołowi posłuszny jest i należy do niego każdy, kto podporządkował się tym pasterzom. Konstytutywne są tu nadrzędność i podrzędność, a nie równość, wolność i braterstwo. Tak zwany laik usprawiedliwia swą obecność we wspólnocie Kościoła tylko wówczas, gdy przyjmuje od pasterzy wskazania, jak ma żyć: pojął to widać naiwnie wierzący autor wywiadu z Papieżem.

Pasterze odnajdują swoją tożsamość w posłuszeństwie wobec założyciela, którego reprezentuje najwyższy pasterz, i odpowiednio do tego nauczając swych prawd i żyjąc. Niektórzy mogą co prawda okazać słabość, popaść w odchylenie, albo

w ogóle odpaść. Któż o tym lepiej wie niż Watykan? Jednak sama instytucja Kościoła nigdy nie może odpaść od prawdy. Sam Chrystus zapewnił swej hierarchii trwanie przy prawdzie. Dlatego prawdy nie docieka się w dialogu między równymi. Stała się ona zobiektywizowanym wyrazem zatwierdzonego przez Boga urzędu. Ten zaś stoi ponad wszystkim i każdym i należy go "przyjąć" (PPN 29).

Nowocześnie myślący i czujący ludzie nie dopatrzą się w tej konstrukcji podstaw do nadziei, inni natomiast i owszem. Posłuszeństwo - i wynikająca zeń pewność - stają się dla nich pryncypiami apriorycznego myślenia.

Jan Paweł II niezmiernie przekazuje tę świadomość swoim stałym słuchaczom. Wciąż na nowo stara się przybliżać swój pogląd w formie tej prościutkiej trójki, że wiara, obyczajne życie i prawość postępowania sprowadzają się ostatecznie do jednej instytucji. Kto ją zaakceptuje, ma zagwarantowane szczęśliwe życie do śmierci i po śmierci, ni mniej, ni więcej. Heinrich Böll mógłby znów powiedzieć: trzask, trzask... i koniec.

Lecz Wojtyła uważa, że tylko rzymski Kościół posiada prawdę obiektywną. "Chce wszystkim wskazywać drogi zbawienia wiecznego, czyli zasady życia w Duchu i w Prawdzie" (PPN 114). Wszystkie inne Kościoły znają tylko fragmenty prawdy: "Kościół katolicki cieszy się, kiedy inne wspólnoty chrześcijańskie głoszą z nim Ewangelię, chociaż wie, że pełnia środków zbawienia jemu jest powierzona" (PPN 114). Jeżeli inni także chcą osiąść prawdę Bożą, muszą - w długim procesie posłusznego dopasowywania się przez "odnowienie" - znaleźć drogę do jedności z Rzymem.

Podstawą do wyłącznego posiadania prawdy, podług Wojtyły, jest przede wszystkim to, że jego własny, katolicki Kościół założył Jezus z Nazaretu. Jan Paweł II wywodzi Kościół całkowicie z Chrystusa, gwaranta wszelkiej ludzkiej nadziei. "Jest więc prawdą objawioną, że zbawienie jest tylko i wyłącznie w Chrystusie" (PPN 111). I dalej: "W Chrystusie Kościół jest katolicki czyli powszechny i nie może być inny" (PPN 112).

Już i to założycielskie myślenie Wojtyły nie jest tak zasadne, jak by się wydawało. Nie bez powodu założenia Kościoła - nie tylko jego hierarchii - przez Jezusa Rzym nigdy nie potwierdził dogmatycznie. Wypowiedzi Rzymu w tej kwestii aż do naszego stulecia były dziwnie wymijające.

I nie przypadkiem wciąż jeszcze liczne wypowiedzi teologii współczesnej wychodzą z tego, że Jezus w ogóle nie założył żadnego Kościoła, tylko działalnością

swoją stworzył przesłanki, prowadzące do prawowitego powstania kościelnej wspólnoty. Jezus Chrystus nie daje autorytatywnych podstaw Kościołowi, temu zaś brak usprawiedliwienia, jakoby to on wyraźnie go powołał do życia. Dopiero w powstaniu tej wspólnoty mieści się usprawiedliwienie, iż kontynuuje ona to, co sam Chrystus urzeczywistnił.

Ciągłość łącząca Chrystusa i Kościół, tak naucza dziś wielu teologów, nie da się uzasadnić jakimś szczególnym aktem czy dokumentem założycielskim, tylko samoistnym powstaniem wspólnoty, czerpiącej przesłanki z Jezusa, czyli Kościoła. Inne bowiem uzasadnienie zapewniałoby tylko autorytarnie ustaloną świadomość prawdy, która zwykła się wciąż powoływać na instytucję i urząd jako takie.

Wątpliwe, czy Wojtyła jest tego świadom.

Jego wypowiedzi przemawiają raczej za czymś odwrotnym. W związku z innymi Kościołami świata Wojtyła posługuje się obrazem "zaszczepienia". Nie mówi to o samorzutnym wytworzeniu się wspólnoty, lecz o swego rodzaju biernym przyłączeniu się do już istniejącej instytucji, która miałaby ze swej strony być założona bezpośrednio przez Jezusa. Takie wypowiedzi wskazują, że Jan Paweł II zna tylko jeden jedyny prawdziwy, założony przez Jezusa Kościół "z ośrodkiem w Rzymie". Jeśli Wojtyła powołuje się przy tym na Rzym i Kościół, to z pewnością nie ma na myśli "wyrazu iluzji trwającej od dwóch tysięcy lat" (PPN 26), hierarchicznie rozczłonkowanej instytucji, będącej ustanowioną przez Boga gwarantką nadziei i wiary świata: "Nie dostępuje jednak zbawienia, choćby był wcielony do Kościoła, ten, kto nie trwając w miłości, pozostaje wprawdzie w łonie Kościoła «ciałem», ale nie «sercem»" (PPN 113).

Iluż to ludzi, nie licząc pewnej określonej subkultury, pociągałoby jeszcze dzisiaj takie wyobrażenie? Nie dziwię się, że milczące porzucanie Kościoła pana Wojtyły, tego "przeżytku dawnych mitów i legend" (PPN 25), postępuje bez przerwy. Tu nie ma nadziei. Zwłaszcza takiej, która by przekraczała granice. Nie chciałbym ponosić takiej odpowiedzialności przed sądem ludzkim, jaką bierze na siebie Papież i której nie da się wytłumaczyć samą tylko starczą zawziętością.

Jednakże podług Wojtyły akurat hierarchiczny Kościół rzymski, oparty na gwarancji tak zwanych słów Jezusa (PPN 27-30), beztróska i bezkonkurencyjnie zapewnia stałą pomoc we wszelkich ludzkich kłopotach. Jego pojmowanie wspólnoty zachowuje co prawda konieczność społecznego traktowania jednostki i słusznie nadaje takiemu traktowaniu ważność także i chrystologiczną. Wspólnota jednak

określa się dla tego Papieża nie przez dialog, tylko przez zarządzenie o panowaniu i posłuszeństwie. Łatwo przy tym przeoczyć fakt, że wraz z takim panowaniem dokonuje się podział klasowy, który znosi równość wszystkich wierzących i degradowuje wspólnotę do społeczności klasowej.

Ale Piotr - "jako człowiek będący może lotnym piaskiem" (PPN 29) - odczuwa głęboką trwogę. Jego potrzeba zabezpieczenia się dochodzi do tego, że on i jego wierna trzoda muszą powołać nieomylną instytucję: szczyt myślenia apriorycznego, które tak długo domaga się pewności zbawienia, aż ta okaże się nieomylnie zabezpieczona.

Ta instytucja, po prostu zawierająca w sobie wspólnotę ludzką, to rzecz absolutna i nie podlegająca dyskusji, w którą jednostka się musi posłusznie włączyć. Jest ona podstawą społecznie ukierunkowanego działania jednostki; z niej się może rozwijać życie Kościoła i jednostkowe powołanie do jego dźwigania. Bez niej nic nie działa. Ale taka instytucja Kościoła nakłada człowiekowi kajdany. Aby ciężar ten uczynić lżejszym, interpretuje się ją po prostu jako sprawę zbawienia.

Co się tyczy papieżstwa, będącego "tajemnicą, znakiem sprzeciwu, prowokacją" (PPN 30), Jan Paweł II w roku 1979 nauczał wobec polskiej konferencji biskupów w Częstochowie: "Ukoronowaniem hierarchicznego porządku Kościoła jest posłannictwo i posługa Piotrowa. Temu posłannictwu i tej posłudze Stolica Apostolska zawdzięcza swój własny charakter... Kościół potrzebuje hierarchicznego porządku po to, aby jak najskuteczniej służyć człowiekowi w zakresie obyczajowym."

Myśl o służeniu człowiekowi, ulubione powiedzonko papieża Wojtyły, w książce pojawia się jako coś oczywistego: "W tej perspektywie określenie «Namiestnik Chrystusa» nabiera prawdziwego sensu. Wskazuje nie tyle na godność, co na służbę: pragnie podkreślić zadania Papieża w Kościele, jego posługę Piotrową, mającą na celu dobro Kościoła i wiernych" (PPN 31).

Ale jak wyobraża sobie Papież tę posługę własną i swoich? Wojtyła, we własnej opinii "szafarz Dobrej Nowiny" (PPN 37), mówi na przykład w 1979 roku do członków rady biskupów Ameryki Łacińskiej: "Czy jest w naszych gminach jakaś postać, którą lud kocha bardziej niż nauczyciela? Czy mogłoby prawdziwe pasterstwo, prawdziwy ruch odnowy opierać się na innej podstawie niż prawda o Jezusie Chrystusie, o Kościele i o człowieku... Wierność wobec wiary Kościoła w odniesieniu do osoby i misji Jezusa Chrystusa ma podstawowe znaczenie i ogromne

oddziaływanie pasterskie."

Czy lud kocha akurat nauczycieli? A gdyby tak było: który konkretnie lud? Czy to ma być karta do chwały dotychczasowego nauczyciela świata, takiego jak rzymski papież, jeżeli ludzie w 200 lat po Oświeceniu (dla którego Wojtyła ma tylko oceny negatywne: np. PPN 41, 44, 47) pozostają zdani na doradców i nie potrafią żyć na własną odpowiedzialność? Jeżeli zamiast tego muszą znosić zarzuty "immanentyzmu i subiektywizmu" (PPN 55), gdy próbują wyłamać się z tradycji papieskiej?

Kościół interpretuje się w pierwszym rzędzie jako autentycznego nauczyciela ludu, pozostającego wiernym strażnikiem prawdy. Zdaniem Wojtyły służy on człowiekowi, ludowi, narodowi, światu przez swój zapewniający bezpieczeństwo ustrój, mający gwarantować trwanie przy prawdzie. "Człowiek współczesny (jak to Papież przesadza nawet i w chciejstwie) ponownie odkrywa Sacrum, choć nie zawsze umie je nazwać po imieniu" (PPN 44). Czy aby w tego rodzaju posłudze miłosnej nie chodzi jedynie o pomoc w spełnianiu życzeń tych osobowości, które szczególnie łakną pewności, lecz nie o potrzebę ludzi o innej strukturze, którym tego rodzaju pośrednictwo w prawdzie i posłuszeństwo nie są w ogóle, albo są tylko w nieznacznym stopniu potrzebne?

Lęk i nadzieja podają sobie ręce, ilekroć przemówi Wojtyła. Mnóstwo własnego lęku, mnóstwo daremnego samopotwierdzania się, mnóstwo pięknych słów rzucanych na wiatr i niewiele nadziei dla "wszystkich ludzi". Stanowczość, niewzruszoność i pewność mają wyraziście cechować taką interpretację prawdy. Jedynie to co pewne, nieomylnie pewne, czego pewność jest zagwarantowana przez Boga, może rościć sobie prawo do posłuszeństwa. Tak wyraża się nagi strach. Odchylenia, a nawet błędy noszą przecież - znów działa tu twoga przed dobrą alternatywą - piętno niekościelności, niewytrwania w tej prawdzie obiecaną przez Chrystusa, której Rzym jako instytucja ciągle uczył i wciąż jeszcze zdaje mu się, że uczy jej bez żadnych skrótów. "Tak więc wyrok człowieka na Boga nie opiera się na prawdzie, ale na przemocy, na doraźnej koniunkturze" [w oryginale, jak poprzednio: na arogancji, na perfidnej zмовie. Przyp. tłum.] (PPN 65): tak wyrokuje Papież o milionach ludzi dnia dzisiejszego.

Co może nasuwać mu się dobitniej niż to, że hierarchicznie ustawiona instytucja, wobec swoich zobowiązań przed Bogiem, musi dołożyć wszelkich starań, aby dla dobra powierzonych jej ludzi możliwie dosłownie podawać dalej przekazaną

jej prawdę i narzucać ją swoim jako powinność? Jest więc obowiązkiem Kościoła wskazywanie drogi do tego, jak zbudować społeczeństwo służące człowiekowi i szanujące człowieka.

Jakiego mianowicie człowieka? Czy tego zinterpretowanego przez Watykan, pasującego do koncepcji papieskiej, utrzymywanego w lęku i niedojrzałości? Czy tego, którego nowoczesne myślenie dawno już wyzwoliło dla niego samego? Na razie brzmi to u Wojtyły wyzwalające: "o ileż więcej znaczy to christianus niż episcopus, nawet gdyby chodziło o Biskupa Rzymu" (PPN 32). I dalej: "istotny pożytek wiary polega przede wszystkim na tym, iż człowiek realizuje przez nią dobro swojej rozumnej natury" (PPN 144). I dalej: "Ewangelia jest najpełniejszym potwierdzeniem wszystkich praw człowieka" (PPN 147).

Rzecz kończy się jednak na deklaracjach. Biskup Rzymu znaczy w praktyce "dużo więcej" niż cała reszta ludzi. Zalety rozumu uznaje się tylko wówczas, gdy pasują one Papieżowi; Wojtyła dostarczył aż zbyt wielu dowodów, jak prędko sumienie ustępuje wobec doktryny. O prawach ludzkich zaś w ogóle nie powinien wspominać, nawet w kontekście Ewangelii.

Historia i teraźniejszość nie dają najmniejszych podstaw do przypuszczenia, że z tej strony można by się spodziewać choćby tylko zadowolającej wypowiedzi na temat "człowieka". Papież wyraża raczej to, co wydaje mu się osobiście istotne i daje mu nadzieję pozbycia się własnego lęku: poczęte z woli Bożej posłannictwo swego Kościoła; proroczy urząd pasterstwa rzymskiego; możliwość pojęcia tych prawd kościelnych przez wszystkich ludzi na ziemi; wewnętrzny obowiązek każdego, aby raz poznaną prawdę uznawał także w swoim życiu i czynił ją owocną dla społeczeństwa, czy mu to wygodne, czy nie.

Jak to Papież powiedział w 1980 roku do zachodnioniemieckich teologów: "wiemy ma prawo wiedzieć, na czym się opiera w swojej wierze, teologia zaś musi człowiekowi pokazywać, w czym znajdzie ostateczne oparcie". Ostateczne oparcie? W Watykanie? W ciasnym systemie tej nauki? W ciężko zadłużonej hipotece dziejów Kościoła? Można by na to odpowiedzieć wybuchem zbiorowego śmiechu, gdyby sprawa nie była tak makabryczna.

Mimo to urząd nauczycielski bezczelnie domaga się od człowieka, szukającego w nim pewności, aby się identyfikował bez reszty z tym i wyłącznie z tym Kościołem: coraz intensywniejsza musi być ta identyfikacja, i to nie z "bezgrzesznym Kościołem, o którym wszyscy marzymy", lecz z konkretnym,



dzisiejszym Kościołem, na którym bez ustanku ciąży ludzka słabość. Jakże zaś ma być następstwo ważności, którego Wojtyła życzy sobie w identyfikacji z tym konkretnym Kościołem, o tym świadczą jego wskazówki dla zgromadzonych w Waszyngtonie zakonnic, do których wołał w 1979 roku, że ich życie musi "charakteryzować się absolutną dyspozycyjnością", mianowicie "gotowością do takiej służby, jakiej wymagają potrzeby Kościoła, gotowością, aby publicznie dawać świadectwo Chrystusowi". Papież jak gdyby się nie spostrzegł, że jeśli chodzi o ludzką dyspozycyjność, wymienia przede wszystkim potrzeby Kościoła, a dopiero na drugim miejscu dawanie przez wiernych świadectwa Chrystusowi.

Wojtyła nadzwyczaj żwawo podporządkowuje - w książce swej bardzo marginesowo potraktowane (PPN 74, 83 i nast.) - braki swej instytucji kryjącemu wszystko poczuciu wiary u katolików, żądając identyfikacji z niedomagającym po ludzku Kościołem. Tym samym nie tylko udziela błogosławieństwa swojej własnej, groźną budzącej, fundamentalistycznej polityce w Watykanie i gdzie indziej, ale również prawie uniemożliwia obyczajowo reformatorskie dociekanie czegokolwiek. Ogólnikowy paragraf o "identyfikacji" z góry podkłada swinie reformatorom i odwraca uwagę od tego, jak Kościół zawodzi w konkretnych sprawach. Czyżby więc nietolerancja i fundamentalizm (PPN 183 i nast.), nienawiść i żądza władzy (PPN 185 i nast.) występowały tylko u innych? Jeżeli wierzyć Wojtyłemu, wewnątrz Kościoła wszystko jest czyściutkie jak łąka.

W swoich pouczających wypowiedziach Jan Paweł II narzuca ludziom swoisty obowiązek posłuszeństwa, który można egzekwować instytucjonalnie. Czy przez to człowiek, coraz bardziej uprzedmiotowiony, nie zaczyna zawdzięczać samego siebie i swej godności instytucji, która jakoby nadaje mu prawdziwy sens? Bądź co bądź formalny autorytet instytucji, jak widać, określa także jednostkę i jej stosunek do wspólnoty. Za pomocą tego autorytetu, który ze swej strony jest najwyższy i niewątpliwy, jako że wiecie się od Boga, instytucja oferuje racjonalizację, dzięki której jednostka ma być odciążona i zarazem nadaje się jej sens, którego nie wolno zakwestionować.

Siłą rzeczy narzuca się tym, których Vittorio Messori określa jako "zwykłych ludzi", rolę do wykonania, jeśli chcą, aby im się szczęściło w życiu. Nie ma już w tym miejsca na własną odpowiedzialność, na wolność, a nawet na charyzmaty jednostki, na samourzeczywistnienie się miłości człowieka chociażby w służbie dla innych. Bo i te charyzmaty mają być podporządkowane temu, co zawyrokuje pasterz.

Historia kościelnej caritas ma o tym wiele do powiedzenia: wszelkie alternatywy były systematycznie utracane, a w najlepszym razie podporządkowywane sobie. Czynić dobro znaczy: działać w duchu oficjalnie kościelnym. Ale czyż nie znajdzie się dziś, jak okiem sięgnąć, dość dużo innych ludzi, którzy troszczą się o swych bliźnich - lub o zwierzęta, rośliny, środowiska - i nie potrzebują do tego błogosławieństwa Watykanu? Dlaczego Wojtyła ich przemilcza, nic nie mając do powiedzenia o nich, o ich pracy, o ich problemach? Czy są mniej ważni od jego ludzi? Co tu jeszcze ma do roboty twierdzenie, że chrześcijaństwo jest "zawsze otwarte na świat, na jego pytania, na jego niepokoje [w oryginale ai suoi interrogatwi, alle sue inquietudini, chyba lepiej: problemy i troski. Przep. tłum.], na jego oczekiwania" (PPN 72)? Jeżeli "dzieje zbawienia to także nieustanny sąd człowieka nad Bogiem" (PPN 62), to Papież w obliczu tego sądu jest najgorszym obrońcą Boga, jakiego można sobie wyobrazić.

Dawno też Kościół utracił przypisywany sobie od wieków monopol w sprawach diakoństwa.

Nawiasem mówiąc: to historyczne kłamstwo, że miłość bliźniego jest darem Ewangelii. Miłość bliźniego ani nie pojawiła się na świecie z Chrystusem, ani też nie zniknie, gdy przestaną istnieć Kościoły. Jednakże dla Wojtyły wspólnota jest czymś pochodnym. Ma rację bytu jedynie w ramach instytucjonalnego Kościoła i w nim tylko może się urzeczywistniać.

Nic dziwnego, że w tych okolicznościach przypisuje hierarchii nawet i tę charyzmę, w istocie określającą Kościół. Jan Paweł II w rzeczy samej nie dopuszcza rozróżnienia między urzędem a charyzmą, które miałyby konsekwencje dla struktury i tworzenia się wspólnoty chrześcijańskiej. Natomiast wszelka działalność jednostki w Kościele poddana jest władzy - interpretowanego przezeń jako charyzma - urzędu.

Ci dwaj lub trzej, o których mówił Jezus, więc nieliczni, którzy będąc razem tworzą wspólnotę miłości, podporządkowani są systemowi władzy kościelnej, i uwiecznia się ów podział na panów i poddanych, który jest widocznie jedyną możliwością, ażeby doprowadzić do szczęśliwego końca trwożne poszukiwanie pewnego gruntu i ostatecznego oparcia.

Już w 1978 roku w swej homilii na zakończenie konklawe Jan Paweł II w tym duchu objaśnił swój własny urząd, broniąc go w tonie deontologicznym od wszelkich zarówno rzeczywistych, jak i domniemyanych zarzutów: "Właśnie nas, powołanych na najwyższy urząd w Kościele, stanowisko to zobowiązuje do bycia przykładowym

wzorem stanowczości i inicjatywy. Musimy ze wszystkich sił przejawiać tę wierność, co da się przeprowadzić jedynie, gdy zachowamy nienaruszony skarb wiary, wypełniając szczególnie te z przykazań Chrystusa, z którymi dał klucze do królestwa niebieskiego Szymonowi jako ustalonej przez siebie opoce Kościoła (por. Mat. 16, 18). To jemu nakazał umacniać braci (por. Łk. 22, 32) i na dowód swojej miłości paść baranki i owce swojego stada (por. Jan 21, 15 i nast.)."

Wobec tak zawziętego wskazywania na pozycję Piotra i jego następców jako strażników nienaruszonego dobra wiary, posiadaczy kluczy do królestwa niebieskiego i najwyższych pasterzy trzody Chrystusowej nic dziwnego, że Papież dość rzadko cytuje te inne miejsca z Ewangelii, kreślące odmienny obraz. Jeżeli Papież w praktyce nigdy nie wspomina o odprawie, jaką dostał Piotr jako Szatan, który "jest zgorszeniem, bo nie myśli o tym, co Boskie, lecz o tym, co ludzkie" (Mat. 16, 23), można to jeszcze zrozumieć: takie cytaty zabrzmiałyby tu nieprzyjemnie. Toteż nowa książka Papieża, pełna aprobaty dla samego siebie, przezornie ich nie zawiera.

Tym energiczniej powinien rzekomy następca Piotra rozprawiać się z relacją z tejże Ewangelii (Mat. 14, 22-31), kiedy mówi o swym urzędzie. Otóż Jezus i Piotr są tutaj wręcz przykładowo zestawieni ze sobą. Nic nie przeszkadza w uznaniu tego tekstu nie tylko za doraźne i wobec tego przestarzałe wskazanie dla Kościoła, lecz także za obowiązujące ponadczasowo. Opowiada się tam, że Jezus pozostał sam, aby się modlić, natomiast łódź z uczniami wypłynęła na morze i wpadła w tarapaty, bo zerwał się przeciwny wiatr. Okraszona cudami opowieść mówi zaraz po tym coś wręcz sensacyjnego: wczesnym rankiem Jezus "przyszedł do nich, idąc po morzu. Uczniowie zaś, widząc go idącego po morzu, zatrwożyli się i krzyknęli ze strachu mówiąc, że to widmo. Ale Jezus zaraz do nich powiedział: «Bądźcie spokojni. To ja. Nie lękajcie się.» A Piotr odpowiadając mu rzekł: «Panie, jeśli to rzeczywiście ty, każ mi przyjść do siebie po wodzie." A Jezus rzekł:

«Przyjdź!» I Piotr, wysiadłszy z łodzi, poszedł do Jezusa. Ale gdy poczuł mocny wiatr, znowu się przeląkł i zaczął tonąć, i zawołał: «Panie, ratuj mnie!» A Jezus natychmiast wyciągnął rękę, chwycił go i powiedział mu: «Człowieku małej wiary! Dlaczego zwątpiłeś?» Po czym weszli obaj do łodzi, a wicher ustał."

Może to nie fair w stosunku do jednego lub drugiego, przypominać ten zapomniany fragment Ewangelii, dla którego w książce zabrakło miejsca. Lecz i ta opowieść należy do całej prawdy o Piotrze. Tym bardziej z ulgą czytamy, gdy obecny następca tego apostoła nie poprzestał (PPN 27) na cytowaniu wyłącznie mocnych i

ciągle z pozycji Watykanu interpretowanych słów o Piotrze i jego urzędzie (Mat. 16, 16-18). Kto tak lubi mówić o nadziei, jak Wojtyła, mógłby się raz przynajmniej odważyć na to, aby ufając Panu wyjść z zagrożonej łodzi, wyrzec się bezpieczeństwa i prawdy swej instytucji. Znaczyłoby to: jako równy między równymi, wraz ze wszystkimi pozostałymi ludźmi - i nie asekurując się Boską gwarancją - wystawić się na zawieruchę świata. Jednakże trwoga Piotrowa pozostaje większa od tej nadziei. W dodatku wypowiedzi Papieża zdradzają tylko pozorną siłę. Trzyma się on bezpieczeństwa oraz jego składowych i na tym opiera swą ufność, że może wytyczać drogę światu. Z tego nie wynika jeszcze ani cień wątpliwości ani słabości, choć tak wielu wciąż odnosi wrażenie, że instytucja rzymska niewzruszenie interpretuje samą siebie w zwykły sposób: czyli w poczuciu, że posiada całkowitą prawdę, ważną także poza własnym systemem myślenia, chociaż nigdy nie zadała sobie fadygi, aby to udowodnić.

Tak czy owak reszta ludzi i wspólnot kościelnych wobec domniemanej pewności papieskiej nie ma żadnych szans. Dopóki Jan Paweł II będzie przypisywać całą prawdę wyłącznie sobie, inni skazani są na drugorzędność.

Oto kilka przykładów: "Przy wszystkich punktach zbieżnych Chrystus nie jest podobny ani do Mahometa, ani do Sokratesa, ani do Buddy. Jest całkowicie oryginalny i niepowtarzalny" (PPN 52). I dalej: "Osobna sprawa to odradzanie się starych poglądów gnostycznych w postaci tak zwanego New Age. Nie można się ludzi, że prowadzi on do odnowy religii" (PPN 80). I dalej: "Dla każdego, kto znając Stary i Nowy Testament, czyta z kolei Koran, staje się rzeczą jasną, że dokonał się w nim jakiś proces redukcji Bożego Objawienia... Całe to bogactwo samoobjawienia się Boga... zostało w jakiś sposób w islamie odsunięte na bok... Nie ma całego dramatu odkupienia" (PPN 82 i nast.).

Wobec takiego deprecjonowania innych jest już prostą oczywistością, że "Kościół katolicki nic nie odrzuca z tego, co w religiach owych prawdziwe jest i święte" (PPN 75). Wszak byłoby z jego strony głupotą, gdyby śmiało odrzucać to, co prawdziwe. A jednak był przez całe stulecia tak ślepy, że tego nie dostrzegał i tak morderczo głupi, że to prześladował.

Uderzający jest fakt, że tak wielu wciąż jeszcze nabiera się na pozbawioną samokrytycyzmu argumentację Papieża. Jakże oceniać tych polityków i mówców wyborczych, tak ochoczo przyznających "ostateczne wartości" Papieżowi, Kościołowi, chrześcijaństwu, religii? Czy oni naprawdę żyją, przynajmniej w okresie

kampanii wyborczej, w średniowieczu? Czy w ogóle nie dotarła do nich od dawna prowadzona dyskusja o możliwości bezwyznaniowego, niereligijnego uzasadnienia etyki i moralności? Czy Hume, Kant, Schopenhauer to chińszczyzna, której nigdy nie mieli w ręku? Tacy mówcy powinni raz wreszcie uzasadnić, dlaczego w tak ważnej kwestii dają pierwszeństwo akurat Wojtyłe.

Nawet i pozornie krzepiące słowa, które Papież wygłasza do ludzi i Kościołów, nie mogą zmienić opinii o jego anachronicznym systemie. Brzmia one - umyślnie czy nieumyślnie - jak oznajmienia z pozycji siły, która ze swoimi "przedostatnimi wartościami" od czasu do czasu nachyla się współczująco do ludzi (PPN 82-S7).

Wojtyła zresztą spaliłby się, gdyby innym Kościołom, niż własny, przyznawał pełną prawdę o Chrystusie. Skoro już traktuje Rzym jako centrum Kościoła powszechnego, skoro przedstawia swój Kościół jako instytucję założoną przez historycznego Jezusa i przypisuje mu ducha Bożego jako gwaranta wierności, nie może z drugiej strony tamtych wspólnot religijnych, którym odmówiono podobnie zinstytucjonalizowanej darowizny, uznawać za równorzędne Kościoły, nie mówiąc już o religiach niechrześcijańskich. I nie robi tego Wojtyła w żadnym miejscu. Po prostu uważa się za pasterza jedyne Kościoła powszechnego.

Urząd pasterski, o którym mówi, z pewnością nie oznacza tylko "priorytetu miłości", jak to wyraził ówczesny przewodniczący rady EKD (Kościoła Ewangelickiego w Niemczech) biskup hanowerski Eduard Lohse na spotkaniu rady EKD z Papieżem 17 listopada 1980. Wszak hierarchia rzymska po dzień dzisiejszy nie godzi się z przyznaniem papieżowi po prostu priorytetu miłości albo czci w Kościele powszechnym. W pojęciu Rzymu być pasterzem to nieporównanie więcej. Oznacza to nie co innego niż rządy, jurysdykcję, najwyższą władzę nauczycielską, kapłańską i wykonawczą. Całkiem spora władza, nieprawdaż?

Historia tych męskich rządów nad ludźmi tyle razy jednak odchodziła od wymaganej - i gadatliwie zaprzysięganej - miłości między chrześcijanami, że nie wydaje się niestosowna uwaga biskupa Lohsego, zwrócona do Papieża, o pierwotnym pragnieniu reformacji: "Przybywa Pan do kraju reformacji, która chciała nawoływać chrześcijaństwo do odnowy i zwrotu ku początkom, aby całe życie chrześcijan było codzienną pokutą. Nie inaczej niż z tym nastawieniem, które opisał był Marcin Luter, wolno nam i możemy się z Panem dzisiaj spotykać."

Jednakże Papież potraktował tę chęć tylko marginesowo i zbył ogólnikowymi

cytatami z Biblii konkretyzacje, które oznaczałyby jakiś postęp: "W szkole apostoła narodów Pawła uświadamia się nam, że wszyscy potrzebujemy zwrotu. Nie ma życia chrześcijańskiego bez pokuty i nie ma prawdziwego ekumenizmu bez wewnętrznego nawrócenia się." (Por. też PPN 119.)

W tych pięknych słowach nie ma mowy o jakimś brzemieniem w skutki zwrocie ze strony Rzymu. Nie zdobyto się nawet na konsekwentne przyznanie winy. Ten Kościół, który nakłania miliony ludzi do spowiedzi, pokuty, skruchy, naprawiania win, bodajże zna te pojęcia jedynie wówczas, gdy odnoszą się one do innych (PPN 118), ale nigdy do siebie samego. A może ktoś potrafi przytoczyć wypadek, gdy Kościół przeproszał za swe historyczne zbrodnie nie tylko w pustych słowach bez jakichkolwiek następstw? Gdy Kościół uczcił swoje ofiary albo zdobył się na konkretną naprawę swych win? Kto się rozejrzy po Niemczech, prędko dostrzeże olbrzymie bogactwo Kościoła w pieniądzach, nieruchomościach, posiadłościach ziemskich. Czy odbyła się kiedykolwiek publiczna dyskusja o tym, w jaki sposób Kościół, największy niepaństwowy posiadacz ziemski w Republice Federalnej Niemiec, nabył te skarby, ile krwi kosztowało uzyskanie tego majątku?

Ktokolwiek o tym milczy, czy arcybiskup w swojej książce, czy jego trzoda, traci prawo do gadania o pokucie, skruchy i naprawianiu win. Co prawda milczenie Papieża i jego pasterzy nikogo nie dziwi. Kto uważa samego siebie za reprezentanta całej prawdy Chrystusowej i uzasadnia ten pogląd, powołując na koronnego świadka ducha Bożego, temu nie trzeba skruchy ani nawrócenia. Nie przypadkiem już na przedpolu podróży Papieża do kraju reformacji pojawiły się duże trudności z tym, aby Kościoły protestanckie też poważnie traktować w ich godności i nie spychać ich tak po prostu na marginesy wydarzeń historycznych.

A więc przewidywano tylko krótkie spotkanie z Janem Pawłem II i dopiero gdy kierownictwo EKD zasygnalizowało, że Wojtyła musi poświęcić rozmowie ekumenicznej więcej czasu, niż pierwotnie zaplanował, odpowiedzialni za to opamiętali się. Widocznie ani Papież, ani konferencja biskupów niemieckich nie mieli dość wyczucia tej szczególnej sytuacji i szczególnych uprawnień reformacji w kraju jej pochodzenia.

Skierowana do Wojtyły zachęta, aby nie poprzestał na pięknych słówkach i uczynił wreszcie coś konkretnego, trafiła w pustkę. Wojtyła ani wtedy, ani później nic nie zrobił, żeby na mocy swego pasterskiego urzędu - dla jedności Kościoła - od ręki zlikwidować istniejące w prawie kościelnym przeszkody, tj. ustalenia ludzkie.

Zamiast wydać rozporządzenie, które usunęłoby ze świata te nieszczęsne problemy, Jan Paweł II podkreślił, że nie może być jedności bez prawdy, tym samym święta eucharystii dla chrześcijan różnego wyznania, bez całkowitego wyjaśnienia problemu prawdy. Takie było jego ostatnie słowo w sprawie ekumeny. Wraz z odnośnymi kazaniem niedzielny do "oddzielonych braci".

Jan Paweł II nieomylnie trzyma się przy wymaganiu pełnej wiary. Zalicza do niej nie tylko ustalenia ludzkie (których nie likwiduje, chociaż mógłby to zrobić), ale również filary samej instytucji, czyli Kościół rzymski, jego posłannictwo i pasterstwo. Odpowiada temu ogłoszone niedługo po tym zalecenie Papieża dla niemieckiej konferencji biskupów: "Kompromis się nie liczy; tylko ta jedność, którą ustanowił Pan we własnej osobie: jedność w prawdzie i w miłości... Jedność, pochodząca od Boga, została nam podarowana na krzyżu. Nie wolno nam omijać krzyża, gdy wykluczając dojdzie do prawdy, podążamy ku pośpiesznej próbie zharmonizowania w tym, co nas różni." Co prawda "krzyż" uderzająco często pojawia się u Wojtyły jako swoisty znak zwycięstwa, widniejący zwłaszcza ponad udanym życiem katolickim (PPN 72, 161).

Jak Wojtyła wyobraża sobie w tych warunkach realizację jedności wszystkich Kościołów katolickich, skoro nie wolno tknąć rzekomej prawdy, próby harmonizowania są podejrzone i kompromis się nie liczy? To jego tajemnica. Wypowiedzi jego pozwalają co najwyżej przyjąć, że właściwie przeprowadzona "odnowa" wszystkich chrześcijan doprowadziłaby wreszcie do uznania prawdy i w rezultacie do przygotowanego racjonalnie i spodziewanego w modłach powrotu ich wszystkich na łono Kościoła rzymskiego.

Papież nie kiwnie w tym celu palcem. Upragnioną - i ludzkimi środkami niezbyt osiągalną - jedność wszystkich rozumie on jako tajemniczy podarek od Boga (PPN 119). Jednakże nie mówi już Wojtyła, jak jego poprzednicy, o powrocie braci, którzy się odłączyli, do Kościoła rzymskiego. W doborze słów wykazuje dużo większą ostrożność. Nie chce rozdrapywać starych ran. Mimo to jego wzmianka o "nieustannym nawracaniu się naszego życia, tak ściśle związanym z kwestią jedności chrześcijan" oznacza taki właśnie powrót i nic innego.

Mówiąc o odnowie, Wojtyła nie ma na myśli ani reformy, ani też nawracania. Odnowa - jak wyjaśnił w roku 1980, zwracając się do biskupów francuskich - to synonim przywrócenia. Inaczej konserwatysta nie potrafi: dla niego każda odnowa to przestawienie się z powrotem na wartości tradycyjne. Te zaś znajdują się - nie

zafałszowane i wiernie przechowane - nie u wszystkich Kościołów, tylko u jednego, katolickiego, rzymskiego.

Ekumena - "Wywodzę się bowiem z narodu, który uważany bywa za przeważająco katolicki, ale który ma swoje ekumeniczne tradycje" (PPN 116) - nie oznacza bynajmniej, jak to Wojtyła wyłożył w swej pierwszej encyklice, "rezygnacji ze skarbów prawdy Bożej, stale znanej i nauczanej przez Kościół, ani jakiegokolwiek zrywania z nimi". Do skarbów tych zaliczają się, o czym warto przypomnieć, rzymskokatolickie dogmaty w rodzaju następujących: że "Chrystus nadał Kościołowi swemu konstytucję hierarchiczną"; że "nadane apostołom władze hierarchiczne przeszły na katolickich biskupów"; że "Chrystus ustanowił apostoła Piotra pierwszym wśród apostołów i widoczną głową całego Kościoła, bezpośrednio i osobiście przekazując mu zwierzchność jurysdykcji"; że "wedle rozporządzenia Chrystusa Piotr będzie miał po wszystkie czasy następców w zwierzchności nad całym Kościołem"; że "następcy Piotra w jego zwierzchności są biskupami rzymskimi"; że "Papieżowi przysługuje pełna i najwyższa władza jurysdykcji nad całym Kościołem, nie tylko w sprawach wiary i obyczajów, ale także w dyscyplinie kościelnej i rządzeniu Kościołem"; że "Papież, kiedy wypowiada się *ex cathedra*, jest nieomylny".

Twardo to brzmi. Jan Paweł II musi w wypowiedziach swych grać na zwłokę, albo i zaciemniać sprawę (PPN 120), ilekroć odwołuje się do ponownego zjednoczenia podzielonych Kościołów. Trudno przecież na zdrowy rozum pojąć, jak można w takich okolicznościach, gdy określone prawdy Rzymu uchodzą za niezbywalne, osiągnąć ponowne zjednoczenie się Kościołów. Jeśli wymienione przed chwilą dogmaty są nienaruszalne, gdyż należą do Boskiej skarbnicy prawdy, chrześcijanom nierzymskim pozostaje tylko mglista nadzieja na jakiś dar łaski Bożej, który doprowadzi do pożądanej jedności, albo też wyrzeczenie się własnych nauk i poglądów, aby dostosować się odpowiednio do Rzymu.

Nie wykluczone, że Wojtyła myśli o takim właśnie dostosowaniu się, kiedy mówi o obyczajowej odnowie chrześcijaństwa. Odnowa w życiu obyczajowym, będąc z konieczności odtworzeniem tradycyjnego porządku, jest podług Jana Pawła II nieodzowna dla jedności chrześcijan. Tylko gdy chrześcijanie występują wspólnie przeciw niemoralności tych czasów, działają w myśl Kościoła Chrystusowego. Ażeby jednak zagwarantować to wspólne wystąpienie, należałoby zlikwidować ów "głęboki rozłam w kwestiach moralności i etyki", który - jak w sprawach kontroli urodzeń lub rozwodów - wciąż jeszcze dzieli Kościoły chrześcijańskie. Rozłam ten da się usunąć



jedynie wtedy, gdy życie w wierze można będzie uznać za uporządkowane.

O co chodzi Wojtyła w tej wypowiedzi, jest mniej więcej jasne: bez nieprzemijającej prawdy, powierzonej przez Jezusa za pośrednictwem apostołów Kościołowi rzymskiemu i mimo wszelkich szczegółowych niedociągnięć zachowanej przezeń bez uszczerbku, życie ludzkie jest niedoskonałe. Żadna inna wspólnota kościelna oprócz papieskiej nie potrafi zagwarantować człowiekowi, który szuka, tej ostatecznej i najdoskonalszej prawdy.

Wojtyła przygotowuje się wprawdzie, na swój sposób, do najbliższej przemiany. Wszak może nadejść dzień, w którym religie świata będą musiały się zjednoczyć i zjednoczą się przeciw "bezbożności". Tym świadomiej unika Jan Paweł II słów, które mogłyby urazić podzielonych braci lub religie niechrześcijańskie. Pod tym względem Watykan się czegoś nauczył. Wojtyła obchodzi się z innymi wyznaniem i religiami coraz bardziej tak jakby z potencjalnymi sojusznikami. Raczy ich najnowszymi obiegowymi słówkami z watykańskiego repertuaru: służba, dialog, pojednanie, tolerancja, światowa wspólnota. Do spółki z resztą religijnych ogłasza świeckość naszych czasów oraz ich odejście od wiary wrogiem całej ludzkości.

"Ostatecznie wobec Ukrzyżowanego bierze w nas samych górę ten człowiek, który jest uczestnikiem odkupienia, nad człowiekiem, który jest zagorzałym sędzią Bożych wyroków w jego własnym życiu i w życiu ludzkości" (PPN 66). I dalej: "Zbawić, to znaczy wyzwolić od zła. Chodzi tu nie tylko o zło społeczne, takie jak niesprawiedliwość, zniewolenie, wyzysk; nie tylko o choroby, katastrofy, klęski żywiołowe i wszystko, co nazywa się nieszczęściem w dziejach ludzkości. Zbawić, to znaczy wyzwolić od zła radykalnego, ostatecznego" (PPN 68). I dalej: "Młodzi w gruncie rzeczy szukają zawsze piękna w miłości, chcą, ażeby ich miłość była piękna. Jeśli ulegają swoim słabościom, jeżeli idą za tym wszystkim, co można by nazwać «zgorzeniem współczesnego świata», a jest ono, niestety, bardzo rozprzestrzenione, to w głębi serca pragną pięknej i czystej miłości" (PPN 103).

Jak ten Papież sobie wyobraża przyszłość, w której panuje religia, jego religia? Od czasu do czasu zgrzytnie coś w tonach jego fletni: w marcu 1991 wezwał ludność Słowacji, nie patyczkując się, aby "wytępiła" w kraju "resztki materializmu i ateizmu". Już sam dobór słów nawiązuje do koszmarnych czasów, gdyż pochodzi ze słownictwa potworów ludzkich. Także i połączenie ateizmu z materializmem jest ryzykowne w zestawieniu z nierozłącznym małżeństwem, jakie łączy Kościół i pieniądze. Szczególnie jednak daje do myślenia fakt, że Jan Paweł II nawet się nie

zająknął o tolerancji w stosunku do inaczej myślących. Czy to poślizgnięcie? Czy obsunięcie się w nawyki myślowe? Nadziei nie widać u Papieża, który tymczasem rozjeżdża się po krajach jak międzynarodowy święty Mikołaj i w odróżnieniu od wielu swych poprzedników używa takich słów jak pokój i pojednanie, ani razu jednak nie oddawszy się od niezliczonych, często wręcz wojowniczych przejawów nietolerancji w swoim Kościele. Czy nikt tego nie zauważa?

Jak zabrzmiałby wyrok świata, gdyby ktoś inny pozwolił sobie na taką obłudę?

Widać, że trzoda wciąż jeszcze potrafi znosić coś takiego. Nie tylko kler, już od dawna wiedzący, ile Watykan wykreślił podłych numerów. Nie tylko katolicki i katolicy, nie buntujący się przeciw bredniom i wrzaskom, przeciw kazaniom niedzielnym, zakłamaniu idącemu z Watykanu i przeciw olbrzymiemu haraczowi, jaki pod pretekstem wiary wyciąga się im z kieszeni.

Współuczestnictwa nie brakuje także u podzielonych sióstr i braci. Czyż Luter nie występował przeciw Antychrystowi w Rzymie? Gdzież on siedział, jeśli nie na tak zwanej katedrze Piotrowej? Czy nie przekreśliłby się w grobie ten reformator, gdyby usłyszał o ekumenizmie naszych czasów, o elastycznie protestanckich biskupach, superintendentach, najwyższych radach kościelnych, oferujących swe usługi ideologom z Rzymu, kłaniających się Kościołowi papieskiemu, spoufalających się z nim... niby to dla dobra wspólnej sprawy?

Jan Paweł II ma łatwą rozgrywkę, dopóki nikt mu się twardo nie przeciwstawi. Protestanci tak wiele przetykają, aż wydało im się, że wszystko zdołają przełknąć. Wystarczy, że Papież się uśmiechnie: "Jestem Piotr, wasz brat!" i już ci łagodni heretycy czują się zaaprobowani, chwalą załączki reform, przeczuwają swą rehabilitację, bredzą o wpływie ducha, o zbliżeniu, jedności, widzą, jak zbliża się do nich lepsza, bardziej tolerancyjna przyszłość.

"Jestem Piotr, wasz ojciec!" Następca nie robi najmniejszego kroku w ich stronę. Po prostu nie rusza się z miejsca, wygłasza przez okno kazania o rodzinie, powściągliwie ubolewa nad rozłąką, liczy na czasy przychylniejsze dla Rzymu, stoi z bronią u nogi. Kto by sądził inaczej, niech wymieni jakieś przekonujące dowody ekumenicznej woli - a nie gadaniny - ze strony Wojtyły i niech przytoczy jakiegokolwiek fakty, świadczące, iż ten Papież konkretnie usunął jakieś przeszkody na drodze do ekumenizmu.

Ja uważam ewangelicznych chrześcijan w znacznej mierze za religijnych masochistów. Chcieliby przynajmniej zebrać "żniwo" swych cierpień i żeby ich

wreszcie pokochano. W pięćset lat po Lutrze doczekali się uznania przynajmniej na odległość. Postępują zatem wbrew sumieniu, wychodzą naprzeciw Papieżowi, urządzają wspólne posiedzenia z katolikami, zaklinają się na te same początki, na wspólny cel, uskarżają się na trudną drogę, jaka doń prowadzi: i dają się chyłkiem nabierać. Rzymska konkurencja zna się na swojej robocie. Jest w niej zasiedziała od wieków. Nikt nie może sobie na dłuższą metę pozwalać na tyle chybionych inwestycji, co protestanci, jeśli chce zachować samodzielność. Albo musi zwinąć interes i dać się połączyć temu większemu.

Tymczasem grubiaństwa poprzednich papieży jak gdyby poszły w niepamięć. Kiedy Papież zwraca się do "oddzielonych" chrześcijan, lubi manifestować optymizm wiary, przekonany o swej własnej wierności prawdzie. Gotów jest mówić raczej o upokorzeniach i prześladowaniach, jakie musiał znosić prawdziwy Kościół, niż o tych upokorzeniach i prześladowaniach, które tenże Kościół wyrządzał innym.

Nie każdy słuchający papieskich stów byłby równie skłonny uznawać dialog prawdy i miłości, jaki proponuje Wojtyła, za coś więcej niż - nie pokrywające się z faktami - zapewnienia werbalne i przyjmować tego rodzaju propozycje.

Czy odmowa wynika jedynie z braku dobrej woli po stronie zagadywanych, którzy od niedawna widzą Rzym, to stare wilczysko, tylko "w owczej skórze porozumienia", jak mówi Alfred Lorenzer? Czy wywodzi się z najgłębszej niezdolności tego Papieża do prowadzenia dialogu? Czy konserwatywne duchy tego pokroju zawsze potrafią rozmawiać wyłącznie z takimi, jak oni sami?

## XII

### PRZEŁAMAĆ CHOĆBY JEDNĄ Z BARIER!

Czego po Janie Pawle II można się jeszcze spodziewać?

Ludzie gromadzący się wokół Papieża po tylu latach jego pontyfikatu wciąż jeszcze liczą się na setki tysięcy. Prowadzący wywiad Messori mówi nawet o rosnącym i "niekwestionowanym prestiżu" (PPN 13) Stolicy Apostolskiej. Może się zatem wydać komuś błędnym, jakkolwiek wsparte przez wyniki ankiet (nie pasujące Papieżowi do jego entuzjastycznych koncepcji: PPN 89) mniemanie: że ten rodzaj Kościoła, jaki reprezentuje Karol Wojtyła, już nie odpowiada większości ludzi. Ta charakterystyczna forma społeczna już nie może dla nich stanowić nadrzędnego systemu orientacji.

Papież nie Obawia się co prawda nowych rozłamów, nawet "jeżeli Kościół posoborowy ma trudności w dziedzinie doktryny, czy dyscypliny" (PPN 130 i nast.). Nie dostrzega jednak, że problem nie na tym polega. Gdyby z jego Kościoła wyodrębniły się małe grupki postępowców i fundamentalistów, albo nawet się odłączyły, Papieża mogłoby to poniekąd radować. Mniej mógłby się cieszyć z milczącego odchodzenia od Kościoła milionów ludzi, którym wewnętrzne, kościelne rozróżnienie "postępowców" i "integralistów" jest najzupełniej obojętne.

Kościół Wojtyły nie daje podstaw do nadziei. Aspiracja do tego, że nadzieja ta nawet "przekracza progi", dla większości ludzi nie jest na niczym oparta. Nawet sam Papież zgłasza wątpliwości co do "instynktownego zwrotu do religii" (PPN 134). Tylko mniejszość widzi to inaczej. Może mniejsza, lecz bardziej wyszukana część? Święta resztko?

Już na prostych przykładach rachunkowych można stwierdzić, że słuchacze, pojawiający się z okazji wizyt papieskich, to dosyć niski procent obywateli odwiedzanych krajów.

Nawet bardzo optymistyczne przypuszczenie, że Papież dociera mniej więcej do 20% ludności, musi liczyć się z tym, iż ogromnej większości ludzi, do których się zwraca, w ogóle to nie interesuje. Nie zmieni tego zaklinalnie się Wojtyły na "nową wiosnę ewangelizacji" (PPN 97).

W milionowych narodach "wielu" to wciąż jeszcze mało, a szare masy ludności miejskiej pozostają obojętne na wszystko, co jego uroszczenia wywodzą z

autorytetu patriarchalnego, słusznie odczuwanego jako anachroniczny, o własnej tytulaturze mówiąc, że nie należy się jej lękać (PPN 26 i nast.).

Współczesne formy propagandy, którymi Watykan posługuje się, adaptując je do nawyków tych, co latają odrzutowcami, i środowiska wielkich menedżerów, a które Jan Paweł II niezależnie od tego gromi w swych napaściach na środki przekazu (PPN 109, 132), nie wzbudzają mimo wszystko tego głębokiego zainteresowania, które reklama obiecuje także gdzie indziej. Stwierdzenie to może się jeszcze raz potwierdzić w oddziaływaniu, jakie będzie miała rzucana milionami na rynek nowa książka Papieża. Nawet w przybliżeniu mowy tu być nie może o jakimś "nowym świecie, nowej Europie i nowej cywilizacji" (PPN 135).

Nie daje się zauważyć nawet ten powrót wielu kościelnych dysydentów, którego spodziewano się po objęciu urzędu przez Karola Wojtyłę. Jeżeli ostatnio anglikańscy wierni i duchowni przechodzą do Kościoła rzymskiego, bo nie podobają im się kapłańskie święcenia dla kobiet, wzrasta dzięki temu jedynie udział konserwatystów, których Jan Paweł II i tak obsługuje. Przełomu nie spodziewa się po tym już nawet Watykan.

Papież podpira się, w sposób typowo klerykalny, teorią "nieznanego chrześcijanina": że ludzie ostatnio wierzą w skrytości (PPN 76) i zostają po prostu objęci łaską, pomimo że deklaratywnie odrzucają Kościół i chrześcijaństwo (PPN 145). Liczba chrześcijan i "zbawionych" (PPN 68) w rzeczywistości co prawda nie wzrasta, lecz w teologicznym rachunku i owszem.

Również polityczny wpływ Papieża, który wierzy - jak sądzą dyplomaci - że "przez swój osobisty prestiż może wpływać na konflikty polityczne", jest bez porównania mniejszy, niżeli się spodziewano. Jego wizyty, skutecznie otrąbione w środkach przekazu jako "pielgrzymki pokoju", aż za często wsiąkają w piach. Choćby przykład wojny o Falklandy lub wydarzenia związane z wizytą na terenach wojny jugosłowiańskiej niezbyt przyczyniły się do prestiżu Wojtyły, gdy serbscy biskupi prawosławni (chrześcijanie, współbracia w urzędzie biskupim!) z góry załatwili sprawę odmownie i "gołąbek pokoju w ostatniej chwili zawrócił".

Jan Paweł II, przedwcześnie ochrzczony jako papa coraggio, zmuszony był podjąć w sprawie Sarajewa "najbardziej gorzką decyzję swego pontyfikatu", jak zauważył mediolański Corriere della Sera. Co prawda w sytuację tę wmanewrowała go całkiem niefortunna dyplomacja watykańska, w przedsięwzięcie, które od pierwszej chwili było nieudolnie skalkulowane i musiało wreszcie, ku rozczarowaniu

wielu, doprowadzić do rezygnacji.

Nic na to nie poradzi upitraszona w związku z niefortunnymi odwiedzinami legenda. Daje ona skutki odwrotne. Jeden przykład: Elmar zur Bonsen bredził w Süddeutsche Zeitung z 10/11 września 1994, że podczas planowanych odwiedzin w Sarajewie Jan Paweł II był nawet gotów "narazić swe życie".

Skąd dziennikarz to wiedział? Czy rozmawiał z Karolem Wojtyłą? Czy po prostu był tak uprzedzająco posłuszny, że oznajmił, czego nie ośmieliłby się powiedzieć żaden biskupi rzecznik prasowy? Tak samo bezpodstawnie można by spekulować, że wpływowe kręgi Watykanu umyślnie wmanewrowały Papieża w tę sytuację, ażeby się go pozbyć.

Cóż to miałyby właściwie znaczyć, że Papież był gotów zaryzykować swe życie? Czyżby Wojtyła liczył na męczeństwo? Narazić swe życie znaczy, ni mniej, ni więcej, tylko że Papież był gotów pozwolić, aby jakiś snajper namierzył go w celowniku i zastrzelił.

Co za teologiczna głupota, nie mówiąc już o ignorancji dziennikarza! Nikomu nie wolno, jeżeli rozumiem coś z nauki Kościoła, dobrowolnie wystawić się na śmierć. Również po to, czy nawet szczególnie po to, aby zostać męczennikiem za dobrą sprawę. Papież Jan Paweł II wie o tym równie dobrze, jak inni.

Po ludzku zrozumiałe jest, że ewidentnie starzejący się i coraz bardziej podupadły na zdrowiu Papież chce uporać się z może już niedaleką śmiercią. Jak i miliony innych ludzi. Ale czyż miałby jej szukać, liczyć na nią, jak wydumał jakiś dziennikarz? W gruncie rzeczy miałem nadzieję, że taki załgany bełkot należy już do przeszłości.

Podsumowanie pontyfikatu Wojtyły marniutko wypada nie tylko pod względem technicznym. O nadziei w ogóle nie może być mowy. Wskazana wydaje się raczej ostrożność, gdy z osobą tego Papieża wiąże się coś w rodzaju odrodzenia wiary rzymskokatolickiej i reklama kiełkującej nadziei. Jak dotąd jaskółka nie uczyniła wiosny.

Do jakiego stopnia jałowe pozostaną usiłowania Wojtyły, to wcześniej już się pokazało. Wspomnę tu o "walce o życie", jaką prowadzono w 1981 roku w kwestii przerywania ciąży z okazji referendum we Włoszech. A nie chodziło tu o sprawy marginesowe lub osobliwości przekonań klerykalnych, lecz -jak stwierdził sam Papież - o "centralne zagadnienie człowieka".

Kłeska okazała się miażdżąca. Włochy dały Watykanowi ciężką odprawę.

Wprawdzie przez kilka tygodni uwaga przeważające katolickiego kraju zwrócona była na "ruch dla życia", za którym opowiedzieli się stanowczo chadecja, neofaszyści i włoscy biskupi. Również i Wojtyła jednoznacznie wyraził swój pogląd. Ale nawet jedna trzecia wyborców nie głosowała za oficjalną linią Kościoła. Katolickie żądanie, aby uchwaloną przez parlament ustawę "w interesie całości narodu" unieważnić, odrzucono większością wynoszącą prawie 68% głosów.

Nawet zamach na życie Papieża (PPN 108, 162) na krótko przed głosowaniem, który wzmógł obawy, że uczuciowi Włosi mogą przez solidarność głosować za poglądem Papieża, nie zdołał spowodować zwrotu w opinii. Naród włoski raczej odwrócił się od ciężko chorego Papieża. Proces przeobrażeń społecznych, który zaznaczył się już przy zatwierdzaniu prawa do rozwodów, sięgnął jeszcze głębiej, niż się zdawało.

Włosi otwarcie powiedzieli Papieżowi: nie! Waga jego urzędu nauczycielskiego okazała się niedostateczna i Papież zmuszony był, jak nieraz jeszcze po tym, przekonać się, że nie każdy, kto wykrzykuje na jego cześć, podziela też jego poglądy.

Najwidoczniej Wojtyła nie jest w stanie pociągnąć za sobą większości nawet w sprawach zasadniczych. Ani w swojej trzodzie, ani poza nią.

Można mi odpowiedzieć: kwestia większej czy mniejszej liczby nie jest decydująca. Nawet znikoma mniejszość, co historia ludzkości nieraz już udowodniła nie tylko w przypadku wczesnego chrześcijaństwa, może jak ta odrobina zakwasu, o której mówi Ewangelia, zrewolucjonizować świat.

Tym bardziej otrzeźwiająco działa stwierdzenie, że Kościół rzymski przegrał swą historyczną szansę. Nie widać, aby świat, którego nawrócenie jakoby poruczone było chrześcijaństwu, w ciągu dwóch tak zwanych chrześcijańskich tysiącleci, które ma ono już za sobą, przyswoił sobie nakazy Watykanu.

Okazało się raczej na odwrót: wyznanie rzymskokatolickie znajduje się obecnie, jeśli spojrzeć w perspektywie całego świata, w sytuacji bez porównania gorszej niż przed kilkoma stuleciami, a nawet kilkadziesiąt lat temu. I nie ma nadziei na poprawę, cokolwiek twierdzi o tym Wojtyła (PPN 96 i nast.). Papież ma powody do obaw. Zrozumiałe więc, że ćwiczy wołanie na puszczy i uprawia żonglerkę nie tylko doktrynami teologicznymi, ale i liczbami, jakie mu odpowiadają (PPN 89).

Nie jest zaś prawdopodobne, ażeby głoszone przez Wojtyłę - "papieża roku 2000"? - pojmowanie Kościoła, które starałem się ukazać w tej książce na różnych

przykładach, mogło wiele zmienić w tej beznadziejnej sytuacji.

Przyczyną tego jest sam Papież. Wojtyła tkwi w ślepych zaułku. Jego trwoga nie wyprowadzi go na wolną przestrzeń. Zamiast przekraczać granice i przemawiać do wszystkich ludzi, trzyma się on jedynie subkultury. Ta podejrzanie zatrąca o fundamentalizm. Właśnie tego robić by nie należało.

Ale Jan Paweł II posługuje się tylko cząstkową tradycją: mianowicie tą, która, jak się zdaje, na skutek dobitnie głoszonych przez Wojtyłę objawów strachu (PPN 137-139) oraz uwieczniania doraźnych przepisów i wartości coraz to bardziej zniechęca ludzi do Kościoła rzymskiego. Właśnie dlatego, że uparcie powołuje się na rzekomo niezmienną prawdę nauki Rzymu, Papież identyfikuje się z tym rodowodem.

A zarazem oficjalnie neguje, otwarcie lub skrycie, wszelkie inne tradycje kacersko-rewolucyjne, choćby wywodziły się one z mistyki (PPN 78-79), którą Wojtyła tak bardzo ceni. Po alternatywne nadzieje Papież sięga jedynie po to, aby się od nich odciąć i potwierdzić własną tożsamość.

Identyfikowanie się z tradycją, którą streszcza w swojej plakatowo głoszonej dewizie Totus Tuus (PPN 157 i nast.), niektórzy na pewno przyjmują entuzjastycznie i uważają za przejaw siły. Przemawiały za tym niegdyś pokazujące się na Placu św. Piotra transparenty z napisami: "Jesteś chlubą Kościoła, jesteś wikingiem Bożym, jesteś przyjacielem wszystkich ludzi, jesteś darem niebios" albo: "Papieżu, jesteś mocniejszy niż Superman". Tak samo poszukiwane przez niektórych, bynajmniej nie przez całą młodzież, "wodzostwo" (PPN 102).

Jednakże entuzjazm, z jakim ci ludzie - bynajmniej nie stanowiący większości, a tym bardziej nie wszyscy - witali nauki papieża Wojtyły, potwierdza tylko nastawienie entuzjazmujących się i niczyje więcej. Jan Paweł II w swoim mass appeal zwracał się i nadal się zwraca wciąż do tej samej grupy. Tych zagorzałych w swojej trzodzie, którzy zaklinają się na parę konserwatywnych formuł i treści dumnej, cząstkowej tradycji "posiadania prawdy" i którzy - ze względu na własne poczucie bezpieczeństwa - ani na jotę nie odstąpią od swoich poglądów.

Mentalność i środowisko tych ludzi, których liczba poniżej wieku emerytalnego gwałtownie się zmniejsza, wiodły papieża Wojtyłę od występu do występu. W ich stowarzyszeniu Jan Paweł II czuje się zawsze swojsko, w ich imieniu naucza. Ich system wartości, ich poczucie cnoty, ich preferencje i uprzedzenia przeniósł, w najdrobniejszych szczegółach, do swego urzędu. A to, że Wojtyła sprawuje swój urząd z osobistym wdziękiem, czyni go dla wielu po ludzku



sympatycznym i zapewnia mu szacunek u niemałej liczby słuchaczy; nie zmienia to jednak faktu, że występuje on jako rzecznik określonego typu autorealizacji.

Jan Paweł II, który na swym urzędzie jako ziemski namiestnik Chrystusa (PPN 27-29, 31 i nast.) powinien był reprezentować uzewnętrznione sumienie wielu, przyłączył się, jako dobrowolna ofiara systemu, do stanowiska cząstkowych grup, w których imieniu przemawia i które go darzą poklaskiem. Jego polskie pochodzenie (PPN 161) oraz jego klerykalnie określona droga życiowa (PPN 149) chyba sprawiły, że nie miał innego wyboru.

Wybór stanu duchownego, pierwsza identyfikacja z zastanym, wyodrębnionym środowiskiem i z polityczno-społecznymi tworami, których religią jest katolicyzm, okazały się już nieodłączne od jego całego życia. Tego właśnie dotyczą typowo konserwatywne mowy Wojtyły o wierności i wytrwałości w wierze.

Inne uświadomienia, inne doświadczenia, inne ryzyko odpędzał od siebie przez całe życie. Toteż w jego biografii nie ma wahań, a tym bardziej odstępstwa lub przekraczania granic. Życie Wojtyły jest absolutnie uporządkowane. Wytwarza on i uprawia bez przerwy tę samą wiarę przytakującą.

Zna i uznaje podporządkowanie się i nadrzędność, układy siły i bezsiły, hierarchie wiedzy i wiary. Może to godne szacunku pośród takich, jak on. Nadziei to żadnej nie stwarza. Albo tylko dla takich, jak on.

Otóż i wymowne wspomnienie: ledwie młody ksiądz Wojtyła wrócił po studiach w Rzymie, przyjaciele zapytali go, co teraz zamierza robić. Odpowiedział: "Cokolwiek wymyśli dla mnie ksiądz biskup metropolita!" Gdybym należał do jego przyjaciół, dalej bym już nie pytał. Ta odpowiedź przesądza o wszystkim.

Posłusznie przyjęta wiedza życiowa Papieża dotyczy tych prawd o człowieku i (za pośrednictwem Maryi: PPN 52, 157-158) o Chrystusie i Bogu, w których od zarania go uspołeczniono. Nigdy już nie odstąpił od nich, jako że słowa Boże, jak się wyraził Wojtyła w 1964 roku, są proste i głębokie. Człowiek, który się im zawierzył, nie potrzebuje się uczyć niczego więcej. "Najwyższy prawodawca" (PPN 156) wszystko już ustalił, a człowiekowi wystarczy po to zdecydowanie sięgnąć (PPN 31).

Prostota wiary, w przeciwieństwie do rozwijającej się w szczegółach wiedzy, skłania do prostej akceptacji. Doświadczenia, które mogłyby obalić zastany porządek i wyswobodzić uporządkowanego człowieka dla samego siebie, nie występują. Nie może być mowy o rozpadzie tego ojcowskiego świata, jego pobożnego instrumentarium, jego pedagogicznych form władzy i jego sztywno ustalonych granic

porozumienia.

System Wojtyły jest zamknięty. Jego nadzieja również.

U głoszonego przezeń Boga prawa i sądu nie istnieje niepewność, a wierzący, który wie, że jest w posiadaniu prawdy, nie potrzebuje się narażać na jakieś nowe praktyki radzenia sobie z życiem, obarczone ryzykiem i przekraczaniem progów. Gdy reaguje na faktyczną niepewność sytuacji, powtarza stereotypowe zdanie, że tylko Chrystus, Syn Boży, stanowi o rozwiązaniu wszelkich problemów (PPN 50-54). I tak właśnie czyni znowu, po raz kolejny, Karol Wojtyła w swej obecnej książce. Jest to naumiane, wyćwiczone... i dosyć beznadziejne. Kto wiąże swą nadzieję z wyobrażeniem Zbawiciela, w którym powinna być zawarta konkretna odpowiedź środowiska na wyzwanie społeczne, ten w życiu nie zbłądzi. Kto natomiast uważa, że może zrezygnować z takiego zabezpieczenia, musi pogrążyć się w lęku epoki i w beznadziejności świata (PPN 36, 47, 55 i nast, 59, 68 i nast., 132 i nast.). Takie to proste... z tą nadzieją, która przekracza próg na modłę papieską.

Podgrupa społeczna, która entuzjastycznie przytakuje Wojtyłę i wciąż jeszcze całkowicie identyfikuje się z nim - a więc sama ze sobą - uważa tego Papieża za "katolickiego" namiestnika Chrystusa (PPN 27, 31 i nast.). Jan Paweł II wyjmuje im to z serca i z ust, ilekroć przedstawia swój radośnie fundamentalistyczny wizerunek człowieka, świata i Kościoła. Wszystkie swoje troski i trwogi przenieśli na wszechobecnego arcykapłana. On jest dla nich Kościołem. Toteż on inicjuje wszelkie procesy decyzji w tej instytucji, on je kontroluje i definitywnie rozstrzyga.

Pan od dawna jest - jak to ujął Franco Basaglia - "totalnością dla niewolników". Tylko że niewolnicy sami zabiorą głos w sprawie wyzwolenia i będą przekładać swoją wolność nad każdą inną, uzyskaną w drodze odpowiedzialności.

Co prawda ludzie zafiksowani na instytucji nie dopytują się, jak katolickie, jak powszechne, jak uniwersalne jest w rzeczywistości papieństwo, reprezentowane przez Jana Pawła II. Wierzą i akceptują to jako swoją totalność. Takich ludzi nie mogę i nie chcę przekonywać do jakiegokolwiek alternatywy. Oni dawno już - tak jak apologeta i dziennikarz Messori (PPN 13) - opancerzyli się przeciw jakiegokolwiek argumentacji. Nadzieję mogą znaleźć tylko u takich, jak oni. Albo u Papieża, "nauczyciela wiary", ich wiary (PPN 13). Ten wyjaśnia, że "pesymizmu egzystencjalnego" (PPN 36) ma nie być i koniec.

Bez porównania większa liczba ludzi pyta się, czy papieństwo rzymskie w swej pouczającej pompatyczności nie wyraża po prostu zafiksowanych efektów

określonego przystosowywania się określonych duchownych do określonych doświadczeń życiowych, które z biegiem stuleci ukształtowano w formie systemów teologicznych, obrzędów, praw i sposobów wyrażania się.

Inni znów pytają, czy - mało skuteczne historycznie - pojęcia trzody o Kościele, religii, Bogu są pociągające dla ogółu dzisiejszych ludzi; albo czy przynajmniej zachęcają do dialogu z wszystkimi ludźmi; czy budzą nadzieję.

Natomiast ci wierni, którzy myślą konserwatywnie lub fundamentalistycznie, liczą - co jest typowe dla ograniczonej duchowości getta - tylko na jedno: że prędzej czy później głoszone przez Papieża prawdy zostaną przyjęte, że nastąpi powrót do infantylniej sytuacji ślepego posłuszeństwa, i to bez żadnych zastrzeżeń. Wszak naucza tu nie kto inny, powiadają, tylko sam ustanowiony przez historycznego Jezusa Kościół! Toteż zbawienne jest dla człowieka dobrej woli, aby się do niego przyłączył. W przeciwnym razie trzeba mu po prostu odmówić dobrej woli albo pełni życia...

Trudzą się więc dla nawrócenia innych, które Wojtyła nazywa "odnową" przez uznanie prawdy (PPN 92, 95-98, 148 i nast., 129-131) i zużywają na swą misję maksimum religijnej i duchowej energii. Lecz brakuje im tej energii, kiedy trzeba podjąć prawdziwe, życiowe problemy dzisiejszych ludzi i znaleźć na nie odpowiedź. Nie tak bardzo mylił się Nietzsche, gdy stwierdził, że człowiek religijny myśli tylko o samym sobie.

Ale stała publiczność Wojtyły nie dostrzega tego problemu. Jest z założenia jednooka lub ślepa. Alternatywne propozycje rozwiązań, które też mogłyby mieć oparcie w Ewangelii i rychło zdemaskować faworyzowane obecnie poglądy konserwatywne jako bajkę o nowych szatach króla (albo papieża), dla zapatrzonego wstecz chciejstwa nie mają w ogóle charakteru problemowego. Wszelkie tego rodzaju pytania Messori od początku wykluczył (PPN 14-15).

Kardynał Höffner - na tle pytań o koszty podróży papieskich - w roku 1980 w Fuldzie powiedział, jakby z ust wyjmując to wielu prawdziwie wierzącym: "Ojcie święty, wiemy, jak ciężkie jest brzemie Twojego urzędu. Będąc pomiędzy nami przybliżasz obecność tego, który nosił koronę cierniową!... Nie boisz się zgorzenia i głupoty krzyża. Postać Ukrzyżowanego rozjarza się w Papieżu Sprzeczności, ale nie w takim następcy Piotra, który by się wszędzie przystosował."

Coś w tym rodzaju potwierdza sam Papież (PPN 30). Czy wszystko to mogłoby też być zgola inaczej, zwłaszcza gdy tak wielu nie może się opędić wrażeniu, że w Karolu Wojtyle przejawia się zgorzenie raczej księcia apostołów niż

biednego głupca Jezusa z Nazaretu (a nie wspaniałego Chrystusa Wojtyły), to dla Kościoła rzymskiego problem wciąż otwarty. Od tego, jaka będzie odpowiedź, zależy w znacznej mierze przyszłość tej instytucji oraz jej wiary.

Podsumuję: czy Jan Paweł II służy urzędowi Piotrowemu u schyłku tego stulecia? Czy raczej zaostrza, osobiście i przez sprawowanie urzędu, ten kryzys swego Kościoła, który szybciej, niż przypuszczamy, może się okazać początkiem końca potężnej niegdyś idei i instytucji? Wyrok historyków co do tego, jak zaszeregować ten pontyfikat w historii Kościoła i co do faktycznego znaczenia tych lat jeszcze nie zapadł; najnowsza książka Wojtyły będzie miała swój udział w tej ocenie.

Tak czy owak głosowanie nogami odbywa się już na całego.

Pod koniec tego okresu rządów, który wielu już uważa za nazbyt przedłużający się, łatwiej niż na początku odpowiedzieć na nie załatwione do dzisiaj kwestie, które zapodziały się gdzieś w radosnym zgiełku wstępnego okresu. Przynajmniej tyle widać już coraz wyraźniej, że światowe oddziaływanie papieża Wojtyły w żadnym razie nie prowadzi do odrodzenia katolicyzmu. Wręcz przeciwnie.

Karol Wojtyła, przepchnięty na konklawe jako spolegliwie obliczalny kandydat, nie sprawia żadnych trudności, jeśli chodzi o pójście na rękę konserwatystom wszystkich obozów. Ale tylko w tych kręgach mógłby uchodzić za wyborny sposób na powstrzymanie wszędzie ujawniającej się i szybko postępującej erozji za pomocą budowania tam i umocnień.

Przykład najświeższy i głośny na cały świat: konferencja ONZ w Kairze w sprawach zaludnienia. Tu świat podjął nareszcie próbę ustalenia pierwszego międzynarodowego planu działania, aby pohamować zgubny przyrost ludności. Watykan przez pięć dni blokował konferencję i wreszcie przeobraził ją w paraliżującą debatę o przerywaniu ciąży. Wprawdzie na próżno. Aby zakamuflować swoją klęskę, delegacja papieska zagłosowała wreszcie za. Nie ustąpiła jednak, niezdolna do nauczenia się czegokolwiek, z pozycji rygorystycznych: spędzanie płodu i zapobieganie ciąży są jednakowo tabu. Hans Kling mówił o watykańskim Waterloo. Wojtyła jeszcze raz porwał się do walki przeciw całemu światu. I jeszcze raz przegrał. Chodzi mi o to, że przegrał szczególnie z kobietami. Piętnowany w jego książce "męski egoizm" (PPN 153) dawno już przerodził się u Papieża w klerykalny, watykański egoizm. Niewiele to pomoże, iż ukazał on "głęboki wpływ kultu Maryi na całą problematykę kobiety" (PPN 159) w dzisiejszym świecie. Puste frazesy łatwo dają się przejrzeć, zwłaszcza kiedy je wygłasza Wojtyła.

Kobiety, domagające się nareszcie czynów, uzyskały skuteczne poparcie ze strony rozstrzygających instancji ONZ i USA. Natomiast do sojuszu między patriarchalnymi twierdzami Watykanu a państwami muzułmańskimi jednak nie doszło. Wielkie narody muzułmańskie, jak Indonezja, Pakistan, Iran i Egipt, nie dały się zaprząć do papieskiego wózka. Papież zdołał zmobilizować tylko niektóre z pomniejszych krajów Ameryki Łacińskiej; natomiast wielkie, jak Argentyna, Brazylia i Meksyk, nie dopisały. Nawet i katolickie zaś kobiety, wbrew nadziejom Wojtyły, nie stanęły w Kairze po stronie tak zwanego urzędu nauczycielskiego.

Dziennik Washington Post pisał o osobistym dramacie 74-letniego Papieża. Wprawdzie wygląda na to, że pokonał on - albo jego Matka Boska - sowiecki komunizm, nie potrafi jednak uporać się ze współczesnym światem. Jego nadzieja zamyka się wewnątrz dnia wczorajszego. Nie sposób przyjąć, że Wojtyła potrafi jeszcze wyzwolić się z systemu swojej nauki.

Tego progu nadziei on nie przekroczy.

Średniowieczno-absolutystyczny system, którego gorszące szczegóły tu przedstawiłem, przypisuje - w sposób typowy dla swojego czasu - pojedynczemu patriarsze ("papie") monopol na prawdę i władzę. Po upadku sowieckiego komunizmu (PPN 106 i nast.) Kościół katolicki Wojtyły pozostał jedyną dyktatorską instytucją i organizacją w świecie zachodnim.

Jeżeli Papież tego chce, może nie dopuszczać kobiet do święceń, odmawiać milionom kobiet możliwości zapobiegania ciąży, zabraniać księżom małżeństwa, poniewierać rozwodnikami, którzy zawarli ponowne małżeństwo, tak samo jak biskupami, którzy ujmują się za nimi w tym specyficznym katolickim nieszczęściu, opróżniać parafie z duszpasterzy, zakładać kolejnym teologom kaganiec, paraliżować i zbywać modlitwą (PPN 116-122) załączki reformy ekumenicznej, interpretować anachroniczne dogmaty i zasady moralne jako ponadczasowe. I tego chce Jan Paweł II. W każdym przypadku. Wskazał każdemu z "laików", sobór nie sobór, stałe miejsce na samym dole i zatwierdził na dobre, z wyżyn ostatniego już tronu patriarchalnego, "równorzędną" rolę kobiety, służebną i macierzyńską, jak i odpowiadające temu oczekiwania mężczyzn (PPN 241 i nast.). Spotkał się za to z rozległą aprobatą tych, których specyficznym katolickim posłuszeństwem jest na ziemi tak samo niepowtarzalne jak ta dwuklasowa społeczność - wytwarzająca panów i niewolników - która przykłada się do uzasadnienia takiego posłuszeństwa i utrwała je.

Kto nie skacze z uciechy widząc, jak koło historii kościelnej obraca się daleko

wstecz do położenia przedsoborowego i przeddemokratycznego, może jednak dostrzec, czym to się kończy. Papież, łagodnie mówiąc, pozbawiony jest dobrej woli. Tymczasem poszkodowani liczą się na miliony: niewątpliwie Jan Paweł II - i to na dziesiątki lat! - jest współodpowiedzialny za masowy odwrót od Kościoła rzymskiego i w ogóle od chrześcijaństwa. Autorytarna postawa patriarchy Wojtyły kompletnie podkopała jego moralną wiarygodność. Zwłaszcza kobiety i ludzie młodszy wypowiadają Papieżowi posłuszeństwo. Jan Paweł II zbywa ten rozwój wydarzeń po prostu gadaniną (PPN 97-105).

Na okres rządów Papieża, uchodzącego za talent polityczny, przypadł zwrot sytuacji w Europie Wschodniej. Jaki był jego własny udział w tych wydarzeniach, to ściślej oceni dopiero sąd historii. Z pewnością nie można go nawet w przybliżeniu porównać do tego, czego dokonały setki tysięcy ludzi na ulicach: których Wojtyła w książce swej nie zaszczyca ani słówkiem (PPN 108 i nast.). Widać i temu Papieżowi też nie dano być tym, który wyprzedza myślowo i kroczy na przódzie.

W październiku 1993 roku Wojtyła mówił, że rozstrzygającą rolę w zwycięstwie nad ustrojem komunistycznym odegrał nie on, tylko - niezłomnie reprezentowane przez niego - chrześcijaństwo jako takie, ze swym religijnym i moralnym posłannictwem i obroną godności ludzkiej. Podobnie dalekosiężne przyczyny sprawcze wymienia w swej książce (PPN 108-109). Wypowiedzi te dobijają się o zasługi, których w tej formie nie było. Jeśli mierzyć je w oparciu o historię i teraźniejszość katolicyzmu, jest to nadzwyczaj ryzykowne. A zupełnie już nie oddaje sprawiedliwości ludziom, którzy spowodowali ten przełom.

Jeżeli już mamy mówić o Papieżu przełomu, to w innym sensie: Jan Paweł II, od strony wojowniczo zaangażowanej postrzegany jako symbol ofensywy dobra i dla dobra, nie przepuszcza żadnej okazji, aby urząd swój wykorzystać dla odtworzenia ortodoksyjnej tradycji, przez tych, którym zbyt pochopnie zaświtała nadzieja, uważanej za dawno już anachroniczną. Chociażby czystki, jakie przeprowadza on cichaczem w swej elitarniej kadrze, są przykładem celowego sprawowania władzy przez tego Papieża starego pokroju: kto za Wojtyły awansuje na biskupa lub kardynała, zawdzięcza to swej nieskazitelnej wierności wobec Rzymu. Choćby tysiące zaskoczonych tym ludzi w Kolonii, St. Polten albo Chur sprzeciwiały się tej polityce kadrowej, Wojtyła nigdy nie ustąpi.

Natomiast wyrozumiale traktował Jan Paweł II z biedą zatuszowane skandale w Watykanie i gdzie indziej. Niemniej te ponure wydarzenia pozostają niezatartymi

piętnami na okresie jego rządów. Jeżeli zresztą wiele osób uwikłanych w watykańskie machlojki, choć bynajmniej nie wszystkie - arcybiskupów, kardynałów, maklerów, kanciarzy, lobbystów - znamy dzisiaj z nazwiska, z pewnością nie jest to zasługą Papieża.

Zajadła nieustępliwość, wyrażająca się w obsesyjnie wręcz powtarzanych wypowiedziach Wojtyły na temat moralności seksualnej i roli teologów w Kościele, może co prawda - tak samo jak odpychanie wszelkich kwestii dotyczących kapłaństwa kobiet, celibatu, laicyzacji księży, statusu ponownie zaślubionych rozwodników - odpowiadać twardemu jądry wiernych i biskupów. Nie może jednak nawet podjąć wychodzących raz po raz na światło problemów Kościoła rzymskokatolickiego. Zreformowane za Jana Pawła II w kierunku tradycyjnym prawo kanoniczne i niewydarzony zarówno stylistycznie, jak i treściowo, światowy katechizm (PPN 127-128) nie są żadnym drogowskazem. Nie bez powodu jedno i drugie już odchodzi w niepamięć.

W sumie: fatalna hipoteka Kościoła katolickiego, obciążenie dla ekumeny, blokada najbardziej palących problemów światowej wspólnoty. Nie widać w tym załączków choćby najskromniejszej nadziei; pozostało już co najwyżej miejsce na zarzut nieodpowiedzialności w stosunku do świata.

Należący do włoskiego koncernu Mondadori (czyli do Silvia Berlusconi) magazyn Panorama zajrzał, przy sprzeciwie Stolicy Apostolskiej, w najbliższą przyszłość. Wydrukował nie tylko fragmenty z książki Wojtyły, ale także przyozdobił je małą galerią fotografii tych kardynałów, których już dzisiaj bierze się pod uwagę jako następców Wojtyły. Może się to niektórym wydać nietaktowne, pozwala jednak na wyciągnięcie pewnych wniosków co do rzeczywistej oceny Jana Pawła II.

Oznaki się mnożą: opublikowany w październiku 1994 artykuł biskupa L. A. Elchinger z Strassburga w czasopiśmie Anzeiger für die Seelsorge roztrząsa na całej stronie pytanie, dlaczego "strwoniliśmy po części następstwa II Soboru Watykańskiego". Biskupowi udało się nie wspomnieć o rządzącym Papieżu. Czyżby zakładał, że Jan Paweł II mimo wielu słów, jakie wygłosił na temat Soboru, nie przyłożył się do jego następstw?

Zaniedbania i ciężkie błędy Wojtyły będą się mściły już w najbliższych latach. Na barki jego następcy spadnie ciężkie brzemie, jakkolwiek na wstępie znów możemy się spodziewać wybuchów radości: nie jest to dobry znak dla obecnego Papieża, raczej sąd nad nim, ta już teraz przebijająca nadzieja czegoś nowego, niosąca w sobie

pożegnanie i niepamięć.

Choćby tylko po to, aby przetrwać - a któż zna się na tym tak dobrze jak kościelna dyplomacja i teologia? - Rzym będzie zmuszony w najbliższym czasie znowu popuścić cugli, zapewnić sobie przychylność wielu przyduszanych dotąd biskupów i teologów Kościoła światowego, i tym samym ostrożnie odkręcać pojmowanie wiary i politykę kościelną Wojtyły.

Zawężenie katolicyzmu pod rządami Jana Pawła II zdławiło przecież tyle nadziei, że potrzebna będzie nowa strategia. W Watykanie myśli się nad tym już od dawna. Wątpliwe jednak, czy uda się odzyskać stracony teren, a tym bardziej utracone zaufanie milionów. Papieskie zadłużanie się u przeszłości zwłaszcza wtedy się nie opłaca, gdy przeobraża się cała epoka.

Zrozumiałe jest, że Jan Paweł II chciałby przynajmniej zmniejszyć nasilające się w skali światowej, poważne wątpliwości co do sprawowania przezeń urzędu i szerzące się zarzuty pod adresem jego doktryny. Konsekwencją tego jest wiara, że zdoła tego dokonać tylko za cenę kolejnego potwierdzenia, agresywnego wzmocnienia tego, co starodawne, swoistej chrystyfikacji swojego urzędu, jeśli nie swej osoby. Prędzej czy później fundamentalizm musi wpaść we własne zapadnie. Im mniej wiary napotka, tym bardziej nieubłagane będą jego samoakceptacje i wymagania, tym wyżej usadowione zostaną instancje, do których będzie musiał się odwoływać i odsyłać innych.

Nadzieja, już ostatnia, ciągle istnieje. Karol Wojtyła, któremu biografowie przypisują uzdolnienia wybitnie medytacyjne, mógłby zdobyć się na rzeczywistą powagę, przekroczyć próg i - zrzekając się swojego urzędu - wycofać się do klasztoru. Może następny papież, wbrew oczekiwaniom, znów rozszerzy nieco perspektywę widzenia Ewangelii.

Wprawdzie jak dotąd tylko jeden jedyny w długim szeregu papieży poprzedził go na tej drodze rezygnacji z urzędu: Celestyn V. Jednak rezygnacja byłaby nie najblahszym znakiem odnowienia instytucji, która pyszni się swym stanem posiadania.

Zaproponowałem to już ponad dziesięć lat temu. Wielu wciąż jeszcze ma nadzieję. Wykraczającą daleko poza Jana Pawła II.